

WOLNA
SOBOTA

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Adam Michnik: To jest
wojna Putina, nie Rosjan ►10
26 437,79 zł miesięcznie
Pieniądze Kaczyńskiego ►16



Wysokie Obcasy
Łysienie plackowate.
Moje życie dzieli się
na dwie połówki
– tę z włosami i tę bez



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

SERHIJ
ZADAN

Człowiek Roku „Gazety Wyborczej”

SKOŃCZYLIŚMY 33 LATA

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Pierwszy mecz
biało-czerwonych
w niepodległej
Polsce**

Raper Łona:
Nacjonaści nauczyli
się ubierać w niewinne
szatki ►32

**Niech sobie
Putin bierze
Mariupol.**
Założymy nowy ►14

Sobota-niedziela, 14-15 maja 2022 | Redaktor prowadzący Mirosław Maciorowski | Cena gazety 8,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 111.9999, 1

Nakład 111 tys. + 280 tys. prenumerat cyfrowych

Wojciech
Bartkowiak

Zapraszamy na kolejne 10 tysięcy poranków z „Wyborczą”

Czytam was od pierwszego numeru” – tak zaczyna się wiele listów i maili do naszej redakcji. Niezależnie od tego, czy potem następują pochwały czy pretensje, zdanie to za każdym razem nas otrzewnia. Przypomina, że „Wyborcza” nie jest własnością redakcji i firmy, która ją wydaje, ale czytelników. To część ich życia: źródło informacji, idei, relaksu, a czasem irytacji. Ale przede wszystkim jest ich towarzyszką – każdego poranka z kawą czy herbatą, z gazetą czy tabletem.

8 maja minęły 33 lata od ukazania się pierwszego numeru gazety, jednak świętowanie i ogłoszenie, kto został Człowiekiem Roku, celowo przesunęliśmy o tydzień, bo w ten weekend przypada naprawdę niezwykle jubileusz – **poniedziałkowa „Wyborcza” będzie historycznym wydaniem nr 10 000!**

Te dwa wydania dzielą lata świetlne. Kiedy startowaliśmy, wspierały nas zachodnie redakcje („Le Monde” podarował maszynę drukarską), a dzisiaj to my, dzięki Fundacji „Wyborczej”, udzielamy pomocy dziennikarzom i redakcjom z wielu krajów (**wywiad z prezeską Fundacji Joanną Krawczyk ► 9**). Pierwszy numer miał osiem stron, dzisiaj „Wyborcza” to bogaty cyfrowy świat portalu Wyborcza.pl. Wiadomości serwowane przez całą dobę, a nie tylko do porannej kawy. Kiedyś czytelnicy poznawali swoje opinie po lekturze nielicznych listów publikowanych w prasie – dzisiaj dyskutują ze sobą pod internetowymi tekstami. Kiedyś z lupą szukali szczegółów na niewyraźnych czarno-białych fotografiach, dzisiaj artykułom towarzyszą galerie zdjęć. Bez wychodzenia z domu mogą na żywo uczestniczyć w rozmowie Adama Michnika z Timothym Snyderem, a niedawno mogli zobaczyć na Wyborcza.pl pierwszy w polskich mediach wywiad w technologii metaverse. Co weekend mogą przeczytać fragment książki, która właśnie ukazuje się na rynku, albo posłuchać, jak Maja Ostaszewska czyta reportaż z „Dużego Formatu”.

Już ponad 280 tys. osób zaprenumerowało nas w wersji cyfrowej. Dla tych, którzy chcieliby do nich dołączyć, przygotowaliśmy jubileuszową, wyjątkową ofertę: rabat 33 proc. na zawsze. Dodatkowo pierwszych 10 tys. nowych prenumeratorów otrzyma w prezencie e-booka, czyli książkę, którą sami wybiorą z listy tytułów.

Liczba prenumerat cyfrowych Wyborcza.pl



Zaproszenie do naszego cyfrowego świata nie oznacza, że zapominamy o papierowym wydaniu – jego lektura to wciąż niepowtarzalne doświadczenie. Jednak charakter prasy nieuchronnie się zmienia: w pościgu za newsem przegrywa ona z internetem, natomiast dzięki specyficznej selekcji i formatowi wciąż jest wyjątkowa w prezentacji większych lub złożonych form. Dla wielu papier ma też magiczną moc budowania rytuału i fizycznej przyjemności z lektury. Idąc tym tropem, postanowiliśmy jeszcze mocniej wyeksponować te atuty w naszym weekendowym wydaniu. Dlatego magazyn „Wolna Sobota” od dziś wchłania newsową część „Wyborczej”, a czytelnikom uzależnionym od dopływu najświeższych wiadomości dajemy w niej darmowy kod dostępu (**patrz obok**) do naszego serwisu na weekend. Ponadto – poza stałymi wydaniem tygodników „Wysokie Obcasy” i „Ale Historia” – będziemy regularnie wzbogacać soboty o dodatki tematyczne: dziś wyjątkowo, z okazji jubileuszu, poświęcamy go anatomii serwisu Wyborcza.pl.

Kod publikowany w dzisiejszym wydaniu daje możliwość przeczytania fragmentu najnowszej książki Łukasza Orbitowskiego „Chodź ze mną”. My też liczymy na to, że pójdą Państwo z nami przez kolejne 10 tys. poranków. ●

• **Wojciech Bartkowiak**,
dyrektor wydawniczy „Gazety Wyborczej”

Zdjęcie jubileuszowe

Na pierwsze urodziny zaśpiewał nam Jacek Kaczmarski



FOT. TOMASZ WIERZYSKI/AGENCJA WYBORCZA

8 maja 1990. Było trochę ciasno, ale klimatycznie, a chwilami – jak to przy pieśniach „Kaczmaro” – wzniosło. W środku siedzi na podłodze Helena Łuczywo, z prawej Anna Bikont, na prawo od Jacka Krzysztof Śliwiński, wówczas wicenaczelný „Gazety Wyborczej”.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Zapraszamy do naszego świata



Jak można skorzystać z jubileuszowej oferty i zagłębić się w świat Wyborcza.pl – tłumaczymy w dzisiejszym dodatku „Wyborcza.pl”



Miesiąc zaledwie mija od porozumienia podpisanego przy Okrągłym Stole, a już mamy nie tylko swój związek zawodowy, ale też program wyborczy, kandydatów do Sejmu i Senatu, no i wreszcie „Gazetę Wyborczą”, pierwszy niezależny dziennik między Łabą a Pacyfikiem. I on już zostanie na stałe.

LECH WAŁĘSA

fragment tekstu przewodniczącego „Solidarności” na pierwszej stronie pierwszego wydania „Gazety Wyborczej”, 8 maja 1989 r.

Andrzej rysuje



Człowiek Roku „Gazety Wyborczej”

Serhij Żadan daje świadectwo prawdzie

W swojej znakomitej powieści „Internat” przewidział wspaniałą, heroiczną walkę Ukrainy w obronie państwa, suwerenności i godności

Michnik



Przez wiele dziesięcioleci ukraińska kultura była deptana, kneblowana i mordowana, a mimo to przetrwała. Ostatnie 30 lat przyniosło jej wiele sukcesów, nastąpiła eksplozja wspaniałych talentów – w filmie, teatrze i oczywiście w literaturze. Są wspaniałe książki Oksany Zabuzko, Jurija Andruchowycza, Andrija Lubki i oczywiście Serhija Żadana, któremu przyznaliśmy tytuł Człowieka Roku „Gazety Wyborczej”.

Ten znakomity pisarz, którego książki zdobyły w Polsce ogromną popularność, przebywa dziś w Charkowie. Zasypia i budzi się wśród wystrzałów artyleryjskich, spadających bomb putinowskiej armii. To, co dzieje się za naszą wschodnią granicą, jest mocowaniem się Dawida z Goliatem. Mocowaniem się napadniętego narodu ukraińskiego z wielkorosyjskim imperialnym opresorem. To jest też mocowanie się pisarza z KGB-owskim despotą Władimirem Putinem.

Żadan w swojej twórczości daje świadectwo prawdzie. We wspaniałej powieści „Internat” – to m.in. za nią Komitet Nauk o Literaturze PAN postanowił zgłosić go do Nagrody Nobla – opowiada o współczesnej Ukrainie. Ukrainie czasu wojny. To opowieść o piekle, bo jeżeli Dante piekło opisał, to Putin je stworzył – ludziom z Mariupola, Doniecka, Ługańska, Buczy, Borodziańki, Hostomla, Irpienia czy Charkowa.

Jest to też namysł nad odpowiedzialnością człowieka, który czuje swoją bezradność. Człowieka zagubionego w świecie okrucieństwa, podłości i zakłamania. Człowieka, który nie ma wpływu na to, co się dzieje, ale czuje, że w jakimś sensie musi postawić sobie pytanie o własną winę. Czy to, że stroniłem od życia publicznego, nie wpłynęło na to, że w moim kraju i w krajach sąsiednich doszły do władzy siły antyhumanistyczne, nihilistyczne, wrogie wszystkiemu, co uczciwe i ludzkie. Żadan nakłada na nas pewien rodzaj odpowiedzialności, obowiązek pilnowania, by władza w naszym kraju, czy w krajach bliskich Ukrainie, nie dostała się w łapy ludzi gotowych tak jak Putin zniszczyć wolność. Zdeptać najcenniejsze wartości własnej kultury, tradycji i historii tylko po to, by utrzymać się przy władzy i zapewnić sobie bezkarność po wsze czasy.

W swoim dzienniku Serhij Żadan zanotował: „Wojna jest zła, bardzo, bardzo zła, ale wojna jest nie tylko zła, wojna jest też bliska, śmiertelnie bliska i nieoczekiwana, dlatego kiedy się zaczyna, po prostu nie możesz wiedzieć, jak się zachowasz, jakim będziesz przedstawicielem ludności cywilnej – spokojnym, histerycznym, przerażonym, zmotywowanym? Wojna pozbawia nas nie tylko zwyczajnych modeli zachowania, ona wyrzuca nam ziemię spod nóg, pozbawia naszego rdzenia, żądając, byśmy robili to, do czego nie przywykliśmy, byli tymi, którymi być nie zawsze jesteśmy gotowi. Wojna czyni nas bezradnymi i bezbronnymi. Trzeba mieć mocne serce, żeby wytrzymać, żeby pozostać sobą, w końcu – żeby się nie bać”.

Czytam to i wspominam nieśmiertelne słowa Zbigniewa Herberta

z „Przesłania Pana Cogito”: „Kiedy rozum zawodzi, bądź odważny. W ostatecznym rachunku jedynie to się liczy”.

Swoją przestrogą Żadan zobowiązuje nas do odwagi i uczy nas odwagi. Uczy nas przenikliwości spojrzenia na samych siebie.

Żadan swoją proroczą książką zapowiedział tę wspaniałą, heroiczną walkę Ukrainy w obronie państwa i suwerenności, godności ludzkiej i narodowej. Zanim żołnierze z Wyspy Węży odpowiedzieli putinowskim marynarzom z „russkowo wojennego karablia”, w swoim języku tej odpowiedzi udzielił putinowskim oprawcom Żadan.

■ **Żadan nakłada na nas pewien rodzaj odpowiedzialności, obowiązek pilnowania, by władza w naszym kraju, czy w krajach bliskich Ukrainie, nie dostała się w łapy ludzi gotowych tak jak Putin zniszczyć wolność**

W imieniu „Gazety Wyborczej” dziękuję Ci, Serhiju, za twoją wspaniałą książkę, za twoje wiersze, za wszystko. Dziękuję Ci i nie mam wątpliwości, że Ukraina będzie samodzielną, bo tak wielu z naszych wspólnych sióstr i braci oddało za nią życie.

Nagroda Człowieka Roku „Gazety Wyborczej” ma już dość długą historię. Honorujemy nią osoby, które reprezentują pewien system wartości, tradycję i postawę, która jest nam bli-

ska. Pierwszym laureatem był Václav Havel. Wśród późniejszych znaleźli się m.in.: dzielni rosyjscy obrońcy praw człowieka, Siergiej Kowaliow, Michail Chodorkowski, dziesięcioletni więzień Putina, kubańska blogerka Yoani Sánchez, która miała odwagę pisać prawdę o tym, co się dzieje na Kubie rządzonej przez komunistyczną dyktaturę, wspaniały nasz pisarz Tadeusz Konwicki, nasz wielki reżyser filmowy Andrzej Wajda i arcybiskup ks. Józef Życiński, który reprezentował chrześcijaństwo przyjazne ludziom i Kościołowi otwartemu. Byli ludzie, którzy odpowiadali na wyzwania naszego czasu.

W tym roku cały świat patrzy na Ukrainę. Nie ma dzisiaj ważniejszego kraju. Całym sercem jesteśmy z Ukrainą, bo toczy ona dziś walkę także o nasz świat wartości. I nie ma dziś ważniejszego polityka, bardziej charzmatycznego niż prezydent Ukrainy Wołodymyr Zelenski. Zna go każdy człowiek na kuli ziemskiej. Doceniamy jego rolę, heroizm i umiejętności. Chcielibyśmy jednak, by rozumiany był nasz wybór. W naszej części Europy pisarz to więcej niż literat, to rodzaj sumienia narodu, zwłaszcza gdy ten naród jest w opresji, w nieszczęściu i poniżeniu. Dla Polaków ważni byli Adam Mickiewicz i Czesław Miłosz, dla Rosjan – Michail Lermontow i Osip Mandelsztam, dla Ukraińców Taras Szewczenko czy Wasyl Stus. Dziś ważni są współcześni pisarze, a wśród nich niewątpliwie Serhij Żadan, który walczy o swój kraj, nie tylko pisząc i śpiewając, ale też organizując pomoc żołnierzom na pierwszej linii frontu i ludności cywilnej.

Czujemy się zaszczytzeni, że dołączył do zacnego grona naszych laureatów. ●

Adam Michnik

Od „Gazety” do „Wyborczej”

Z naszym logo było różnie, raz pionowo, raz podłużnie



1989

Logo w pionie? Tego świat nie widział!

1 Byliśmy nie tylko pierwszym niezależnym dziennikiem, ale także prawdopodobnie pierwszym, którego logo było w pionie. Nie wiadomo, kto podjął taką decyzję, ale wtedy, w maju 1989 r., okazała się strzałem w dziesiątkę. Wprawdzie tzw. fachowcy od mediów twierdzili, że to wbrew logice, bo czyta się od prawa do lewa, a nie z góry na dół, ale będąc niezależni aż do bólu, nikogo nie zamierzaliśmy słuchać i zrobiliśmy po swojemu.



1995

„Gazeta” stała się kolorowa, a logo wyprostowane

2 Czyżby kierownictwo „Gazety” nagle zaczęło słuchać fachowców? Chyba to było nieuniknione. Logo z lewego górnego rogu powędrowało na samą górę. Zdominowało je słowo „Gazeta”, a słowo „Wyborcza” zostało zmniejszone do minimum. Pojawił się wtedy przy nim charakterystyczny czerwony prostokąt. Niektórzy czytelnicy protestowali, pionowe logo było dla nich naszym znakiem firmowym. Ale gdzieś po miesiącu o nim zapomnieli.



2003

„Nam nie jest wszystko jedno”. I trzymamy się tego

3 Taka sentencja pojawiła się 2 września 2003 r. po lewej stronie czerwonego prostokąta. Prawdopodobnie znów nikt nie radził się fachowców, bo napis był w pionie. Jednak po gruntownym namyśle, który trwał 8 lat, 7 miesięcy i 21 dni, dokonaliśmy korekty – 23 kwietnia 2012 r. sentencja wskoczyła nad logo i była w poziomie. Ewoluuował też kolor słowa „Gazeta”, który jakiś czas był szary, ale w pewnym momencie znów stał się czarny.



2016

Prawda o tym, jak się naprawdę nazywamy

4 W przeddzień 27. rocznicy wyborów czerwcowych zmienialiśmy nasze logo fundamentalnie – słowem dominującym stała się „Wyborcza”, a tym razem słowo „Gazeta” zostało zmniejszone do minimum. Operację przeprowadziliśmy, zmieniając codziennie logo o jedną literę. W pewnym momencie nazywaliśmy się więc „Wyzeta”, co wyglądało dość dziwnie. To było konieczne, bo dziś oprócz papieru czytacie nas też na Wyborcza.pl.



2019

Nasze korzenie: „Nie ma wolności bez solidarności”

5 Takie hasło widniało pod naszym logo, gdy powstałiliśmy. Potem zniknęło z powodów, których nie ma co już wspominać. Wróciło w 2019 r., w Polsce zrujnowanego sądownictwa, nadwątlonej demokracji, w której – jak pisaliśmy – władza kibicuje kopiącym kobiety osiłkom wygrażającym „lesbom i pedatom”. Wróciło i już zostanie, bo najtrafniej oddaje nasze wartości, a po wybuchu wojny w Ukrainie dodatkowo zyskało na znaczeniu.

NIE ODDAMY CHARKOWA W MOSKALSKIE ŁAPSKA

Jutro zagramy dla rannych w szpitalu, mamy specjalnie ułożony repertuar...

Z **SERHIJEM ŻADANEM** ROZMAWIA **PAWEŁ SMOLEŃSKI**

Co będziesz robić, kiedy wreszcie, i oby jak najszybciej, wygracie tę wojnę?

– To samo, co przed nią. Będę uczyć na uniwersytecie, pracować ze studentami, z nauczycielami i wykładowcami. Będę grać i pisać. Ale o tym na razie nie myślę, bo teraz mamy pracy naprawdę dosyć. Nie nudzę się. Inni też pewnie się nie nudzą.

Na czym polega praca pisarza na wojnie?

– Dzisiaj jeszcze mam spotkanie w Charkowskim Uniwersytecie Sztuki z okazji 105-lecia jego powstania. Fale uderzeniowe od ruskich bomb powybijają tu szyby, ale fortepiany przetrwały przełom zimy i wiosny w minusowych temperaturach. Gmach trochę osierocony, ale goście przyjdą z pewnością. Uczelnia żyje, zajęcia odbywają się online, 80 proc. profesorów zostało w Charkowie.

Później spotykam się jeszcze z naszymi żołnierzami. A w tej chwili jadę do innych naszych żołnierzy pod Charków. Wieziemy dla nich, jak codziennie od dwóch miesięcy, różne prezenty.

To znaczy co?

– Wyposażenie wojskowe, trochę amunicji.

Czyli w sumie prezenty dla Moskali.

– Dla Moskali nie mam nic. Chyba że sens naszych prezentów jest taki, że jeśli nasi do nich strzelają, to tak jakby oddawali Ruskim to, co dostają od nas. I na to zgadzamy się z radością, bo trzeba w końcu pogonić im kota, wygnać z Ukrainy.

A serio – nasze wojsko potrzebuje wszystkiego, nie tylko ci walczący od początku wojny, ale też nowe oddziały. Wozimy buty, ubranie, bieliznę, hełmy, wszystko kupione za prywatne datki, ktoś daje 100 hrywien, ktoś kilkaset dolarów albo i więcej. Podwozimy na front kupione za granicą pikapy i wany. Zabieramy postrzelane samochody, znajdujemy części zamienne, opony, charkowscy spece remontują i znów, choć z dziurami, do boju.

No i wozimy amunicję, jak najwięcej, bo zużywa się szybciej niż spodnie czy obuwie. Każda ilość się przyda.

I tak każdego dnia.

– Już 68. dzień. Jutro będziemy mieć jakąś odmianę. Rozwieziemy transporty, a potem zagramy koncert. Mamy zespół złożony z muzyków i poetów. Występujemy w metrze, które jest ogromną i w miarę bezpieczną noclegownią, bo za sowieckich czasów było projektowane również jako schron na wypadek wojny z Zachodem. Teraz Zachód nam pomaga, a bomby zrzucają Ruscy; taki los.

Gramy też na ulicy dla zwykłych przechodniów, dla wojska. Jutro zagramy dla rannych w szpitalu. Mamy specjalnie ułożony repertuar...

...z „Czerwoną kaliną”, najsłynniejszą obecnie ukraińską piosenką, znaną na całym świecie?

– Jasne, że śpiewamy „Kalinę”. To dzisiaj symbol walczącej Ukrainy, bez „Kaliny” po prostu się nie obejdzie.

Spopularyzował ją Andrij Chływniuk z BoomBoxa, śpiewa Pink Floyd, ukraińskie i nieukraińskie kapele oraz chóry, wszyscy na różną nutę, z różnymi niekiedy słowami, ale i tak wiadomo, że to piosenka jak drugi ukraiński hymn. Co nie przeszkadza, by garstka zacietrzewionych polskich narodowców bezwstydnie głosiła, że to pieśń

UPA i nacjonalistów. Zawstydzające, że mamy też Polaków putinopodobnych.

– Każdy naród ma swoje istoty putinoidalne. Wolę słuchać o naszych polskich siostrach i braciach. I nie mówię tego, bo jestem grzeczny i miły, jakoś nadzwyczaj dobrze wychowany.

Po drugie – znakomicie obyłbym się bez dzisiejszej sławy Ukrainy i bez symbolu oporu w postaci „Czerwonej kaliny”. Ten rodzaj popularności nie jest mi potrzebny. Ukrainie i Charkowowi też nie.

Poza grupami oszołomów i moskalską agenturą, świadomą lub w wyniku pospolitego zidiocenia, nie ma w Polsce ludzi, którzy nie trzymaliby kciuków za Ukrainę.

– To widać również z Charkowa. Dla Ukrainy jest niezwykle ważne, że jesteście z nami, tak bardzo pomagacie, dajecie schronienie uciekinierom. Dzięki. Za często mieliśmy do siebie wzajemne pretensje, za dużo było awantur, bijatyk. Teraz historia się odwróciła. Ukraińskie podziękowania dla Polski to nie żadne protokolarne zakłęcia, grzecznościowa rutyna.

Walczycie również za nas i za to należą się wam wielki szacunek i podziękowania.

– To podziękowaliśmy sobie wzajemnie.

Napisałeś, że byłeś niedawno w Dnieprze.

– To tylko 150 kilometrów od Charkowa, półtorej godziny jazdy, sporo punktów kontrolnych – blok-postów. Pojechaliśmy do tamtejszego studia nagrywać muzykę.

Niby blisko, ale znalazłem się w innym świecie. Zdawało mi się, że Dniepr to kurort, sanatoryjny spokój, wakacje. Ludzie spacerują po ulicach, zielono, żadnych ruin, otwarte sklepy, kawiarnie, prawdziwa wiosna. Jak to dobrze, że mamy w Ukrainie takie miejsca. Jednodniowy wypad do Dniepru jest bardzo miły.

Ale nie mógłbym dzisiaj mieszkać w Dnieprze. Nie wytrzymałbym psychicznie. Na początku wojny byłem tam przez chwilę, cały czas z nosem w internecie, szukałem wiadomości, przeglądałem portale, totalne poczucie bezradności, beczyność, braku sprawczości i niepokój, mimo że dookoła cisza.

Charków to niemal front, spadają bomby, lecz zostało bardzo wielu mieszkańców. Nocami wychodzą z psami na spacer, jest już ciepło i zielono. Spotykamy się, poznaję mnie. Kiedyś też byłem rozpoznawalny, ale te dzisiejsze spotkania i wymiana kilku zdań są jakieś inne, może serdeczniejsze. I oni, i ja mamy świadomość, że jesteśmy Ukraińcami w ukraińskim mieście, zostaliśmy tu z własnej woli i zrobimy wszystko, żeby Charków nie dostał się w moskalskie łapska. Takie słowa miło brzmią nawet wtedy, gdy ukraińskie poglądy są wypowiedziane po rosyjsku. Dzisiaj na 100 procent wiem, że w Charkowie nie wpadnę na putinowskiego separatystę.

Nie powinieneś wyjechać z Charkowa? Przecież nie byłaby to rejterada. W Polsce co i raz wybuchają spory np. o powstanie warszawskie i ofiarę życia dwóch poetów: Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego. Wielu uważa, i ma na to dobre argumenty, że talent jest wart ocalenia.

– Nie jestem w Charkowie, bo piszę i śpiewam. Jestem, bo to moje miasto, jestem jego obywatelem i obywatelem Ukrainy. Artystą czuję się na naszych koncertach. Lecz nawet gdybyśmy ich nie grali, miałbym w Charkowie dość zajęć.

Muzyk czy pisarz bezpośrednio na froncie lub wspomagający wojsko to dzisiaj ukraińska norma.

To tak jak z pobytem w Dnieprze w pierwszym tygodniu wojny. Jest człowiek w bezpiecznym miejscu, a ciągnie go na powrót do Charkowa. Takie pragnienie powrotu jest niezwykle silne, nie pozwala na psychiczne wytchnienie.

Zobacz, jak wielu ludzi wraca do Ukrainy mimo wojny. Ludzie chcą być tam, gdzie mogą być potrzebni. Siedzenie na tyłku, na dodatek w oddali, może potwornie męczyć. Dla mnie taka sytuacja jest trudna i straszna, wyobraźnia wyświetla najgorsze obrazy, czytasz o ruskich planach, o ich wojsku, zbrodniach. W Charkowie widzę to wszystko na własne oczy i mogę poświęcić się robocie, żeby jednak było lepiej, a mnie emocjonalnie łatwiej.

Serhij, wolę ciebie czytać, niż widzieć w transportach na front, gdyż pisanie to dla ciebie najbardziej właściwe zajęcie.

– Czasami coś takiego usłyszę, a potem wspólnie się śmiejemy, bo co mam odpowiedzieć, by nie zabrzmiało patetycznie? Że zgubiłem ołówek i notesik, więc nie mam pisarskiego sprzętu? Przecież nawet nie wiem, czy o tej wojnie cokolwiek kiedyś napiszę, skoro napisałem już donbaski „Internat”.

Za mojego życia na moje miasto nie spadały bomby. Ale bywałem w miejscach mniej szczęśliwych niż Warszawa i wiem, że straszniejsze od strzelaniny są beczyność i czekanie. Coś się dzieje, wraz z działaniem i adrenaliną wraca spokój.

– Moje życie daleko od Charkowa polegałoby na nieustannym czekaniu, nieustannym szukaniu wiadomości, czyli byłbym na prostej drodze do zwariowania. W Charkowie nie czekam na pracę ani na sen.

Choć czasami doświadczam takich stanów. Mój rodzinny Starobielsk, gdzie podczas II wojny Sowieci więzili Polaków w dawnym klasztorze, a potem wywozili na rozstrzelanie do Charkowa, jest na terytorium okupowanym przez Moskwę. Mam tam rodzinę, znajomych. Zero kontaktu, żadnych wieści, bo Ruscy odcięli ukraiński internet i telefonię. To trudne do wytrzymania.

Gdzie nocujesz?

– W piwnicach, schronach, czasami u przyjaciół. Swojego mieszkania unikam, bo jest na 18. piętrze. Widok szeroki, ale spanie tam jest po prostu mało bezpieczne.

Mój los jest teraz bardzo charkowski. Piwnice i metro stały się domem dla wielu charkowian, bo ich domy zostały zbombardowane, stoją w dzielnicach wyglądających jak syryjskie Aleppo, gdzie Ruscy dokonali konsekwentnej masakry miasta. Pomaga im wielu wolontariuszy – głównie charkowian. Do końca lutego tego roku nie interesowali się polityką, nie jeździli np. do Donbasu, nie byli ochotnikami na froncie. Teraz nie wyobrażają sobie, że mogliby się nie angażować.

Ludzie mówią, że warto zapamiętać sny, gdy śpi się po raz pierwszy w nowym miejscu. Podobno są w nich jakieś wróżby, przepowiednie.

– Nic mi się nie śni, odkąd wybuchła wojna. Może to lepiej, bo kiedy napatrzę się wokół na straszne rzeczy, koszmary senne nie są mi potrzebne.

Ale przecież marzysz.

– O tym, że wygramy. Jak najszybciej wygramy, położymy kres tym krzywdom, cierpieniu, śmierci.

To nie marzenie, ale realna, oby bliska przyszłość. Nawet sceptyczny i jeszcze niedawno „putinobojny” Zachód uważa, że zwycięstwo Ukrainy jest prawdopodobne.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



• Serhij Żadan (ur. 1974), poeta, pisarz, muzyk, tłumacz. Wydał 13 tomów poetyckich, m.in. „Pink Degenerate” (1993), „Księga cytatów” (1995), „Generał Juda” (1995), „Ballady o wojnie i odbudowie” (2001), „Broń palna i noże” (2013), „Życie Marii” (2015), „Antena” (2018), „Lista statków” (2020). Za twórczość poetycką otrzymał m.in. Derek Walcott Prize for Poetry. Jako prozaik zadebiutował zbiorem opowiadań „Big Mac” (2003), potem były kolejne zbiory, a także powieści: „Depeche Mode” (2004), „Hymn demokratycznej młodzieży” (2006), „Woroszyłowgrad” (2010), „Mezopotamia” (2014), za którą otrzymał Literacką Nagrodę Europy Środkowej „Angelus”. I w końcu uznany przez krytyków za arcydzieło „Internat” (2017). Jest też autorem sztuki „Rozejm chlebowy” (2020) i libretta do opery „Wyszrywany. Król Ukrainy”. Tłumaczył m.in. Czesława Miłosza, Paula Celana i Bertolda Brechta. Píše teksty i śpiewa w zespole „Sobaki w kosmosie”, który w 2014 r. zmienił nazwę na „Żadan i Sobaki”.

– Ukraiński ambasador w Warszawie Andrij Deszczyca poprosił, bym przełożył polski wiersz z powstania warszawskiego napisany przez żołnierza i poetę Zbigniewa Jasińskiego. Damy go aktorom do recytacji. Może podłożymy muzykę. Koniec idzie tak:

Halo! Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa! Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji! Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla Was! Oklasków nie trzeba! Żądamy amunicji!

Nam naprawdę starczy sił i ducha za nas i za was. Nie potrzebujemy rytualnych ape- li o pokój, uzalania się nad Ukrainą. Amunicji nam potrzeba, broni.

Aż dziw bierze, że w 2014 r. Putin starał się zrobić z Charkowa stolicę kolejnej separatystycznej pseudorepubliki. A miał nadzieję, że załatwi twoje miasto tak samo, jak załatwił Donieck i Ługańsk.

– Bardzo się starał, ale mu nie wyszło. Sądzę, że gdyby ruskie wojsko nie weszło z buciorami do Doniecka i Ługańska, też nie byłoby tam żadnych promoskalskich tworów.

Na Moskwie zemściła się jej własna bu- ta, nedoręczne poczucie wyższości, pogar- da dla wszystkiego, co nierosyjskie, zwłasz- cza dla Ukrainy. Ukraiński opór, to, że im nie odpuścimy, będziemy walczyć, bo chcemy być na swoim, u siebie, mówić po ukraińsku, nie mieścił się w moskalskich głowach, nie umieli sobie tego wyobrazić. Mieli przykład z 2014 r., kiedy część wyższych dowódców okazała się zdrajcami, część przekupili, jedli im z ręki niektórzy oligarchowie mieszkający w Ukrainie, wielu polityków.

Później korzystali z rad takich kreatur jak Wiktor Janukowycz czy Wiktor Medwed- czuk, ruskie sprzedawczyki. Oni im potwier- dzili, w co wierzą od pokoleń, że nie ma ta- kiego kraju jak Ukraina, nie ma takiego na- rodu, kultury, historii. Byli pewni, że tubyl- cy obsypią kwiatami ruskie czołgi, szczęśli- wi, że zostali wyzwoleni spod faszystowskie- go panowania i wracają do prawdziwej ojczy- zny, ruskiego miru. Obsypali, ale kulami. Wo- bec takiego kontrastu rzeczywistości z wy- obrażeniami można poczuć się solidnie zdzi- wionym. A my Ruskich jeszcze będziemy za- dziwiać.

Masz jeszcze w Rosji jakiś przyjaciół lub znajomych?

– Nie. Po Majdanie i agresji na Donbas mia- łem jeszcze kontakty, próbowałem coś tłu- maczyć, żyłem iluzjami i złudzeniami. To by- ła strata czasu, niepotrzebny wysiłek. Tam nie ma z kim rozmawiać.

Nikt nie zadzwonił do ciebie, nie napisał maila, takiego najbardziej zwyczajnego, że jest mu przykro, wstyd, że przeprasza? Nikt nie zapytał o zdrowie ani jak się czu- jesz, jak żyjesz?

– Drugiego dnia wojny skomunikował się ze mną taki Andrij Pustogarow ze Lwowa, ale od kilkudziesięciu lat mieszka w Moskwie, pi- sze po rosyjsku i zrobił się fanem Putina. Na- pisał, że natychmiast powinniśmy się poddać, to wszystko będzie dobrze.

Odpowiedziałeś mu?

– Myślisz, że tylko żołnierze z Wyspy Węży znali to stare, dzisiaj wielce sławne ukraińskie powiedzenie „idi nachuj”? U nas w Charkowie też tak się mówi w razie oczywistej potrzeby. Więcej się nie odezwał. Takich przedstawicieli ma współczesna ruska kultura i literatura.

Czy to prawda, że pisarzowi łatwiej wie- dzieć, co będzie jutro, pojutrze?

– Będzie to samo. Ładowanie samochodu, jaz- da na front, jakieś spotkania. Tu dzieje się tak wiele, lecz dni między sobą raczej się nie róż- nią.

Skoro o powiedzeniach i froncie mowa, to w Polsce jest takie porzekadło, by na fron- cie, jakby co, nosić dupę wyżej głowy, tak dla własnego bezpieczeństwa.

– Tego nie znałem. Podoba mi się.

Zastosujesz się?

– Pewnie i poradzę kolegom. ●

Laudacja Andrzeja Stasiuka

SERCE GORĄCE JAK DONBAS

Życie zawsze zwycięża. I miłość. To program polityczny Żadana. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Gdzie jest teraz Iwan Lichuj, który na bocznicę stacji Mariupol Towarowy całował i lizał kolczyki, korale, łańcuszki i satanistyczne amulety dwakroć od niego starszej Ewy? Na kolejowych prześcieradłach, w marihuanowym ciepłym półmroku, w szarym dymie bielamorów, pod niebem pełnym stukotu przetaczanych składów. Gdzie jest?

Gdzie jest naczelnik stacji w różowych kalesonach i oficerskim szynelu? Pilnujący czterdziestu wagonów uzbeckich narokotyków, które w listach przewozowych opisane były jako „bawelna”. Gdzie jest?

Gdzie jest Czapaj ze starego baraku pamiętającego rewolucję 1905 roku z zielonym napisem „Socjalizm”? Ze swoimi lekturami Engelsa. Buksujący w rozjebanej koleinie marksizmu-leninizmu. Medytujący postkomunistyczny zen nad swoimi reortami i kolbami, w których powoli skraplał się mętny samogon. No gdzie?

Gdzie jest Wasia Komunistka, który przemycił elektryczką z Białogrodu dwie skrzynki wódki, by niemal ją utracić na dworcu w Charkowie, w tranzytowym do Baku, gdzie czuć spermą i gandzią, jakby obywatela jebanego Azerbejdżanu nic, tylko parę nocy jarali i walili konia. Ale nie utracił, tylko ocalił, wyskakując z pociągu w ciepłe objęcia ukraińskiej nocy, by niedługo później prawie zginąć pod tramwajem – ale pod tramwajem też nie zginął. Wasia Komunistka. Gdzie?

Och, chciałoby się uderzyć w płacziwą i patetyczną, ginsbergowską nutę rodem ze „Skowytu”. Chciałoby się, ale wstyd oraz instynkt powstrzymują, bo jesteśmy pewni, że oni wszyscy, gdziekolwiek przebywają, posłaliby autora takiego labidzenia zgodnym i słynnym ostatnio „nachuj” (chyba tak się to pisze, z akcentem bodajże na pierwszą sylabę.) Bo oni wszyscy mogli nie ustrzec się wielu rzeczy i na pewno się ich nie ustrzegli. Ale patosowi się wymknęli. Bo wybrali życie. Bo „czy chcesz, czy nie, musisz ryzykować, kiedy masz dziewiętnaście lat i głowę nabitą gołymi panienkami z okładek gazet, reklamą i propagandą – czego masz się bać na trzecim peronie Dworca Południowego miasta Charkowa”. Tak mówi narrator o cudownym ocaleniu Wasi Komunisty w książce „Depeche mode”.

Nieugięta sowizdrzałość tej prozy. Jej niepomahowany biologizm. Ogień egzystencji oczyszczający cały syf Donbasu. Całą postsowiecką gangrenę Charkowszczyzny. Całą upadłą melancholię wschodniego stepu, gdzie industrial zasnuł horyzont czarnym dymem i ponurym płomieniem utopii. Ale przecież nie wyrzucisz tego wszystkiego z serca, bo to byłoby tak, jakbyś sobie serce wyrwał i zmienił się w upiora. Więc pomieszasz Donbas i Charków, i Mariupol z własną krwią, żeby nie umarły, żeby wstawały z martwych każdego poranka, gdy otwierasz oczy oszołomiony jeszcze dniem poprzednim, gdy puszczałeś się z ni-

mi w tany, w dantejskie pogo, z którego na zdrowy rozum się nie wraca. Ale tylko na rozum. Bo przecież jest jeszcze miłość, która uchroni cię przed prawdziwą zdradą.

Bez Żadanowego serca tamta część świata zapewne by umarła. Umarłby Iwan Lichuj i jego dwakroć starsza piękna Ewa. Umarłby Czapaj i umarł Wasia Komunistka. Umarłby Bob, który, jak się okazało po latach, sypiał z własną matką, która była jeszcze piękniejsza od Ewy, a narrator na zawsze zapamiętał „smak jej oddechu, smak jej miłości, smak jej nikotyny”.

Jaka zresztą „tamta część świata”... W czym niby jedna część świata lepsza jest od drugiej? Czyż nie jest tak, że gdy ocalamy część, to ocalamy świat cały? Tym bardziej gdy „tamta część” wydaje się tak trudna do ocalenia. Bądźmy szczerzy: dla wielu od samego początku wyglądała trochę jak trup. Jak Łazarz, który raczej nie powstał. Dopóki nie przyszedł Żadan i nie nakarmił pacjenta swoją krwią, marihuaną, portwajnem, zwietrzałym piwem, seksem, ekscysem, szaleństwem, zielenią wysokiego upalnego lata, światłem stepu, od którego miesza się rozum.

Tego roku, gdy spryciarze z gilami w nosach dorwali się do władzy, byłem na jakimś festiwalu na Śląsku. Poprzedniego wieczoru grał Iggy Pop i siedziałem na hotelowym śniadaniu nieco skacowany i ze zdartym gardłem, bo na koncercie darłem się prawie tak jak Iggy Pop. Hotel był wytworny, organizatorzy się postarali i przypominał Amerykę z lat trzydziestych. Dziobałem niemrawo widelcem w jajku na twardo i patrzyłem w głąb sali. Po szerokich marmurowych schodach schodziło dziwne towarzystwo. Pasowali do wnętrza jeszcze mniej niż ja. Rozkudłani, w obwisłych dżinsach, porozciąganych podkoszulkach i opuchnięci. Oblegli bufet i gmerali w czterogwiazdkowej ofercie. Reki i rekinice biznesu oraz wysokopłatnej turystyki przyglądali się od stolików ze wzgardliwym zdziwieniem. A potem na marmurowych stopniach zobaczyłem Serhija. Schodził ostatni, a ci przed nim to były Sobaki w Kosmosie, jego zespół. Wypatrzył mnie w rogu sali, nie wziął nawet kawy, usiadł naprzeciwko, spojrzał mi w oczy i zapytał: „Co wyście, kurwa, zrobili?”. Bo to był ten rok, gdy spryciarze z gilami w nosach dorwali się do władzy. „Nie wiem, Serhij, przepraszam” – odpowiedziałem i spuściłem wzrok.

Często gdy długo jadę samochodem i czuję zmęczenie, puszcza sobie płytę Sobak pod tytułem „Zbroja proletariatu”. Zwłaszcza kawalek „300 Kitajcew”. Jest w tym utworze ni to punkowym, ni to rapowym jakaś energia, która działa lepiej niż red bull i podwójne espresso. Jest jakaś anarchiczna siła, której starcom w moim wieku zaczyna brakować. Dlatego późną nocą słuchałem tej płyty na szosach krajowych i zagranicznych. Słuchałem na mongolskich stepach, na wyżynach Pamiru, w górach Kirgistanu i na pustyniach Kazachstanu też. W tych odległych krainach mniej z powodu senności, bo tam po no-

cy nikt przytomny nie jeździ, ale raczej dlatego, że ta muzyka nadawała jakiś piękny i niejasny sens absurdałnej jeździe w stronę oddalającego się horyzontu. I kojarzyła mi się z „Wszystko za życie” Seana Penna. Jeśli wiedzą Państwo, co mam na myśli.

Nie wiem, co grali Sobaki i Serhij na tamtym śląskim festiwalu. Może kawalki ze „Zbroi”, a może i nie. Natomiast pytanie Serhija w hotelowej restauracji było fundamentalnie polityczne. I pełne pasji. Tak jak pełna pasji i polityki jest płyta, o której mówimy. Jedna z moich ulubionych fraz naszego Bohatera brzmi: „Politykom nie wolno stawiać pomników. Polityków trzeba walić w leb”. Nie pada na płycie, pochodzi z którejś z książek.

Żadan jest polityczny w najlepszym tego słowa znaczeniu. Staje po stronie tych, którzy wsparcia potrzebują. Po stronie konkretnych i symbolicznych „Korejców, Wietnamców, Afrykańców”, którzy pracują do siódmych potów po to, by jeden z drugim spryciarz z gilem w nosie, obojętnie z której strony, kradł owoce ich wysiłków. Jego serce jest gorące jak Donbas i czerwone jak światowy proletariatus. Jego krwisty puls brzmi anachronicznie w dzisiejszych czasach, tak pozbawionych serca i bezkrwistych. Ale jest żywe, a życie zawsze zwycięża. Podobnie jak zwycięża miłość. I to jest jego, Żadana, program polityczny. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo nigdy oficjalnie go nie ogłosił.

„Za nic nie zejść do metra w razie bombardowania, już z wyprzedzeniem wiem, czym to się skończy, tu nie ma co liczyć na coś dobrego, warto wspomnieć chociażby berlińskie metro, starannie zatopione przez ostatecznie rozwalony reżim”. Napisał to w 2005 roku w „Anarchy in the UKR”. Zaiste, profetyczna antywizja, odwrócona wizja lustrzana. Teraz od czasu do czasu musi schodzić, bo przecież nie można dać się zabić. Zwłaszcza takim głupim skurwysynom. Jak już ktoś ma cię zabić, to niech to będzie ktoś porządny. Tak mi się wydaje. Więc czasem schodzi, bo jest przecież wojownikiem, a wojownik ma walczyć i w końcu zwyciężyć.

Gdzieś powiedział, że wyjdzie z Charkowa tylko z żołnierzami. Na końcu. Ktoś musi przecież bronić swoich. Braci Lichuj i pięknej Ewy. Wasi Komunisty, Czapaja i zawiadowcy strzegącego wagonów z uzbeckim towarem. I Boba ktoś musi bronić. I jego szalonej matki, której oddech pachniał nikotyną i miłością. Nawet wtedy, gdy już zmienili się w cienie. Wtedy chyba nawet bardziej.

Bo wielki pisarz broni swojego świata i dzieła do ostatniej kropli atramentu. Ale w sercu Serhija Żadana nigdy nie płynął pisarski atrament. Płynęła i płynie najprawdziwsza krew. Atramentu tylko używał, żebyśmy mogli chociaż trochę pojąć z tego, co chce nam opowiedzieć.

Niech żyje Żadan!
Sława Ukraini! ●

W tekście jest kilka sparafrazowanych cytatów z Serhija, których nie ująłem w cudzysłowy. Te w cudzysłowie są w przekładzie niezrównanego Michała Petryka.

FOT. AGATA GRZYBOWSKA



Serhij Żadan

Wczoraj Rosjanie ostrzelali park imienia Gorkiego i stadion Dynama w Charkowie. To obiekty całkowicie pozbawione znaczenia strategicznego, ale paradoksalnie pełne radzieckich skojarzeń. Klub sportowy Dynamo pozostaje swego rodzaju znakiem post-radzieckiej przestrzeni, a nazywanie parków imieniem „proleta-riackiego” pisarza Gorkiego – również nale-ży do radziecko-nostalgicznych narracji, z których w ciągu ostatnich lat tak energicznie rezygnuje się w Ukrainie i które w dalszym ciągu przypominają oficjalną ideologię w Rosji.

Ta przez dziesięciolecia, gdy już otrząsnęła się po rozpadzie ZSRR, wypełniała się toksyczną mieszanką stalinowskiej nostalgii i rewizjonizmu, poważnie obwieszczając zamiar odbudowy projektu radzieckiego i biorąc zakładników w postaci całego regionu.

Rewizjonizm jako ideologia państwowa opierał się właśnie na tej pretekście, wynikał bezpośrednio ze „szczęśliwej radzieckiej przeszłości”, którą nam zabrano, z radzieckimi klubami sportowymi i pisarzem Gorkim. Rosyjska propaganda wydawała gigantyczne sumy na budowę tego dziwnego kołosa, który trzymał się na wierze w siłę przeszłości, którą można wykorzystać w przyszłości.

ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ



„Russkij mir” okazał się niezbyt nowoczesną wersją zwyczajnego nazizmu.

• Zespół Żadan i Sobaki gra
2 kwietnia koncert dla dzieci
w charkowskim metrze.

I oto nastała przyszłość. Dwudziestego czwartego lutego szambo w końcu wybiło i Rosja wylała całą wściekłą i niekontrolowaną złość i agresję na Ukrainę. Wojna, która tak naprawdę trwała już od 2014 roku, od czasu aneksji Krymu i wejścia rosyjskich żołnierzy do Donbasu, nabrała nowych, niespotykanych od czasów II wojny światowej rozmiarów. Ukraina na tę wojnę, tak czy inaczej, była gotowa. Ale czy gotowy był na nią świat?

A także sama Rosja – w jakim stopniu zestawia ona dziś w świadomości zbiorowej własne wyobrażenia o rzeczywistości z rzeczywistością jako taką?

W jaki sposób „przeciętny” rosyjski żołnierz jest w stanie pogodzić w swojej głowie oświadczenia kierownictwa o „denazyfikacji” Ukrainy i „obronie rosyjskojęzycznej ludności” z masowym zabijaniem tej ludności, z jawnymi zbrodniami przeciwko cywilom, ze zbombardowanymi i kompletnie zniszczonymi miasteczkami i wsiami Donbasu i Charkowszczyzny?

Przypuszczam, że nijak. Przypuszczam (nie ma co przypuszczać – jestem pewien), że współcześni Rosjanie nie uświadamiają sobie tych zbrodni, które popełniają jako armia, jako naród i jako państwo. Nie mają świadomości tego, jak daleko wyszli poza granice nie tylko moralności czy etyki, ale także poza granicę człowieczeństwa.

Co mają zamiast tego? Mają społeczeństwo złończyków, szabrowników, gwałcicieli i bandytów, którzy gotowi są mordować Ukraińców po prostu za to, że są Ukraińcami. Wystarczy być Ukraińcem, żeby stać się potencjalnym celem, teoretyczną czy praktyczną ofiarą tej

wojny. Niepotrzebne są żadne dodatkowe czynniki i określenia. Nie trzeba być członkiem tej czy innej partii, nie trzeba głosić na tego czy innego kandydata na prezydenta Ukrainy, nie ma znaczenia, czy mówisz po ukraińsku, czy po rosyjsku. Rosyjska armia nie dzieli ludności ukraińskiej na rosyjskojęzyczną i ukraińskojęzyczną, na zwolenników Zelenskiego czy Medwedczuka (to ojciec chrzestny córki Putina, jeśli ktoś się nie orientuje), na tych, którzy popierają wstąpienie kraju do NATO, czy tych, którzy w dalszym ciągu oglądają rosyjską telewizję. Żeby zginąć z rąk rosyjskich wojskowych, wystarczy po prostu być Ukraińcem.

To ludobójstwo. Ludobójstwo, które odbywa się na kontynencie europejskim, pod boki Unii Europejskiej, w XXI wieku. Ludobójstwo, które odbywa się pod hasłami „denazyfikacji” i w ogóle – walki z nazizmem. „Russkij mir”, o którego obronie tak uparcie i zawzięcie przez wszystkie te lata mówiła rosyjska władza i rosyjska propaganda, okazał się niezbyt nowoczesną wersją zwyczajnego nazizmu, u którego podstaw leży całkowite zaprzeczenie podmiotowości innych narodów i niespotykana mieszanina własnego mesjanizmu i szowinizmu.

Złożyło się tak, że bezpośrednią ofiarą owego „ruskiego miru” stała się właśnie Ukraina. Dzisiaj nasz kraj przeciwstawia się wścieklej i oszalałej armii zbrodniarzy wojennych. Walczymy dziś nie o terytorium – walczymy dosłownie o prawo do istnienia, doskonale to rozumiemy po dwóch miesiącach krwawej kaźni, którą niesie ze sobą Rosja. Po Buczy,

Irpiniu, Hostomlu, Mariupolu wątpliwe, by ktoś, kto jest w stanie krytycznie myśleć o sytuacji, miał wątpliwości, co nas czeka po zwycięstwie Rosjan. Czekają nas fizyczna likwidacja. Ni mniej, ni więcej. Walczymy, by uratować życie – własne, swoich dzieci i rodziców.

Dla Rosji to wojna na wyniszczenie. Dla Ukrainy – walka o przyszłość.

Ale oczywiście nie tylko swoją. Mam nadzieję, że rozsądni ludzie w Europie rozumieją, że obecnie Ukraina broni sobą – ciałami obywateli, ścianami budynków – przyszłości całej Europy. W przypadku przegranej Europa stanie oko w oko ze zbrodniarzami, którzy będą wypierać się zbrodni, tym samym podając w wątpliwość same pojęcia sprawiedliwości i człowieczeństwa. Jestem pewien, że obywatele starej dobrej Europy, która chyba mentalnie nie doszła do siebie po dwóch poprzednich wojnach światowych, zrozumieją jednak, że w tym wypadku mamy do czynienia nie z lokalnym konfliktem pomiędzy dwiema postradzieckimi republikami – mamy do czynienia z początkiem trzeciej wojny światowej. Ta wojna może kosztować zbyt wiele. Więcej, niż świat będzie mógł zapłacić. I dlatego to tak ważne, by powstrzymać agresorów już dzisiaj – póki nie zalali krwią wszystkiego, do czego zdolają dotrzeć.

Przede wszystkim potrzebujemy broni. Jak swego czasu powstańcy warszawscy mieli dość odwagi i siły, ale brakowało im naboju, tak teraz Ukraińcy codziennie powtarzają: nie boimy się wroga, jesteśmy w stanie go rozbić, naszej wściekłości, siły i zapiekłości wystarczy, żeby położyć

kres temu imperium zła. Jednak potrzebujemy ciężkiego uzbrojenia, żeby nasze miasta nie były celami bezkarnych obstrzałów, a nasi wojskowi mieli szansę przejść do kontrnatarcia i wyrzucić gwałcicieli i szabrowników z naszego terytorium.

Ale poza uzbrojeniem bardzo ważne jest dla nas poczucie wsparcia całego świata, wsparcia ze strony ludzi, którzy nie boją się nazywać rzeczy po imieniu, którzy nazywają zło złem i którzy uważają za niemożliwe targowanie się ze zbrodniarzami wojennymi o cenę ropy czy gazu.

W tym sensie stanowisko Polski, polskiego rządu, a przede wszystkim – społeczeństwa polskiego, jest dla nas symboliczne i istotne. Nadzwyczajnie istotne jest poczucie, że sąsiad stoi ramię w ramię z nami, odpowiadając za swoje słowa i czyny, stawiając pojęcie wolności i człowieczeństwa ponad koniunkturą polityczną i doraźnymi preferencjami gospodarczymi. Polska jest obecnie wyraźnym i pewnym sojusznikiem. Partnerstwo, które powstaje w tak krwawych okolicznościach, bardzo dużo kosztuje. Umacniają je nie polityczne zobowiązania – stoją za nimi godność ludzka, szacunek do sąsiadnego narodu i jego państwowości oraz gotowość obrony wartości wspólnych dla wszystkich ludzi dobrej woli. A wartościami tymi są wolność i prawo do bycia sobą.

Więc, korzystając z okazji, chcę podziękować wszystkim Polakom, którzy wspierają Ukrainę w jej pragnieniu uratowania życia swych obywateli, zachowania swych granic, zachowania siebie samej. To dzięki waszej pomocy walczymy dalej. Tak jak zawsze – za wolność naszą i waszą. ●

Przełożył Michał Petryk

Całe życie piszę jedną, niekończącą się książkę

Dla Polaków Serhij Żadan od blisko dwóch dekad jest twarzą ukraińskiej literatury.

Jacek Świąder

Po inwazji rosyjskiej armii na Ukrainę Żadan pozostał w swoim bombardowanym dzień w dzień Charkowie. Piszze teksty o wojnie dla zachodnich gazet, udziela wywiadów („Jeżeli widzi się martwe dzieci ostrzelane rakietami, to oczywiście nie wypada już rozmawiać o wielkiej humanistycznej tradycji rosyjskiej kultury”). Przede wszystkim zajmuje się pomocą humanitarną. On i jego przyjaciele pod ostrzałem dostarczają pomoc emerytom, transportują leki i żywność, organizują wsparcie psychologów dla stłoczonych w tunelach metra kobiet i dzieci.

ZGUBIŁEM ZESZYT NA OLEKSIJEWCE

Dla Polaków Żadan jest twarzą ukraińskiej literatury od blisko dwóch dekad, gdy jego opowiadania i powieści zaczęło u nas publikować wydawnictwo Czarne. To lektura poruszająca w dobrym sensie – pstrokata, anegdotyczna, zderzająca różne style, ale wdzięczna. Żadan nie nudzi. Piszze o ludziach bujających się gdzieś między młodością a dorosłością (jak między życiem w ZSRR a rzeczywistością po-radziecką), w tym wiecznym środkowo-europejskim czekaniu nie wiadomo na co. Bohaterowie przeżywają swoje miłości, inicjacje, nadzieje, rozczarowania, po-

ANARCHISTA NA BARYKADZIE

Żadan się zmieniał. W Charkowie czasów pomarańczowej rewolucji (2004) sprawował funkcję komendanta namiotowego miasteczka. Minęła jeszcze dekada i podczas Euromajdanu anarchista Żadan bronił siedziby charkowskiej administracji lokalnej przed atakiem rosyjskich bojówek. Znalazł się wśród 97 ofiar samosądu – nie chciał paść na kolana przed „ludową władzą” przywiezioną z Rosji, bili go po głowie pałkami. Gdy policja wyciągnęła go z kotła, miał wstrząs mózgu, głowę do szycia, podejrzenie złamania nosa.

W 2017 roku podczas festiwalu literackiego w Mińsku białoruska milicja zabrała go nocą z hotelowego pokoju na dołek. Pretekstem były „związki z działalnością terrorystyczną” i rzekomy zakaz wjazdu do Białorusi (w rzeczywistości do Rosji). Zakaz i deportację udało się odkręcić na szczęblu dyplomatycznym, również dzięki białoruskim pisarzom.

FUTURYSTA NA TRAKTORZE

Urodził się 23 sierpnia (obecnie Dzień Niepodległości Ukrainy obchodzi się dzień później) 1974 roku w Starobielsku – stolica regionu nazywała się wtedy Woroszyłowgrad, dziś Łuhańsk. Rodzina była ukraińskojęzyczna. W jednym z wywiadów wspominał, że z jego radzieckiej szkoły uczniowie wychodzili z prawem jazdy na samochód albo traktor. Coś go podkuśliło, by wybrać traktor, i po dwóch latach przerażających przejażdżek z instruktorem, choć umiejętności nie nabył, otrzymał dokument (który zresztą po paru latach zgubił).

przez nas, nawet jeśli nie chcemy jej ponownie czytać (...) Wojna czyni nas bezradnymi i bezbronnymi, trzeba mieć mocne serce, żeby wytrzymać, żeby pozostać sobą, w końcu – żeby się nie bać” – pisał Żadan w tekście dla „Książek. Magazynu do Czytania”.

Odnosił się do „Internatu”, swojej przełomowej książki o wojnie w Donbasie, której bohaterami uczynił zwykłych ludzi. Nikt nie wie, jak zachowa się w obliczu nieprzewidzianego. Dziś w Polsce możemy odnosić te słowa do naszej reakcji na wojnę i gwałtowną obecność milionów ludzi uciekających przed wojną, w tym tysięcy studentów z miasta Serhija Żadana. Wiemy tylko, że chcemy sprostać, chcemy być dobrzy, ale nie mamy jeszcze słów dla swoich uczuć. Tak samo nie mają ich Ukraińcy.

Pisząc „Internat”, Żadan przez kilka lat jeździł na front w Donbasie, dowoził pomoc, spotykał się z żołnierzami, zbierał pieniądze na rzeczy potrzebne przedszkolom, szkołom, bibliotekom, szpitalom. W końcu w 2017 roku założył fundusz wsparcia rodzin tych, którzy zginęli. Pisał wtedy: „Charkówszczyzna i Donbas to Ukraina. Te regiony potrzebują dziś szczególnej uwagi i naszej wspólnej pracy na rzecz przyszłości”. Podkreślał, że wsparcie oświaty, kultury i całej sfery humanitarnej zdecyduje o tym, jakie będzie społeczeństwo Donbasu za pięć-dziesięć lat. Czyli teraz.

ZWYCZAJNIE KOCHAM LUDZI

Nazywają Żadana autorytetem moralnym, on się odżegnuje. Twierdzi, że zwyczajnie kocha ludzi i że nawet jeśli okazują się słabi czy niepewni, warto skupiać się na pozytywach, które są w każdym. Wydaje się tym

Zawieźliśmy im kamizelki kuloodporne, hełmy i sprzęt potrzebny do pracy. Grubo ponad setce pomagamy finansowo. To często ich jedyne źródło dochodu.

Z JOANNĄ KRAWCZYK, PREZESKĄ FUNDACJI „GAZETY WYBORCZEJ”, SZEFOWĄ PARTNERSTW „WYBORCZEJ”, ROZMAWIA WALDEMAR PAŚ

Fundacja pozyskała blisko 600 tys. euro na fundusz pomocy dziennikarzom ukraińskim.

– To była potrzeba chwili. Gdy Putin napadł na Ukrainę, „Wyborcza” nie mogła pozostać obojętna. Zaproponowałam radzie Fundacji utworzenie takiego funduszu, a ona w ciągu jednego dnia przyjęła mój wniosek – alokowaliśmy pierwsze 100 tys. zł. Peter Wołodarski, jeden z członków rady naszej Fundacji, a na co dzień redaktor naczelny szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter” i nasz wielki przyjaciel, natychmiast poinformował o inicjatywie ludzi z Bonnier Group i innych mediów szwedzkich, duńskich, fińskich i norweskich. Oni się wszyscy świetnie znają i sobie ufają. To był początek fali dobra. Dzięki sześciu osobom otrzymaliśmy kilkadziesiąt wpłat od firm i instytucji.

Na jak długo to wystarczy?

– Na razie do końca roku.

Fundacja już pomaga, choć niedawno jeszcze jej nie było.

– Trzeba powiedzieć, że to Jerzy Wójcik był kołem zamachowym obu fundacji – „Gazety Wyborczej” i „Wysokich Obcasów”. Tylko dzięki jego entuzjazmowi i uporowi urzędywistniły się rzeczy, o których teraz mówimy. Bez niego pozostałyby tylko w mojej głowie. To Jerzy położył podwaliny pod to, jak dziś myślimy, działamy i co chcemy osiągnąć z fundacjami.

Co więc teraz robicie dla ukraińskich mediów?

– Niesiemy doraźną pomoc finansową i rzeczową. Jako pierwsza organizacja europejska zawieźliśmy do Ukrainy kilkadziesiąt kamizelek kuloodpornych, hełmów, gogli, rękawic. Okazało się, że szef ochrony Bonnier’a to były wojskowy. Uruchomił stare kontakty. Przywiozł to wszystko swoim volvo do Warszawy. Wysłaliśmy już kilka transportów.

Ukraińcy dziennikarze wciąż potrzebują kamizelek?

– Nie tylko. Potrzebny jest też sprzęt medyczny, ale głównie elektroniczny do pracy. To rejon blisko frontu, gdzie redakcje lokalnych mediów już nie istnieją. Dostarczamy komputery i pieniądze 47 lokalnym mediom. Płacimy też dziennikarzom – to często jest ich jedyne źródło dochodu.

Ilu dziennikarzy dostaje pieniądze i ile?

– 125 osób. Dostają od 300 do 350 euro. Absolutne minimum, aby przeżyć w Ukrainie. Ściśle współpracujemy z The Fix Media, grupą założoną przez Ukraińców, znanych m.in. z serwisu Kyiv Independent (kyiv-independent.com). Oni pierwsi publicznie uruchomili zbiórkę na rzecz dziennikarzy w Ukrainie, daliśmy im 40 tys. euro.

Co w kolejnych latach?

– Razem z The Fix Media chcemy pomóc w odbudowie mediów w Ukrainie. Dla nas media są dobrem publicznym. O tym teraz dużo się mówi za granicą na specjalistycz-



wroty, a on relacjonuje to tak, jakby odpowiadał na pytanie kolegi z podwórka, co słyhać. Czasem wesoło, czasem z melancholią, często na kacu.

Żadana jest jednak znacznie więcej, i nie chodzi wyłącznie o wiersze, eseje i punkowe zespoły. Od początku spełniał się w działaniu, sympatyzował zresztą z anarchistami i rastamanami. W 1992 roku współzakoładał neofuturystyczną korporację poetycką Czerwona Fira (Czerwony Ogień). Inny z jej twórców, Rostysław Melnykiw, parę dekad później wspominał w serwisie Chytomo.com, że tamtego roku po powrocie z wakacji znalazł w skrzynce pocztowej od razu kilka listów od 18-letniego Żadana. W pierwszym z radością informował o tym, że ułożył już tomik „Podróż do Chin”, w ostatnim – rozpaczał, że zgubił, prawdopodobnie „w czeluściach akademika na Oleksijewce”, zeszyt z wierszami. Tak czy siak rok później wyszedł „Różowy degenerat”, debiutancki tomik wierszy Żadana.

W latach 90. do Charkowa przyciągnęła Żadana akademia. Ukończył wydział literatury ukraińsko-niemieckiej, zrobił doktorat z poezji ukraińskiego futuryzmu (bohater jego rozprawy Mychajło Semenکو został rozstrzelany w ramach Wielkiego Terroru w 1937 roku), po czym został na Uniwersytecie im. Hryhorija Skoworody jako naukowiec i wykładowca.

W Charkowie debiutował jako poeta, tu w latach 1997-98 zaczął współpracować z muzykami. To zostało: na początku kwietnia zespół Żadan i Sobaky dał koncert dla dzieci z metra. Również w Charkowie Żadan został pisarzem – dokładnie w 2004 roku, tak o sobie pisze! – choć opowiadania, które złożyły się na pierwszą prozatorską książkę Żadana „Big Mac”, powstały w Wiedniu.

NA CO DZIEŃ I NA CO NOC

„Sami tworzymy swoje okoliczności, sami piszemy swoją historię. Jest napisana

samym idealistą, który w połowie lat 90. wkroczył na literacką scenę Ukrainy. Już wtedy śledził jego poczynania Jurij Andruchowycz, pisarz z przeciwnego, zachodniego krańca Ukrainy, dziś prawdziwy patriarcha literatury naszych sąsiadów.

Andruchowycz pisze: „Jego [Żadana] wyjątkowość polega na tym, że [osiągnąwszy błyskotliwe sukcesy w prozie] nie odwrócił się od poezji. Jego proza jest tak samo gesta i plastyczna jak jego nieproza. Niezliczeni ludzie nie tylko w naszym kraju znają jego wiersze na pamięć, bo żyją z nimi na co dzień i na co noc, oświadczają się nimi, smucą i żartują”.

Całe życie piszę jedną, niekończącą się książkę – twierdzi Żadan. Sam jest ciekaw, do jakiego finału ona zmierza.

Czekanie na jej kolejne rozdziały to zaszczyt.●

POMAGAMY UKRAIŃSKIM DZIENNIKARZOM

nych konferencjach – „Journalism as public good” albo „Public interest journalism”.

Jak w praktyce będzie wyglądała odbudowa?

– Nie wszystkie lokalne media ukraińskie przetrwają wojnę. Ale zainwestujemy w te, którymi się opiekujemy.

Fundacja będzie kupować media ukraińskie?

– Absolutnie nie, właściciele pozostaną ci sami.

Czy to dobrze? Tyle się mówiło o oligarchizacji mediów w Ukrainie.

– To prawda, ale jednak w Ukrainie były niezależne media. Cztery organizacje zrzeszające tam media lokalne i nasi dziennikarze znający realia odpowiedzą nam, które są niezależne i które warto wesprzeć.

Na co będą mogli liczyć?

– Weźmiemy pod opiekę 15 lokalnych mediów w Ukrainie. A skoro w funduszu ukraińskim działają organizacje medialne z pięciu krajów – Danii, Finlandii, Norwegii, Polski i Szwecji – to każda z nich zaopiekuje się trzema mediami.

My, „Wyborcza” i Fundacja „Gazety Wyborczej”, weźmiemy pod skrzydła trzy redakcje. Zapewnimy finansowanie, mentoring, podpowiemy strategię biznesowe, dziennikarskie, pomożemy w modernizacji – aby później same sobie poradziły. Już trzeba myśleć o odbudowie, choć konflikt będzie się tlić.

PiS zamierzał uchwalić quasi-putinowskie przepisy zwalczające finansowanie NGO-sów z zagranicy w ramach walki z „agenturą wpływu”?

– Na razie im chyba przeszło. Mam nadzieję, że tego nie uchwala.

Jak Fundacja „Gazety Wyborczej” pomaga polskim mediom i dziennikarzom?

– Dzięki Thomson Foundation z Wielkiej Brytanii prowadzimy program rocznego mentoringu dla trzech lokalnych wydawców. Nie zdradzimy, o kogo chodzi, przed zakończeniem programu. Chcemy złożyć z nimi wniosek do Google’a o grant na ich transformację cyfrową, zyskają zrzęby własnego systemu subskrypcyjnego. Pomagamy im przeorganizować strategię sprzedaży reklam oraz funkcjonowanie redakcji.

Jest też Fundusz Dziennikarstwa Śledczego dostępny dla wszystkich dziennikarzy.

– W najbliższych dniach ogłosimy nabór do II edycji programu. W pierwszej sześcioro zwycięzców dostało granty od 12 do 20 tys. zł. To znani dziennikarze ogólnokrajowi oraz lokalni.

Czy powstały już jakieś materiały śledcze?

– Dziennikarze pracują. Ze zrozumiałych względów nie będziemy ujawniać ani nazwisk, ani tematów. Do drugiej edycji chcemy też zaprosić niezależnych dziennikarzy z Ukrainy, Białorusi i Rosji, którzy uciekli do Polski przed wojną lub dyktaturą.

A jakie są inicjatywy Fundacji dla samej „Wyborczej”?

– Wspieramy nagrodę fotograficzną im. Krzysztofa Millera, jeden z najbardziej prestiżowych konkursów fotograficznych. Z redakcją „WO” prowadzimy program „Czułość i wolność”. Realizujemy go dzie-

Fundacja „Gazety Wyborczej” wspiera

• **FUNDUSZ DZIENNIKARSTWA ŚLEDZEGO**

200 000 zł

w 2021 r., w tym roku

300 000 zł

• **FUNDUSZ NA RZECZ MEDIÓW W UKRAINIE**

2 800 000 zł

już wydaliśmy 800 000 zł

• **FUNDUSZ MEDIÓW LOKALNYCH**

70 000 zł

rozdysponowaliśmy

• **CZUŁOŚĆ I WOLNOŚĆ**

2 000 000 zł

• **WSPÓLNE PROJEKTY DZIENNIKARSKIE Z „WYBORCZĄ”**

250 000 zł

• **KONKURS IM. KRZYSZTOFA MILLERA DLA NAJLEPSZYCH FOTOREPORTERÓW**

90 000 zł

• **NEWS FROM POLAND, ANGLOJĘZyczny SERWIS O POLSCE**

240 000 zł

• **SZKOŁA REDAKTORÓW „WYBORCZEJ”**

160 000 zł

FOT. ZUZA KRAJEWSKA/MATERIAŁY PRASOWE



ki współpracy z Kulczyk Foundation od połowy 2020 r. To też była potrzeba chwili, trwała pandemia, nikt nie wiedział wtedy, jak radzić sobie z emocjami, różnymi potrzebami, które pojawiły się z powodu odosobnienia. Powstały już setki materiałów poradnikowych na ten temat. Dofinansowujemy anglojęzyczny serwis News from Poland na Wyborcza.pl. Dzięki Fundacji redakcja „Wyborczej” może współpracować z instytucjami, które nie chcą wchodzić w relacje z instytucjami biznesowymi, i otrzymywać od nich granty. Z Europejską Fundacją Kultury będziemy realizować projekt o różnorodności w redakcji, głównie językowej, narodowościowej. Teraz, gdy w Polsce są dwa miliony uchodźców, to bardzo ważne.

Prowadzimy wspólnie Szkołę Redaktorów – wewnętrzny program dla dziennikarzy „Wyborczej” szlifujący ich talenty.

Są też inne projekty, nad którymi jeszcze pracujemy.

Od niedawna jesteś w zarządzie Europejskiego Funduszu Mediów i Informacji (European Media and Information Fund).

– Duża radość i zaszczyt. Powstał przed rokiem. Wspiera walkę z dezinformacją i propagandą i jest jednym z największych w Europie. Moja tam obecność wskazuje na to, że fundusz jest żywo zainteresowany stanem mediów w Europie Środkowo-Wschodniej. Potrzebujemy więcej takich mediów jak „Wyborcza”, więcej rzetelnej informacji i wysokiej etyki dziennikarskiej. Potrzebujemy więcej „Gazet Wyborczych”.

Jaka przyszłość?

– Jestem pełna nadziei. Pracujemy nad docelowym modelem obu naszych fundacji. Nie chcemy być postrzegani jako fundacja korporacyjna, a czasami niestety tak się zdarza. To wymaga partnerskiego ułożenia relacji z Agorą – to również jest coś, na czym się skupiamy. Wierzę we współpracę osób, które serce mają po właściwej stronie. ●

Fundacje „Gazety Wyborczej” i „Wysokich Obcasów”

• powstały w 2018 r. Więcej pod adresami: fundacjagazetywyborczej.pl i fundacjawysokichobcasow.pl. Fundusz Dziennikarstwa Śledczego i Fundusz na rzecz Mediów w Ukrainie można wesprzeć pod adresem: fundacjagazetywyborczej.pl/wesprzyjnas/

Z ADAMEM MICHNIKIEM ROZMAWIA
DOMINIKA WIELOWIEYSKA

Jaka jest definicja rusofobii?

– To pogląd, który zakłada, że cały rosyjski naród od wieków i na wieki skazany jest na to, żeby być – bez wyjątku – narodem morderców, niewolników, skorumpowanych złodziei, pijaków, ludzi złych.

W rusofobii zawiera się też pogląd, że Rosja zawsze będzie zwalczać Polaków.

– Tak. I ja przed taką rusofobią przestrzegam. My walczymy z putinizmem, który państwo autorytarne przekształca w państwo totalitarne. Powinniśmy być po stronie ofiar putinizmu: i ukraińskich, i rosyjskich. Dziś mamy szczególny moment, w którym rusofobia może się utrwalić, bo przecież ona istnieje w polskiej kulturze od zawsze. Ale nie może zdominować naszego myślenia o świecie. To ślepy zaułek. Nie można na każdego Rosjanina patrzeć jak na winnego. Ja się utożsamiam z wierszem Adama Mickiewicza „Do przyjaciół Moskali”. I chciałbym, aby Polska czerpała właśnie z tej tradycji.

Czy dzisiaj rusofobia nie powinna być tematem tabu ze względu na uczucia Ukraińców? Każde dzielenie włosa na czworo może ich drażnić. Rosjanie są agresorami, i tyle.

– Tematy tabu spychamy do podświadomości. Niewątpliwie rusofobia dzisiaj jest takim tematem. Jeżeli się patrzy na to, co putinowska armia wyczynia w Ukrainie, to nawet najgorsze skojarzenia, choćby z Hitlerem, nie są przesadne. Trudno dziwić się erupcji gniewu, który się przeradza w nienawiść do Rosjan wśród Ukraińców i przyjaciół Ukrainy. Ale widzimy też erupcję gniewu i wstydu u tych Rosjan, którzy sprzeciwiają się bandyckiej polityce Putina. Żaden przyzwoity Rosjanin nie będzie się dzisiaj spierał z najsurowszymi osądami. Tak jak trudno było się spierać z najsurowszymi osądami Niemców epoki Hitlera, które wypowiadali Żydzi, Polacy, Serbowie, Francuzi, Anglicy czy Amerykanie. Nie sprzeciwiał się wtedy ani Tomasz Mann, ani Marlena Dietrich.

Mówiąc „temat tabu”, miałam na myśli to, że to nie jest najlepszy moment na rozważania o rusofobii. Tak jak nie było dobrym momentem w trakcie Holocaustu rozważać, czy możemy stosować odpowiedzialność zbiorową wobec Niemców.

– Ale rozważano. W tej sprawie doszło do awantury między Stalinem a Churchilllem, gdy Stalin zaproponował eksterminację kilkuset tysięcy niemieckich wojskowych. Skądinąd Stalin miał też twarz cwane go manipulatora, bo przecież od niego pochodzi zdanie, że Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a wielki naród niemiecki pozostanie.

Czy bierzemy dzisiaj pod uwagę uczucia i nastroje Ukraińców?

– Tak, trzeba być całkowicie po stronie Ukrainy.

Rosjanie są agresorami. Na temat rusofobii możemy rozmawiać, jak się wojna skończy. Naprawdę trudno przyjąć, że Putin odważyłby się na jej rozpętanie, nie czując poparcia większości Rosjan.

– Federacja Rosyjska jest agresorem. Ale ja wolę mówić, że to jest wojna Putina, a nie Rosji. Sprzeciwiam się tezie, że Rosja jest taka czy siaka. Mnie zawsze denerwowały uogólnienia na temat Niemców, Polaków, Żydów. Ilja Erenburg w artykule, który rozdał żołnierzom Armii Czerwonej, pisał: „Jeżeli spotkasz niemieckiego żołnierza i on ci pokaże legitymację, że był w związkach zawodowych albo partii komunistycznej, to i tak strzelaj do niego i go zabij, bo to jest Fritz”.

„Niemcy to nie ludzie. Od dziś słowo »Niemiec« stanowi najstraszliwsze wyzwisko... Będziemy zabijać. Jeśli któregoś

TO WOJNA PUTINA, NIE ROSJI

Nawet jeśli w mieście jest tylko dziesięciu sprawiedliwych, to oni ocalą miasto

dnia nie zabiłeś przynajmniej jednego Niemca – zmarnowałeś ten dzień...”, pisał Erenburg w 1942 roku.

– Można zrozumieć emocje czytelników tego tekstu i nawet autora. Niemniej to zaowocowało czymś niebezpiecznym, a mianowicie germanofobią, która stała się instrumentem w rękę złych ludzi. Ja to widziałem w Polsce. Wiem, ile determinacji i wysiłku wymagało od ludzi mojej generacji, żeby się z tego wyzwolić. Pamiętam deklarację przyjaciela mego ojca, amerykańskiego Żyda o lwowskich korzeniach, który w 1964 r. powiedział mi bardzo spokojnie: u mnie w domu nie ma nic niemieckiego, ani filiżanki, ani czekolady, lyżeczki. Po tym, co oni zrobili, nie mają w żadnej formie wstępu do mojego domu. W Polsce doskonale rozumiałem emocje antyniemieckie. Nie było rodziny, która by nie ucierpiała. Ale na miłość boską, trzeba iść do przodu. Ja to zrozumiałem, gdy w 1965 roku polscy biskupi napisali list do biskupów niemieckich „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”. Naród wtedy nagle zwariował. Pierwszy raz okazało się, że Polacy wołają komunistów od Kościoła katolickiego. Tymczasem to był najmądrzejszy list polskiego Episkopatu po wojnie.

List podpisało 34 polskich hierarchów, m.in. kardynał Stefan Wyszyński i Karol Wojtyła. Autorem i inicjatorem był przyszły arcybiskup wrocławski Bolesław Kominek. Władze PRL zarzuciły im służenie

niemieckim interesom. Ludzi zbulwersowało to, że na jednym oddechu jest zdanie: »Udzielamy wybaczenia i prosimy o nie«, i to głównie zostało zapamiętane, choć w liście była mowa o niemieckich zbrodniach. Ale zwracano tylko uwagę na to, że nie da się ich porównać z winami Polaków. Może rany były za świeże? Może i teraz ukraińskie rany są za świeże?

– Rany zawsze są za świeże. Gdy Jan Błoński napisał tekst „Biedni Polacy patrz na getto”, byłem poirytowany. Stan wojenny, ludzie w więzieniach siedzą, a on każe Polakom bić się w pierś za szmalcowników. Ale to Błoński miał rację, a nie ja. Nigdy nie ma dobrego momentu na takie gesty jak list biskupów polskich do niemieckich. Zawsze ktoś powie, że nie teraz, że może kiedy indziej. To tylko wymówka.

Krag twoich rosyjskich przyjaciół to ta lepsza, otwarta Rosja, ale to jest margines. Rosja to jednak jest imperium zła. Protesty przeciw wojnie są rachityczne. Putinowi wzrosło poparcie.

– Nie wiesz na pewno, czy wzrosło mu poparcie. Nie ma żadnych niezależnych badań w Rosji i być nie może.

Tylko garstka demokratów oświeconych, twoich znajomych i ich zwolenników, protestowała, gdy otruto, a potem uwięziono Aleksieja Nawalnego. W Rosji przeciwników politycznych można mordować – i nikt nie wychodzi na ulice. Można

zamykać wolne media – i nikt nie protestuje. Rosjanie mordują cywilów w Ukrainie – i nic, cisza.

– Teza, że Rosjanie masowo popierają wojnę w Ukrainie, jest ryzykowna i ja bym się takim argumentem nie posługiwał. Z dwóch powodów. Wszelkie badania – przeprowadzone nawet przez relatywnie niezależne centrum badawcze opinii – nie są wiarygodne. Rosją dzisiaj rządzą w wielkiej mierze strach i pomieszanie. Jeżeli te badania są prowadzone przez telefon, to oni się boją powiedzieć cokolwiek szczerze. To jest normalne, ludzkie. Znam to świetnie.

Publikowaliśmy opinie rosyjskich socjologów, którzy uważają, że oczywiście część społeczeństwa jest zastraszona, ale zdecydowana większość Putina popiera i uważa, że inwazja była słuszna.

– To, że jakiś rusofob to powiedział, to nie są żadne fakty, to jest tylko taki fakt, że on to powiedział. Ogromna większość Rosjan w ogóle tymi sprawami nie chce się interesować, to nie jest ich temat. Przypomnę zdanie Czesława Miłosza, do którego się bardzo przywiązałem: największym grzechem XX wieku i najgorszym wrogiem człowieka są generalizacja i uogólnienie. I tą generalizacją jest traktowanie każdego Rosjanina jak wroga, mówienie, że cała Rosja jest taka, bo zamknęli Nawalnego, zabili Niemcowa. Ale Nawalny i Niemcow to też

FOT. SHUTTERSTOCK



▪ **Malarka Jelena Osipowa samotnie protestuje na jednej z ulic Petersburga przeciw wojnie w Ukrainie. Napis na obrazie w barwach narodowych Ukrainy, brzmi: „1 Maja. Międzynarodowa solidarność. Zagłada członkostwa wskutek wojny”.**

Rosja i ja sobie pozwolę stwierdzić, że to ta lepsza Rosja.

Andriej Zubow ocenił, że 70 proc. Rosjan bezkrytycznie popiera Putina, nienawidzi Ameryki i wierzy w każde słowo propagandy. Nie będą protestować, poczekają, co robi władza, i to poprą. – Zubow to mój znajomy, bardzo fajny, dzielny człowiek, który potępił Putina od razu po zajęciu Krymu przez Rosję. Mówił ostro, że Putin naśladuje Hitlera. Z dnia na dzień go wyrzucili z uczelni. Ale on jest twardym zawodnikiem i się nie podda. Podziwiam go.

To konserwatywny, prawosławny patriota Rosji. Myślę, że bardzo musi dziś cierpieć z powodu stanowiska patriarchy Cyryla, który popiera Putina.

Zubow uważa, że Rosjanie nie dojrzeli do demokracji, nie rozumieją, czym jest społeczeństwo obywatelskie. Są karni, chcą mieć silną władzę. I reszta poglądów jest konsekwencją tych cech Rosjan. – Jeśli sami Rosjanie mówią tak ostro o swoim narodzie, to przyjmuję to z szacunkiem. Zdolność do krytyki własnej wspólnoty narodowej jest znakiem siły tej wspólnoty.

O Polsce nikt nie mówił tak gorzko jak wielcy romantycy, czy też Wyspiański, Żeromski, Brzozowski. Przestrzegałbym jednak przed generalizacjami. Czy dotyczą Polaków, czy Żydów, czy Francuzów.

Sam pisałeś, że putinizm ma swoje korzenie w tradycji carskiego samodzierżawia. – I podtrzymuję to, ale pisałem właśnie o putinizmie, a nie o Rosji. Zubow uważa, że 70 proc. obywateli rosyjskich popiera Putina, bo chcą mieć silną władzę. Ale czy popiera Putina, gdy ten chce wojny? Tego nie jestem pewny.

Przeczytałam niedawno w Onecie rozmowy z Rosjanami. Deklarują, że są przeciwko wojnie, ale mówią, że to Zachód, Ukraina i Zelenski wywołali wojnę. Wierzą w to, co widzą w telewizji. – Nawet jeżeli przyjąć, że 70 proc. tak myśli, co – podkreślam – jest dyskusyjne, to jeszcze jest pozostałe 30 proc. społeczeństwa. I to jest potencjał, na który trzeba stawiać, w który trzeba wierzyć, w który warto inwestować. To miliony ludzi.

Seweryn Blumsztajn powiedział mi: „Tylko Rosja demokratyczna nie będzie zagrożeniem imperialnym”. Ty też tak uważasz i wierzysz, że Rosja może być kiedyś demokratyczna, przyjazna światu. I trzeba wspierać wszelkie prodemokratyczne tendencje. – W 1968 r. w sprawie Czechosłowacji na plac Czerwony wyszło siedem osób. A teraz w Rosji aresztowano 8 tys. ludzi po demonstracjach w Petersburgu, w Moskwie, w Permie. Ci, którzy protestują, narażają się na długie więzienie. Nie można o tym zapominać.

W Rosji nie ma jednak masowych protestów. – W dyktaturach nigdy nie ma masowych protestów, aż do takiego momentu, kiedy one przychodzą. Wiemy jedno: w Rosji jest silny potencjał czarnosecinny, autorytarny czy nawet totalitarny. Ale nie tylko w Rosji. Także w zachodnich społeczeństwach jest spora grupa wyborców, którzy dają się uwieść populistom, mirażom silnej władzy. Widzieliśmy wszyscy atak na Kapitol w Stanach Zjednoczonych, w kraju o wielkiej tradycji demokratycznej. Problem w tym, że dziś ten nurt w Rosji wygrał. Naród rosyjski został poddany sieczce propagandowej. Jest przestraszony, zagubiony, nie bardzo rozumie, gdzie żyje i jak się ma zachowywać. Wtedy zwykle milknie i zamyka się w sobie.

Poeta Jewgienij Rejn, przyjaciel Josifa Brodskiego, Sergiej Sznurów, lider legendarnej grupy rockowej Leningrad, piszą, że Zachód pod płaszczykiem sankcji dokonuje ludobójstwa Rosjan i morduje ich jak naziści Żydów. – Szokujące. Ale jeżeli w mieście jest dziesięciu sprawiedliwych, to oni ocalą miasto.

Putin głosi, że Krym jest rosyjski. Nikita Chruszczow przekazał go Ukraińskiej Republice w 1954 roku. Tam rdzenną ludnością byli Tatarzy. – Ale byli w mniejszości. Sewastopol to było rosyjskie miasto. Ale przy przejściu Krymu Putin złamał prawo międzynarodowe.

Niemniej kłamstwem jest to, co głosi – że nie ma narodu ukraińskiego. – Tu jest najbardziej delikatny fragment naszego sporu. Bo Putin naprawdę wierzy głęboko, że ukraiński naród nie istnieje. I może odwoływać się do przekonania, które dominuje w rosyjskim społeczeństwie. Tu, w Rosji, oni są Wielkorusami, a tamci w Ukrainie są Małorusami, ale wszyscy są Rusami. Gdy rozmawiasz z rosyjskimi demokratami, to dla nich jest oczywiste, że Polacy to osobny, niezależny naród. Może to być zły naród, zdrajca słowiańszczyzny, cholerni katolicy, anarchiści, ale inny naród. O Ukraińcach nawet demokraci tak nie mówią. To nie jest przypadek, że Josif Brodski napisał ten haniebny wiersz o Ukrainie. Solżenicyn mówił, że Ukraina ma być nasza. Gdy byłem na Zachodzie w 1977 r., Jerzy Giedroyc chciał deklaracji w sprawie Ukrainy od rosyjskich emigrantów. A oni się od tego migali. W 1996 r. Giedroyc pytał Elenę Boner, żonę Andrieja Sacharowa, czy akademik

może się wypowiedzieć w sprawie niepodległości Ukrainy. Odpowiedziała mu tak: „Ja nie wiem, jaki jest stosunek akademika do niepodległości Ukrainy”. Być może rzeczywistość nie wiedziała, a być może chciała się wykręcić od odpowiedzi. To był temat bardzo śliski.

Rosyjscy demokraci mówili, że owszem, wolność dla wszystkich narodów i ludzi, ale Ukraina ma być osobnym państwem? Po co? Nie lepiej razem? Łatwiej było przełknąć to, że kraje nadbałtyckie wybiły się na niepodległość, bo ich mieszkańcy posługują się swoimi językami, ale z Ukrainą wiąże ich język rosyjski, a język ukraiński jest mu bliski.

Nie spotkasz Rosjanina, który ci powie, że Sewastopol kiedykolwiek był częścią Ukrainy. Oni po prostu tak nie uważają. I rzeczywistość, ich stosunek do kultury ukraińskiej był oparty na niezrozumieniu i na poczuciu wyższości.

Jeśli Rosjanie myślą, że Ukraina to jest Małorosja, to tym samym popierają Putina. Dlatego uwierzyli w jego opowieść, że w Ukrainie jest jakiś faszystowski rząd, który trzeba obalić. – Nie uwierzyli, wierzą ci, co chcą wierzyć. Ogromna większość Rosji boi się wojny, uważa, że jest niepotrzebna, że z Ukraińcami można się dogadać. Trzeba przeciągać na swoją stronę, kupić, coś im dać. Bo pansławizm, słowiańszczyzna. Ale nie zabijać.

Witold Jurasz napisał tak: „Pamiętając o dobrych Rosjanach, pamiętać powinniśmy jednak o tym, że tacy Rosjanie są mniejszością. Większości Rosjan mordowanie cywili ani w Czeczenii, ani obecnie w Ukrainie nie przeszkadza. Problemem nie jest (...) Władimir Putin, a chory na nacjonalizm rosyjski naród. Wszyscy ci, którzy przez lata tego nie chcieli dostrzec, subtelni intelektualiści piszący teksty o zapętleniach modernizacji Rosji, o potrzebie zrozumienia rosyjskiej traumy i rosyjskiej duszy powinni dziś się ze wstydu zapaść pod ziemię”. – Absolutnie się z tym nie zgadzam. To myślenie jest pułapką.

Ale głosowali na Putina i nikt nigdy nie podważał prawdziwości czy też uczciwości tych wyborów. – Dlatego że nie dopuszczono innych kandydatów. Jak nie masz na kogo głosować, to głosujesz tak, jak ci wygodnie. I to jest w każdym kraju. Zapewniam cię, że gdybyś w Polsce zrobiła socjologiczne badania w styczniu 1980 r., to Edward Gierek miałby ogromne poparcie. Wybierasz spośród tych, którzy są dostępni.

Ale jaka jest odpowiedzialność narodu za władzę, która jest w tym kraju? – Oczywiście ta odpowiedzialność istnieje. I wszyscy uczciwi Rosjanie – my ich publikujemy w „Wyborczej” – Szenderowicz, Szyszkin, Sorokin, Lebiediew, oni mówią, że to „nasza wina, będziemy pokutować przez pokolenia”. W 1968 r. czułem osobistą odpowiedzialność za polską interwencję w Czechosłowacji. Jeżeli czujesz się częścią jakiejś wspólnoty, to siłą rzeczy bierzesz na siebie jej grzechy.

To nawet Stalin powiedział: Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki pozostanie. Putiny przychodzą i odchodzą, ale ten naród, który wyprodukował teraz takie świństwo, będzie z tego długo wychodził w bólach, ale ja wierzę, że naród Puszkina, Dostojewskiego, Turgieniewa, Czechowa kiedyś z tego wyjdzie. I co więcej, uważam, że to jest szansa dla nas wszystkich. Szansa na nowe poukładanie relacji polsko-rosyjskich, wtedy gdy Rosjanie przejdą ten wstrząs i się odrodzą. Dlatego od początku trzeba przestrzegać przed rusofobią. Putinofobia tak, rusofobia nie, chociaż zgadzam się z tobą, że ten naród jest odpowiedzialny. Ale ja wolę, by mówili to sami Rosjanie, oni sami siebie muszą z tego rozliczyć. Choć i emocje Ukraińców absolutnie rozumiem. Nieprzypadkowo mówiłem

wcześniej o Niemcach. Wydawało się, że nic strasznieszego niż nazizm nie może się pojawić i że z tego nie ma wyjścia. Tymczasem Niemcy przegrały wojnę i potrafiły się podnieść z grzechu, zbudować przyzwoite, dobrze funkcjonujące, demokratyczne państwo prawa. Oczywiście z wadami, mankamentami, bo ideały są tylko w niebie.

Zastanawiam się nad fenomenem społeczeństwa niemieckiego, które było zachwycone, póki Hitler wygrywał. Chcieli być rasą panów. Dzisiaj społeczeństwo niemieckie jest kompletnie inne, odmienione. Czy to jest efekt tego, że jakiś naród musi upaść na samo dno, żeby móc się podnieść? – Wystarczy przegrać wojnę. Rosji zawsze służyły przegrane wojny. Wojna krymska zrodziła Aleksandra II i likwidację pańszczyzny.

Już w 2007 r. pisałeś, że w Rosji pojawił się nowy język. Mowa nienawiści. Pisałeś, że jest likwidowane społeczeństwo obywatelskie i jego instytucje, że to idzie w bardzo złym kierunku, że duża część Rosjan chce odbudować imperium, tęskni za ZSRR, za carską Rosją. – Tak, ale pisałem o części Rosji. Rosja nie jest skazana na to, żeby stać się taką, jaką jest Putin czy Żyrinowski, Żiuganow czy Szojgu itd.

Konstanty Gebert powiedział w TVN 24, że te narody, które dopuściły się ludobójstwa, np. Niemcy, Serbowie, próbowały jednak zatrzeć za sobą ślady. Staraly się od siebie odsunąć oskarżenia. Tymczasem Rosjanie, choć mieli czas, aby tuszować zbrodnie, nie zrobili tego, np. w Buczy. Gebert uważa, że to ostrzeżenie dla Ukrainy i świata. Rodzaj demonstracji i zastraszania: tak będziemy działać, bójcie się. – Uważam inaczej. To po prostu jest zdemoralizowana banda morderców, maruderów, leniów i tchórzy, którzy narabowali, co się dało, i zabijali bezmyślnie. Może to byli Czeczeni od Kadyrowa, nie wiem, ale te filozoficzne interpretacje zwykłej zbrodni wymieszanej z bałaganem do mnie nie przemawiają.

Ale celowo bombardują obiekty cywilne, miasta, domy, to już są decyzje dowódcstwa, samego Putina... – To jest zbrodnia właśnie.

Trudno mówić, że za tym stoją jacyś zdemoralizowani maruderzy, cała armia rosyjska walczy dzisiaj z ludnością cywilną. – Cała armia jest zdemoralizowana, oni nic innego nie umieją, mordują to, co mają pod ręką. Dostali zakaz, żeby nie bombardować centrum Kijowa, bo tam są święte miejsca rosyjskie.

W 2012 r., dwa lata przed Krymem, Putin postawił zdecydowanie na tzw. agendę ultrakonserwatywną. Polityczny sojusz z Cerkwią był fundamentem tej strategii. Wysłał oligarchów, żeby finansowali wszystkie ultrakonserwatywne organizacje na Zachodzie. Stworzył mieszanekę carskiej i sowieckiej mentalności władzy, i to się okazało skuteczne, jeśli chodzi o zawiadnięcie emocjami Rosjan. Bo przecież Putin mówił, że upadek ZSRR był największym błędem. – Mówił, że jest geopolityczną katastrofą XX wieku. Dla nas to idiotyzm, a bardzo wielu Rosjan tak myśli. Wyobraź sobie takie państwo od Łaby do Władywostoku. Wszędzie wspólnym językiem jest polski, w każdym mieście gubernator albo wicegubernator jest Polakiem. Cały świat się Polsce podlizuje i się jej boi. Nagle to wszystko się rozpada bez jednego wystrzału, bez jednej przegranej wojny. Polacy byłiby wściekli. To jest silniejsze niż jakiekolwiek inne emocje. I tak to odczuwają Rosjanie. Byłem na spotkaniu, gdzie atakowano Gorbaczowa, że oddał Niemcy, Polskę, Litwę,

wszystko żeśmy oddali, za co. Na to on mówi: „Komu oddaliśmy Polskę? Polakom. Komu Niemcy? Niemcom”.

Jak oceniasz rosyjską Cerkiew?

– Bardzo źle. Zapytałem kiedyś Nawalnego o Cerkiew, bo on jest prawosławny. Mówi tak: „Adam, to jest departament KGB do spraw religii. To jest zepsute, skorumpowane towarzystwo”.

Czy nie jesteś nazbyt wyrozumiały dla Nawalnego? Jest jednak przedstawicielem rosyjskiego nacjonalizmu, poparł aneksję Krymu.

– Nie poparł, to było bardziej skomplikowane.

Powiedział, że Krym jest rosyjski i powinien wrócić do Rosji.

– On uznał, że Krym zawsze był rosyjski. Natomiast Putina nigdy nie poparł. Rozmawiałem z nim o nacjonalizmie. Mówił wtedy: „Jeśli jest wielka manifestacja skrajnej prawicy, tych nacjonal-bolszewików od Eduarda Limonowa. I oni idą z transparentami »Rosja bez Putina«. Ja z nimi idę, bo chcę z nimi porozmawiać. Jeżeli się ich zostawi bez rozmowy, to oni skończą jak faszystci”.

Też mamy Marsze Niepodległości, jednak ja bym nie ryzykował, żeby w nich iść, boym po mordzie dostał. Ale to jest stanowisko, które jest do dyskusji, można się z tym spierać. Definiuję nacjonalizm nie jako szacunek i przywiązanie do własnej tradycji narodowej, tylko jako budowanie tradycji na wrogości wobec innych. Z tego punktu widzenia moim zdaniem Nawalny nacjonalistą nie jest.

Wychodzisz z założenia, że w Rosji pokonać Putina może ktoś, kto będzie się odwoływał do emocji narodowych, w pewnym sensie nacjonalistycznych?

– Inaczej. Uważam, że my w Polsce też musimy się odwoływać do wartości narodowych, żeby zwyciężyć PiS. Ale to nie znaczy, że odwołujemy się do nacjonalizmu. Naszą dumą narodową są dobre tradycje demokratyczne. W tej tradycji jest Gabriel Narutowicz, ale nie ci, którzy go zamordowali. Jest Piłsudski, który walczy o Polskę, ale nie Piłsudski, który robi wojskowy zamach stanu i opozycję zamyka w Brześciu. Powinniśmy o tradycji rozmawiać jako o czymś żywym, czymś, co nie może być po prostu wyrzucone do kosza, ani w imię nacjonalizmu, ani w imię naśladownictwa Zachodu. Ja zachodnie wartości bardzo cenię i chcę się do nich odwoływać, ale my musimy je kultywować po swojemu. Nie możemy przepisywać ani Camusa, ani Faulknera, bo mamy inną historię, inne ramy, inne tradycje. I to samo jest z Rosją. Każdy jej przywódca, jeśli chce przejąć władzę, musi się odwoływać do emocji narodowych.

Zajrzałam do twojego tekstu o Aleksandrze Hercenie: „Pamiętam dobrze spory o pierestrojkę i Gorbaczowa. Rosyjscy i polscy emigranci, polscy opozycjoniści i wielu dysydentów rosyjskich uważali ją za maskaradę despoty, spektakl dla okłamania Zachodu. Tych, którzy wspierali ten proces, nazywali »pożytecznymi idiotami« bądź »kremlowskimi agentami wpływu«. Można ich rozumieć – mieli gorzkie doświadczenie. Byli wszakże i tacy, którzy łowili każde źdźbło nadziei. Ci – jak Sacharow – powtarzali formułę Hercena. W liście do cara Aleksandra II, wspierającym reformy, pisał on: »Kroczymy naprzód razem z tym, kto wyzwala i dopóki wyzwala«. To trochę tak, jakbyś chciał, abyśmy się przygotowali na moment, w którym Putin straci władzę i przyjdzie ktoś, kto proponuje odwrót od jego polityki, ale nie tak zdecydowany. I nie wzbudzi to w nas entuzjazmu, bo ten odwrót będzie za mało jednoznaczny. I będziemy pomstować, gdy jakiś współczesny Hercen będzie chciał tę nową władzę wspierać.

– Pamiętam wszystkie rozmowy w latach 80. na temat Rosji. Ogromna większość moich znajomych mówiła, że z pierestrojki nic nie wyjdzie. Ja byłem jednym z nielicznych, któ-

ry się upierał, że w Rosji jest jakaś szansa na pozytywny proces. Na rozpad ZSRR. I miałem rację. W dłuższej perspektywie ten proces pierestrojki się nie udał, ale wtedy doprowadził do wielkich zmian w Europie. Byłem w Jekaterynburgu, gdzie istnieje centrum Jelcyna. Boję się, że zaraz to zlikwidują, bo to jest multimedialne muzeum z wystawą, która pokazuje Rosję przełomu lat 80. i 90. Tysięczne demonstracje w miastach, sztandary, klimat wolności, entuzjazm. To wszystko działo się na moich oczach.

Emocja niechęci do Rosji będzie jednak dominować. Jarosław Kaczyński mówi: teraz opadły maski, myśmy przed Rosją zawsze przestrzegali...

– A tam, przestrzegali... Kaczyński wciąż przestrzegał przed Niemcami, mówił, że oni są głównym wrogiem. Od Niemców się domagali odszkodowań, a nie od Rosji. To był absurd. Dla niego Unia była i jest większym wrogiem, z nią wojuje i w tę wojnę wkłada najwięcej wysiłku. Niech on teraz nie kłamie.

Ale PiS powołuje się na Lecha Kaczyńskiego.

– Leszek rzeczywiście przestrzegał przed Putinem, i pamiętasz, że ja wtedy z jego przemówieniem w Tbilisi się zgadzałem. I jak porównasz to, co mówił kiedyś Leszek, a co teraz wygaduje Jarek, to widzisz przepaść.

Napisałeś, że byłeś dumny z jego przemówienia w Tbilisi.

– I uważam, że bardzo dobrze, iż tam pojechał. Absolutnie go poparłem. I to mimo że moi koledzy mieli mi to potwornie za złe. A ja byłem przekonany, że mam rację. I historia to potwierdziła.

Nawet jeśli przyjąć, że 70 proc. Rosjan popiera Putina, co jest dyskusyjne, to jeszcze jest pozostałe 30 proc. I to jest potencjał, na który trzeba stawiać, w który trzeba wierzyć. To miliony ludzi

PiS za to ci wypomina, że w 2017 roku w czeskiej telewizji powiedziałeś, że bardziej obawiasz się rządów PiS niż Putina.

– Tak, bo PiS jest tutaj, a Putin na Kremlu.

PiS pomija dalszą część wypowiedzi, która brzmiała tak: „choć nie noszę Putina w sercu, bo to człowiek niebezpieczny dla świata i dla Rosji”.

– Ja się bardziej bałem wtedy PiS niż Putina, dlatego że widziałem, co oni z Polski robią. Niszczenie demokracji, niszczenie naszych relacji z Unią Europejską, to przecież jest agenda putinowska, tyle że u nas blisko. Dlatego człowiek jest bardziej tym przerażony.

Tak, ale to było odebrane w ten sposób, że porównujemy PiS do Rosji, do Putina, który jednak wszedł do Donbasu i zaanektował Krym.

– Oczywiście PiS nie napadł na żadnego sąsiada, ale chodziło o to, że w polityce PiS jest mnóstwo elementów, które można odnaleźć też w polityce Putina. Stosunek do demokracji, do sądownictwa, do mniejszości seksualnych, antydemokratyczna, antyzachodnia i antyunijna retoryka. I ja to powtarzałem od dawna, że PiS niby krzyczy, że Putin jest wrogiem, a w praktyce przeprowadza putinizację w Polsce, wprowadza w życie te same rozwiązania, które Putin na większą skalę zaaplikował Rosji. I w to wszystko wpisuje się obrzydliwa kampania antyniemiecka, która trwa, odkąd PiS przejął władzę. Bo Niemcy można krytykować,

i wiele jest ku temu powodów, ale PiS nie o krytykę chodziło, tylko o rozbudzenie najgorszych fobii.

Jesteś rozczarowany Franciszkiem i jego postawą wobec wojny w Ukrainie?

– To jest trudne pytanie. Czytałem teraz głosy bardzo wybitnych, otwartych katolików, np. Zbigniewa Nosowskiego, redaktora naczelnego „Więzi”. Oni są bardzo rozczarowani. Ja nie jestem katolikiem, więc we mnie jest więcej pokusy rozumienia, skąd to się bierze.

Z czego to wynika? Boi się nazwać rzeczy po imieniu?

– Kościół nigdy nie nazywał rzeczy po imieniu. Nawet za czasów Hitlera i Stalina.

Nie mówimy o latach 30. czy 40., jesteśmy w innej epoce.

– Ale w Kościele tradycja ciągłości jest bardzo silna. Taka jest logika instytucji. Może to taka moja życzeniowa interpretacja, ale we Franciszku jest pewna naiwność, która jest szlachetna, ale jednak to jest naiwność. On myśli, że wyłumaczy rosyjskiemu ambasadorowi w Rzymie, że Rosja robi źle. To jest przykre, wolałbym, żeby to powiedział jasno, ale też nie uważam, żeby głównym nieszczęściem tej strasznej wojny było to, że Franciszek nie wymienił nazwiska Putin. Są gorsze rzeczy.

Oczywiście mówienie, że „szczekanie NATO” sprowokowało Putina do wojny, uważam za nonsensowne. Widzę w tym antyamerykański kompleks latynoamerykańskich chrześcijan. Słyszałem często w Ameryce Łacińskiej ludzi, którzy pomstowali na imperializm amerykański z tą samą złością, z jaką my pomstowaliśmy na imperializm sowiecki.

A jak oceniasz zachowanie polskiego Kościoła wobec wojny?

– Abp Stanisław Gądecki – o którym generalnie nie jestem najlepszego zdania – tym razem napisał bardzo dobry list do Cyryla.

„Proszę cię, Bracie, abyś zaapelował do Władimira Putina, by zaprzestał bezsensownej walki z narodem ukraińskim, w której giną niewinni ludzie, a cierpienie dotyka nie tylko żołnierzy, ale i osoby cywilne – zwłaszcza kobiety i dzieci” – napisał 2 marca do patriarchy moskiewskiego i całej Rusi.

– Jasny list, bez żadnych zawijasów, teologiczny, z mądrym przesłaniem, co należy zrobić. Gdyby się mnie radził, co ma napisać, tobym mu poradził dokładnie to, co napisał. Doskonały tekst.

„Kultura rosyjska powinna zniknąć z przestrzeni publicznej do czasu zakończenia wojny w Ukrainie” – mówił w Luksemburgu wicepremier, minister kultury Piotr Gliński. „Nie jest to też dobry sezon na Czechowa czy nawet Puszkina” – dodał.

– Dla Glińskiego to żadna różnica, bo pewnie nie czytał ani Czechowa, ani Puszkina. No, może słuchał kiedyś w radiu.

Ale zespołu Teatru Bolszoi byś nie wpuścił do Warszawy.

– Nie, bo jest elementem polityki kulturalnej Putina. Ale zakaz wystawiania Czechowa w teatrach polskich? To przecież nonsens. Rosyjscy demokraci będą milczeli, bo oni uważają, że ich wina jest wielka, więc bojkot jest uzasadniony. Ale nie można dać sobie zrobić wody z mózgu. Ja mogę zrozumieć bojkot rosyjskich towarów, dziś wyprodukowanych. Ale nie twórczości sprzed lat.

Byłeś zaskoczony tym, że Putin napadł na Ukrainę?

– Tak. Ja się Putinem interesuję od lat, należę do ludzi, którzy mieli okazję go poznać.

W Klubie Wałdajskim?

– Na Wałdaju, przedtem na Kremlu, kiedy robiłem z nim wywiad. Gdy był w Warszawie, prezydent Aleksander Kwaśniewski zaprosił mnie na uroczystą kolację. Miałem okazyj go słuchać i poznać. W moim przekona-

niu on ewoluował. Gdy obejmował władzę, to zamierzał ustabilizować Rosję za pomocą rządów silnej ręki, ale to miała być polityka prawa w tym sensie, że miał też krótko trzymać rozpasanych i bezkarnych oligarchów. Jednocześnie był rzeczowy, mówił jasną mową, a nie frazesami. Robił wrażenie człowieka, który nie jest sowiecki, bo nie używał sowieckiej nowomowy. Gdy go widziałem drugi czy trzeci raz na Wałdaju właśnie, to robił na mnie wrażenie gangstera, który kalkuluje. Jest wyrachowany. Dlatego pomysł, że napadnie na Ukrainę, będzie bombardował Kijów, uważałem za niemożliwy. To by znaczyło, że stracił busołą i z gangstera kalkulującego stał się gangsterem psychopatą. Chociaż muszę przyznać, że miałem informacje od ludzi z Ukrainy, bardzo wysoko usytuowanych, którzy mówili mi, że Rosjanie wejdą do Ukrainy, i to nie będzie 2014 r. Przestrzegali, że to będzie regularna wojna, tak jak ma to miejsce dzisiaj. Uważałem, że moi rozmówcy przesadzają, a okazało się, że mieli rację.

Ale co jest charakterystyczne niezależnie od napaści na Ukrainę, to fakt, że przedtem Putin wypowiedział wojnę Rosji. Zgnoił rosyjskie społeczeństwo. Mówię o losie Niemcowa, Nawalnego, Polikowskiej, Starowojtowej. On zlikwidował Memorial, Echo Moskwy, telewizję Dożd', a teraz spacyfikował „Nową Gazietę” Dmitrija Muratowa. Jeden z moich rosyjskich kolegów powiedział mi trzy lata temu w Petersburgu: „Rosja już weszła w proces przekształcania się państwa autorytarne w państwo totalitarne”. Ja wtedy tego nie doceniłem należycie. Ciągłe błędnie uważałem, że Putin kalkuluje. W tej chwili jest owładnięty paranoją i szaleństwem. To mściwy człowiek, którego się wszyscy boją. Szczególnie symptomatyczna była scena z publicznej debaty, w której Putin naradza się ze swoimi ludźmi. Wymiana zdań z Siergiejem Naryszkinem, szefem wywiadu Rosji, to był rekord świata. Naryszkin opowiadał się za aneksją. „Ale my nie o tym mówimy, Siergieju, nie o tym rozmawiamy” – powiedział Putin. Naryszkin planów Putina się bał – ja tak to rozumiałem.

O co chodzi Putinowi? Mówienie o tym, że Ukraina czy Polska albo NATO mu zagrażają, to absurd. Czy on w to wierzy?

– Putin sobie wmówił, czy jemu wmówiono, że on jest odnowicielem rosyjskiej potęgi niczym Iwan Kalita, który zbierał ziemie ruskie. I tak Putin teraz zbiera ziemie postsowieckie, a kluczem do tego procesu jest Ukraina.

Dlaczego tak uważał, skoro już był euro-majdan. Ukraińcy powiedzieli, że chcą do UE, nie zgodzili się na sfalszowane wybory, wyrzucili Wiktora Janukowycza.

– Rozmawiałem z Michaelem McFauliem, byłym ambasadorem USA w Moskwie. McFaul opuszczał placówkę już po Majdanie i po tym, jak Janukowycz czmychnął do Rosji. W czasie pożegnalnej wizyty na Kremlu Putin powiedział mu, że wie, że oni – Amerykanie – to zrobili, że ten cały Majdan to ich robota. On w to naprawdę wierzył, bo ma obsesję antyzachodnią. Nie jest w stanie przyjąć do wiadomości, że Ukraińcy mają swoje aspiracje. Jakiś czas temu Putin na spotkaniu z grupą naczelnych redaktorów wiodących mediów powiedział, że zrobił jeden błąd w życiu, że „tym sukinsynem z Zachodu” uwierzył. A oni go okłamali.

To absurdalne. Cały Zachód chciał resetu stosunków z Rosją, ułożenia pokojowych relacji. Nie tylko Niemcy, ale cała Europa, wszyscy chcieli handlować z Rosją. A Putin mówi, że się zawiódł na Zachodzie.

– Mój rosyjski znajomy opowiadał mi historię, że jak Borys Bierzowski dał nogę do Londynu, to Putin na spotkaniu z Tonym Blairem, premierem Wielkiej Brytanii, mówił, że Bierzowski to złodziej. – Oddajcie go, my go osądzimy – przekonywał. Blair odpowiedział, że postara się załatwić. Ale sądy brytyjskie zdecydowały inaczej. Putin nie rozumiał, że sądy – jak w Rosji – nie działają tam na polecenie władzy. Uważał, że Blair go oszukał, bo przecież mógł wydać sądziom odpowiednie polecenie, a nie zrobił tego.

Inna opowieść: Kreml był przekonany, iż wybory prezydenckie w Ukrainie wygra Petro Poroszenko. Bo urzędujący prezydent nie może przegrać wyborów, to się nie zdarza w Rosji czy w Ukrainie. Gdy wygrał Wołodymyr Zeleński, to Putin był zaskoczony. Aktor serialowy, człowiek znikąd wygrywa wybory z urzędującym prezydentem. A skoro tak, to może i w Moskwie coś takiego się wydarzy. On się boi kolorowych rewolucji. Być może także dlatego uderzył w Ukrainę, choć był to potworny błąd. Był źle poinformowany, choćby co do możliwości zbrojnych Ukrainy.

Dyktator uwierzył w rozsiewane przez siebie kłamstwa?

– Opierał się na nieprawdzie i się przejechał. Nie spodziewał się oporu ani tego, że jego armia będzie do niczego, a generałowie są tak skorumpowani. Nie spodziewał się takiej reakcji Zachodu. Mówił sobie: widać po wydarzeniach w Kabulu, że Biden jest bardzo słaby. My podsypimy pieniądze pani Le Pen, Salviniemu, będziemy mieli Europę, jaką chcemy mieć. Miał taki syndrom Hitlera do 1939 roku: wszystko szło mu jak z płatka. Anszlus, remilitaryzacja Nadrenii, Czechosłowacja, Sude-tenland. A teraz nie zauważył, że jego narra-cja się skompromitowała, bo z jednej stro-ny mówi, że prawo do niepodległości ma-ją republiki Doniecka i Ługańska, a z drugiej, że Ukraina go nie ma. To się nie trzyma ku-py. Poza tym cały świat odwrócił się od Rosji. W ONZ jedynie cztery państwa głosowały za nią – Białoruś, Korea Północna, Erytrea i Sy-ria. Nie poparł jej nawet Kazachstan czy Uzbe-kistan. Runął mit wojny ojczyznianej, bo Ro-sja jest dziś porównywana do Hitlera.

Rosjanie mieli poczucie wyższości moralnej, że pokonali niemieckie imperium zła.

– Nie sami Rosjanie pokonali Hitlera, ale tak, oni tak myślą. W Paryżu poznałem pisa-rza, dysydenta Wiktora Niekrasowa. I on mó-wi: „O, wy z Polski, ja was wyzwalałem”. A ja na to: „Wiktorze Platonowiczu, proszę, że-by mi to było ostatni raz”. On się śmiał, na-wet gdzieś to opisał. Rzeczywiście z wojny oj-czyznianej oni wszyscy, także demokraci, by-li dumni. Mówili „Stalingrad”. A teraz świat mówi „Mariupol”. To jest kompletna klęska tej narracji. A jeszcze, że 200 tys. ludzi opu-ściło Rosję.

Jaki scenariusz wydaje się najbardziej prawdopodobny?

– Nie jestem prorokiem, tylko historykiem.

Rosjanie go obalą?

– Mam taką nadzieję.

A gdy Joe Biden powiedział, że taki czło-wiek nie powinien rządzić w Rosji, to rzeczywiście poszedł za daleko?

– Nie, dobrze powiedział. Jestem absolutnym zwolennikiem Bidena. To jego przemówie-nie mi się bardzo podobało. I tu chcę przy-wołać noblowskie przemówienie Murato-wa: „W Rosji zmagają się dziś dwie tenden-

Nie wpuściłbym do Warszawy Teatru Bolszoi, bo jest elementem polityki kulturalnej Putina. Ale zakaz wystawiania Czechowa w teatrach polskich? To przecież nonsens. Nie można dać sobie zrobić wody z mózgu

cje. Z jednej strony rosyjski prezydent wspie-ra budowę pomnika na stulecie Sacharo-wa. Z drugiej prokuratura generalna nasze-go kraju występuje o likwidację stowarzysze-nia Memorial. Stowarzyszenie zabiega o re-habilitację ofiar stalinowskich represji. Pro-kuratorzy oskarżają je o »łamanie praw czło-wieka«! Może dlatego, że ostatnio FSB znów utajniła nazwiska stalinowskich śledczych i katów. Przypomnę, że Memorial powstał z inicjatywy Sacharowa. Może pomnik zmar-łego mniej zaszkodzi niż jego żywy, działają-cy projekt? Memorial nie jest »wrogiem lu-du«, Memorial jest jego przyjacielem. Musi-my go bronić”.

Nie potrafię nic dodać do tych słów moje-go rosyjskiego przyjaciela.

A czy dziś nie mamy do czynienia z syn-dromem Monachium? Ukraińcy giną, a my tutaj siedzimy w swoim ciepłku, w kraju, który jest bezpieczny, bo jeste-śmy w NATO, i tylko zagrzewamy sąsia-dów do walki. Wygodne.

– Dużo myślałem o tym. Jeszcze raz odpo-wiem słowami Muratowa: „Współcześni ideolodzy propagują ideę śmierci, a nie ży-cia dla Ojczyzny. Nie dajmy się znów oszu-kać tej telewizji. Pamiętajmy, co widzieli-śmy na ekranie telewizora w pokoiku przy torach, obok wagonów z ciałami martwych chłopców. Hybrydowe działania wojenne i tragiczna, ponura, wręcz kryminalna hi-storia boeinga MH17 pogrzyły relacje ro-syjsko-ukraińskie i nie wiem, czy następ-ne pokolenia będą w stanie je odbudować... Lecz w chorych głowach geopolityków woj-na Rosji z Ukrainą przestała być niemożli-wa”. Słowa te wypowiadał Muratow jeszcze przed wojną, ale jego intuicja okazała się przeraźliwie trafna.

Powiem tak: koniec wieńczy dzieło. Je-żeli ja dobrze rozumiem politykę Bidena, to on chce, żeby w Ukrainie Rosja się wykrwa-wiła i totalnie osłabiła gospodarczo. A jed-nocześnie nie chce dawać impulsu do te-go, by Rosja sięgnęła po broń nuklearną. Tak widzę tę politykę i podejmowanie de-cyzji jest tu niezwykle trudne. Zaangażowa-nie NATO mogłoby oznaczać użycie broni jądrowej.

Czy wsparcie Ukrainy jest za małe?

– Zawsze jest za małe, ale cały czas rośnie. O części pomocy wojskowej nie wiemy. Tu jest analogia do Monachium, a mianowicie, że świat zachodni nie chce wojny. A nie chce jej, bo nie chcą jej społeczeństwa zachod-nie i politycy z ich zdaniem muszą się liczyć. To jest demokracja. To nie jest Rosja czy Chi-ny, gdzie można podejmować decyzje, nie li-cząc się ze zdaniem obywateli. Biden, Ma-cron czy Johnson i Scholz muszą się z tym li-czyć. W czasie II wojny światowej Roosevelt chciał przystąpić do wojny z Hitlerem, ale nie mógł, bo miał tak silne lobby niemieckie i an-tywojenne w swoim kraju. Gdyby Japończy-cy nie ruszyli na Bora-Bora, to nie wiadomo, jak i kiedy skończyłaby się wojna.

Nikt nie chce wojny – to jasne, ale z drugiej strony Olaf Scholz ugiął się pod naciskiem opinii publicznej, która domagała się bardziej stanowczych działań.

– Stanowczych tak, ale pod jednym warun-kiem, żeby nam ceny benzyny nie skoczyły.

Tutaj zaczyna się inna rozmowa. Dlate-go wszystkie kraje demokratyczne kalkulują, jak osłabić Rosję, aby nie osłabić nadmiernie samych siebie. I ja bym tu był ostrożny z kry-tyką. Bo jeśli gospodarka słabnie, wtedy za-wsze dochodzą do głosu ugrupowania skraj-nie populistyczne. Dlatego ważne jest, jak ta polityka będzie wyglądać w dłuższej per-spektywie, na ile będzie konsekwentna w re-alizacji tego planu Bidena, o którym mówi-łem, a więc totalnego osłabienia Rosji. Ale to nie stanie się z dnia na dzień. Kluczowa jest konsekwencja w dłuższej perspektywie, aby nie było odwrotu od izolacji Rosji.

A co, jeśli Europa znów skręci w stronę negocjacji, półśrodków, dogadywania się z Rosją, tak jak w 2014 roku?

– Tak się nie stanie. Sprawy zaszły za dale-ko. Co bystrzejsi obserwatorzy po stronie putinowskiej to już rozumieją. To wynika-ło z przemówienia Bidena. Wielu kręciło no-sem, że są rozczarowani, bo nie powiedział, ile czołgów, ile samolotów. Ale najważniejsze było coś innego: dopóki Putin będzie rządził w Rosji, to ten kraj będzie się pograżał co-raz bardziej. Nie ma takiej możliwości, aby Zachód wymusił na Zeleńskim czy na Ukra-ińcach taki kompromis, jaki się dokonał z Finlandią w 1940 r., podczas zimowej woj-ny. Może Krym oddadzą, ale nie sądzę, aby zgodzili się oddać Donbas. Moim zdaniem w dłuższej perspektywie Rosja będzie rzuco-na na kolana, chociaż to może potrwać. Bo trzeba poczekać, aż Europa przestawi się na surowce z innych miejsc, ale w końcu to zro-bi i Rosja odczuje to bardzo dotkliwie.

A nie masz obaw, że Francja i Niemcy wycofają się z tej polityki?

– Ameryka się nie wycofa, dopóki będzie Biden. Chyba że wróci Trump.

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę IPN przy-stąpił do usuwania pomników Armii

Czerwonej. Jest ich wciąż ponad 50. „Nie-sprawiedliwością wobec ofiar, gwał-tem na historii, prawdzie historycznej i na przyzwoitości jest stawianie na co-kołach tych, którzy niewolili wolne, nie-podległe państwa. Tych, którzy zadawali ból i cierpienie kobietom i dzieciom; tych, którzy dziś stają się wzorem dla ludobój-ców; niestety, coraz bardziej doścignio-nym wzorem dla ludobójców XXI wie-ku” – mówił podczas usuwania pomnika w Siedlcu prezes IPN dr Karol Nawrocki.

– No cóż, najwyraźniej prezes IPN najlepiej się czuje, gdy prowadzi wojnę z nieboszczy-kami. A mówiąc serio, myślę, że trzeba od-dzielić od siebie dwie rzeczy – tzw. pomniki wdzięczności, które głoszą zakłamaną nar-rację o dobrodziejstwach stalinowskiego im-perium, ponieważ – jak już trafnie to zauwa-żono – ci ludzie nie przynieśli wolności do Polski, bo sami byli jej pozbawieni, oraz gro-by. Groby trzeba zostawić w spokoju. Wyży-wanie się na grobach żołnierzy obcych ar-mii, choćby były one nam wrogie, uważam za nieprzyzwoite i sprzeczne z najlepszymi polskimi tradycjami historycznymi.

A jak oceniasz oblanie czerwoną farbą przez ukraińską dziennikarkę Irynę Zem-lianę rosyjskiego ambasadora Siergieja Andriejewa, który nie zdołał złożyć kwia-tów na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Warszawie.

- Nigdy nie byłem zwolennikiem oblewa-nia czerwonymi farbami przeciwników po-litycznych. Jednak byłbym ciekaw co są-dzi ambasador Rosji w Warszawie o swo-ich rodakach, którzy czerwoną farbą obla-li Dmitrija Muratowa. Oczywiście ten, kto rozpętuje wojnę dobrze pasuje do polskie-go przysłowia „kto sieje wiatr, ten zbiera burze”. Takich incydentów jest dużo i bę-dzie jeszcze więcej, ponieważ Rosja sta-ła się państwem, które prowadzi politykę agresywną, imperialną i morderczą dla in-nego narodu. Za polityką Putina, jego zwo-lenników i współpracowników Rosja już płaci wysoką cenę, a zapłaci jeszcze wyż-szą. Z tym większym szacunkiem myślę o tych Rosjanach, którzy jasno sprzeciwili się tej polityce, i którzy stali się wyrazicie-lami najlepszych rosyjskich tradycji. Nato-miast Putin i jego współpracownicy są wy-razicielami tradycji najgorszych.

Nie pochwałam oblewana ambasado-rów czerwoną farbą, ale rozumiem wielu Ukraińców czy Polaków, którzy do tego się posunęli. W końcu rosyjscy żołnierze nie strzelają czerwoną farbą, tylko rakietami, którymi mordują setki ludzi. Osobiście wo-lę jednak strategię, którą Polakom zapro-ponował Bogdan Borusewicz, gdy w tzw. kampanii przedwyborczej w latach dykta-tury z kolegami z podziemia zakupił świ-nię i napisał na niej „głosuj na mnie”. My-ślę więc, że gdyby dziś puścić świnię z na-pisem „popieram Putina” to byłoby to bar-dziej skuteczne i mniej siłowe niż oblewa-nie czerwoną farbą. ●

62. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
62nd KRAKOW
FILM
FESTIVAL

29.05 – 12.06.2022
krakowfilmfestival.pl
kino + online

ANNA
reż. Julia Roesler

Ten festiwal doda odwagi

Organizator:
KRAKOWSKA
FUNDACJA
FILMOWA
POLSKA
FUNDATION

Współorganizator:
Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich

Projekt
współfinansowany
przez Unię Europejską

Kreatywna
Europa
NILEA

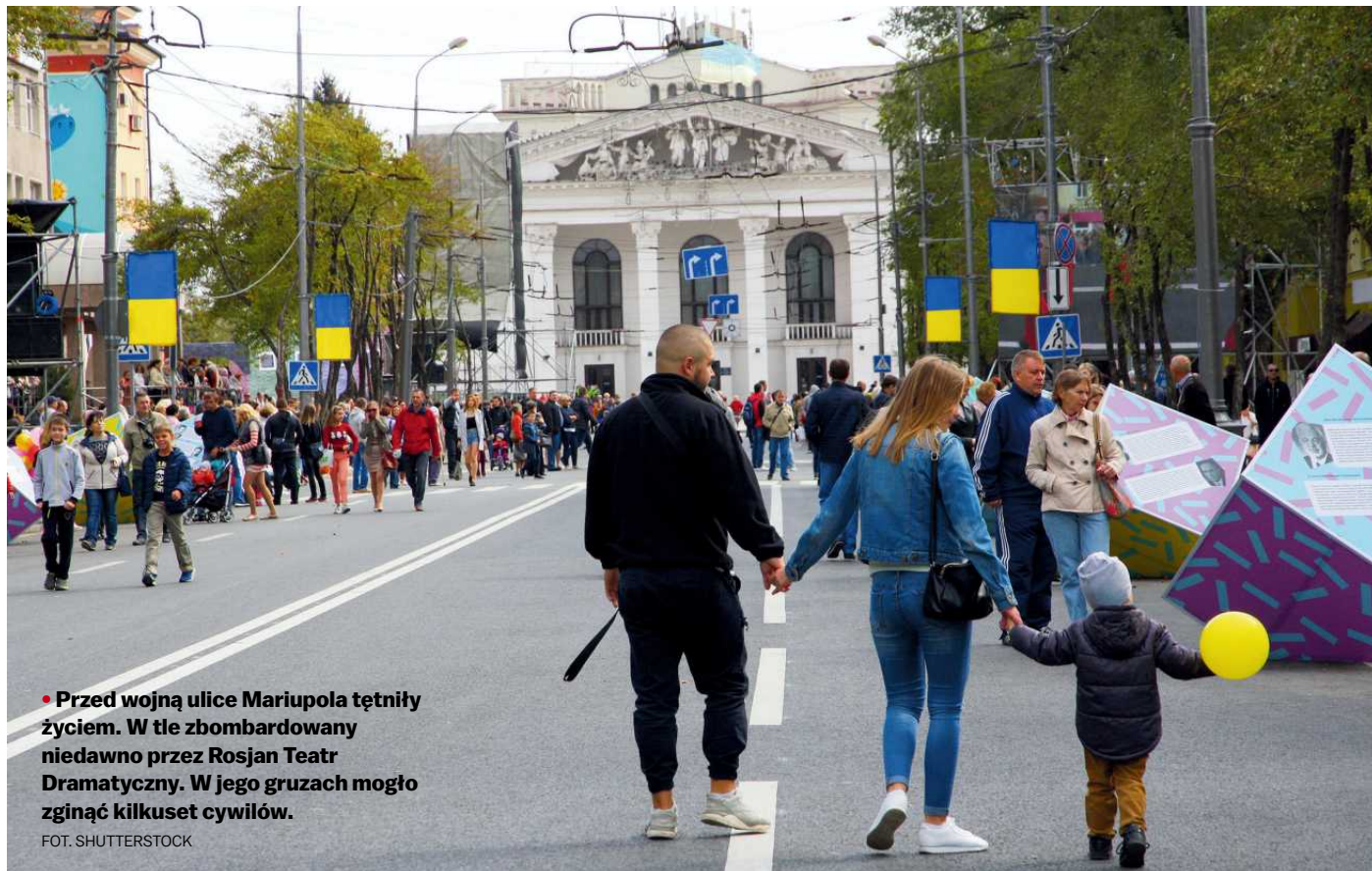
Projekt zrealizowały przy wsparciu finansowym:
POLSKI
INSTITUT
SZUKI
FILMOWEJ

Kraków

MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL
FILMOWY
MARIUPOL

MAŁOPOLSKA

5 tysięcy lat Mariupola

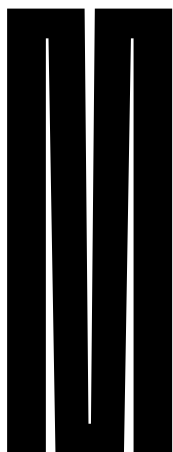
ZBIÓR NIEPOKORNYCH
INDYWIDUÓW

• Przed wojną ulice Mariupola tętniły życiem. W tle zbombardowany niedawno przez Rosjan Teatr Dramatyczny. W jego gruzach mogło zginąć kilkuset cywilów.

FOT. SHUTTERSTOCK

Jeśli Rosja wchłonie Mariupol, my założymy Mariupol gdzie indziej.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski



Mariupol ce Ukraina” – tak kończy wypowiedź zastępcy dowódcy Azowa Swiatosław Palamar. Wybrzmiewa ona echem w podziemiach Azowstalu, gdzie obrońcy schronili się z kilkuset cywilami. Garstka wobec tysięcy Rosjan, a jednak to słowa Palamara, 40-letniego lwowianina, oddają aktualną tożsamość miasta. Tak, dziś „Mariupol to Ukraina!”.

ZMARTWYCHWSTANIA
MOŻE NIE BYĆ

Ani bolszewicy w czasach Hołodomoru, ani hitlerowcy przez 701 dni okupacji nie wyrządzili Mariupolowi tyle krzywd, co „bratni naród” w ciągu ostatnich 75 dni. I, niestety, przyszłość miasta w ramach Federacji Rosyjskiej zdaje się przewidywalna – przekonuje były szef ukraińskiego Transparency International i dyrektor mariupolskiego stowarzyszenia Arxi-Misto/Arxi-Gorod Andrej Marusow. Jego zdaniem Moskwa nie potrzebuje kolejnych magnitek, czyli kombinatów metalurgicznych, nie dba też o kulturę i nie będzie dążyć do przywrócenia przedwojennego oblicza miasta. Jeszcze do niedawna półmi-

lionowy Mariupol pozostanie w ruinie, a na jego zgłiszczach orkowie – jak Ukraińcy trafnie określają dzisiejszych najeźdźców – założą wojskową bazę morską z góra 50-tysięcznym zapleczem.

Boli tym bardziej, że miasto od 2015 roku, w efekcie ważnej dla Ukrainy decentralizacji, odmieniło oblicze. Odszedł skorpumpowany mer, a do lokalnej kasy trafiły dodatkowe środki. Zadziałały mechanizmy socjologiczne. W Mariupolu od dekad dużą rolę odgrywała tzw. inteligencja techniczna, i to ona właśnie uwierzyła w modernizację miasta. Jej przedstawiciele, zapewne niektórzy, w większości rosyjskojęzyczni, utożsamiali się z „ruskim miem”, ale nie mogli nie dostrzec, że szansę na godziwe życie dał im Kijów, a nie Mo-

Jeśli więc nie wrócą dawne władze, przeniesiemy Mariupol gdzie indziej – twierdzą mieszkańcy. Mrzonki? Podobny casus zdarzył się już w dziejach miasta.

MARIUPOLSKIE QUI PRO
QUO

W obecny herb Mariupola wpisany jest 1778 rok, gdy Katarzyna II podpisała ukaz o lokacji miasta. W dokumencie figuruje jednak nie Mariupol, ale Pawłowsk. Nazwa wiązała się z wytyczeniem dwa lata wcześniej ujeżdzu i prowincji pawłowskiej, powołanych na wydartym Turkom pobrzeżu Morza Azowskiego. Postanowiono tam sprowadzić osadników z Uralu oraz rolników specjali-

ci, choć znawcy Realpolitik przekonują, że był to element szerszego projektu zwanego Noworosją. Przemawia za tym m.in. powierzenie opieki nad wychodźcami Aleksandrowi Suworowowi.

Krwawy generał wywiązał się z zadania w ciągu miesiąca, choć nie zyskał wdzięczności Greków. Gdyby nie ich przewodnik, metropolita Ignacy, zwany mariupolskim Mojżeszem, 75-tysięczna wspólnota nie przetrwałaby. Rosjanie nie zamierzali wywiązywać się z obietnic i wyznaczone obszary – wokół Jekatorinosławia (dziś Dnipro) i pobliskiego Marienpola (dziś Pawłohrad) – nie spełniały oczekiwań przesiedleńców. Ignacy dwukrotnie jeździł do Petersburga i po negocjacjach postanowiono społeczność osiedlić na południu, w okolicach Pawłowska. We wcześniejszej carskiej gramocie darowano już Grekom ziemię mariupolskie i aby nie unieważniać dokumentu, Pawłowsk stał się Mariupolem, a Marienpol – Pawłohradem.

Zamiana nie była dokładna. Najpowszechniejsza wersja głosi, że Mariupol jako „miasto Marii, matki Chrystusa”, wydał się carycy, miłośniczce starożytnej nomenklatury, bardziej antyczny. Druga z możliwych wykładni wskazuje na Marię Magdalenę jako inspirację, a argumentem byłoby tu uczynienie tej świętej patronką pierwszej w mieście cerkwi. Kolejna interpretacja odnosi się do Marii Fiodorowny, żony przyszłego cara Pawła II. Jeszcze inna odwołuje się do etymologii i częśćka „Mariu-” oznaczałaby „ulubione” lub, ze względu na nadane Grekom przywileje, „obdarzone łaską” miasto.

BRODNICY – OJCOWIE
ZAŁOŻYCIELE

Data w herbie jest uznaniowa i ukraińskość Mariupola, która tak zaskoczyła rosyjskich okupantów, znajduje odzwierciedlenie już w prehistorii miasta. Archeologowie, którzy niemal sto lat temu asystowali przy budowie Azowstalu, znaleźli tam ślady z trzeciego tysiąclecia p.n.e. potwierdzające obecność tzw. grupy przyazowsko-krymskiej w ramach szerszej kultury grobów katakumbowych; tu podkreśliśmy, że w latach 30. XX wieku, gdy ZSRR finansował tam wykopaliska i badacze odkrywali kości paleolitycznych lwów, wielbłądów i nosorożców, okoliczna ludność tysiącami ginęła z głodu. Wracając zaś do Mariupola: na jego dzisiejszych terenach znaleziono też ślady Scytów, Hunów oraz – co wiemy i z dzieł Strabona – Greków. Począwszy od 7 wieku n.e. sięgał tu Kaganat Chazarski, a później koczowali Pieczyngowie, a także – o czym przeczytamy w „Słowie o wyprawie Igora” – Polowcy.

W końcu okolice Zatoki Taganroskiej na długie lata znalazły się w strefie wpływów imperium osmańskiego. To jednak właśnie tu, przy ujściu Kalmiusa, głównej rzeki Mariupola, miała znajdować się średniowieczna twierdza, której pozostałości opisywał jeszcze w 1826 roku mariupolanin Jakow Kaloferow. Później lokalni historycy dowodzili, że całe to osiedle z umocnieniami nad rzeką tworzyło średniowieczny gród Adomache lub Domache, wywodząc jego nazwę z semickiego „ha-adam”, które podobnie jak w imieniu Adam wskazuje na ziemne, gli- niaste pochodzenie. Obecnie kwestionuje się

Archeologowie, którzy asystowali
przy budowie Azowstalu, **znaleźli**
ślady z 3. tysiąclecia p.n.e.

skwa. Nowo wybrane władze przygotowały ambitną „Strategię rozwoju do 2030 roku” i rozpoczęły się zmiany. „Nie może być wojny, kiedy budują się oligarchie”, jak mantrę powtarzali mieszkańcy. Nieoczekiwanie zaczęli napływać obywatele Donieckiej Republiki Ludowej. Mariupol, do niedawna w cieniu Doniecka, zaoferował im lepsze warunki. I tak nad brzegami Morza Azowskiego, bez wystrzałów i nachalnej propagandy, Ukraina stała się atrakcyjną alternatywą.

zujących się w hodowli bydła. Wiadomo, że w Pawłowsku pionierami było 57 Wielkorosinów, czyli Rosjan, 8 Małorusinów, a więc Ukraińców, i 5 Polaków.

Wojna z imperium osmańskim miała kilka odsłon i gdy osadnicy budowali swoje 55 domów, trwała już relokacja greckiej oraz nielicznej ormiańskiej i wołoskiej ludności Krymu. Półwysep formalnie tylko należał do tamtejszego chanatu, choć faktycznie zarządzała nim Turcja. I Rosja, zgodnie z oficjalną wykładnią, wsparła prawosławnych bra-

tę etymologię, choć od lat 60., gdy radzieccy archeologowie przeprowadzali prace w wodach Zatoki Taganroskiej, nie ma wątpliwości, że na miejscu Mariupola ok. XII-XIII w. wznosiła się siedziba Brodników. Była to nie wspólnota narodowościowa, ale raczej zbiór niepokornych indywiduów, od Turków, przez Polowców, na Rusinach kończąc, na co też wskazuje ich nazwa, którą należałoby wywieść od słowiańskiego „bradzia-ga”, czyli włóczęgi. Najczęściej byli uciekinierami, dziś powiedzielibyśmy – ludźmi wyjętymi spod prawa, i właśnie nad Kalmiusem znaleźli schronienie.

SIEDEMNAŚCIE MGNIEŃ... TOŻSAMOŚCI

Brodnicy nie wpłynęli wprost na tożsamość Mariupola, ale można, jak czynią to ukraińscy badacze, widzieć w nich przodków Kozaków zaporoskich, którzy kilka wieków później u ujścia Kalmiusu mieli swoją siedzibę, czyli zimownik. Obie te grupy, a także pierwsi oficjalni osadnicy – jeszcze z Pawłowska – nie byli jednorodnymi społecznościami i dopiero wraz z przybyciem Greków zaczęła się monoetniczność miasta.

Okres ten skończył się po wydaniu przez Aleksandra II ukazu z 1859 roku zezwalającego osiedlać się tu przedstawicielom innych nacji; Grecy już w 1864 roku stanowili tylko 50 proc. wśród 7 tys. mieszkańców. Kolejne zmiany przyniosły ostatnie dwie dekady XIX w., kiedy doprowadzono kolej i zbudowano duży port morski, a w końcu stulecia dwie kompanie, amerykańska i belgijska, rozpoczęły budowę kombinatów metalurgicznych.

Inwestorzy zza oceanu wzniesli Nikopol-Mariupolski, a z Beneluksu – Russkij Prowidans. Olbrzymie zakłady potrzebowały rąk do pracy i w spisie z 1897 roku wykazano ponad 31 tys. mieszkańców deklarujących 27 narodowości, wśród których Rosjanie stanowili 60 proc., Żydzi – 15 proc., Ukraińcy – 10 proc., a dopiero czwarci byli Grecy – zaledwie 5 proc. Niski odsetek wychodźców z Krymu świadczył o zmianie profilu Mariupola, który z miasta kupców i rzemieślników stał się ośrodkiem przemysłowym, odpowiadającym na początku XX w. za 5 proc. produkcji żeliwa i 4 proc. stali w całym imperium.

Wówczas też miasto oswajało się z ukraińskością na dwa sposoby – bezpośrednio, poprzez udział nowych robotników w życiu społeczności, i pośrednio, w efekcie działań bolszewickich agitatorów, którzy wbrew temu, co zwykło się sądzić, najczęściej odwoływali się do narodowych korzeni. O tym zaś, jak skutecznym narzędziem była ukraińskość, świadczyć mogą z jednej strony rozrzucone w Mariupolu ulotki pisane w tym języku, z drugiej – kilkanaście dużych, wielotysięcznych strajków, które od 1897 do 1917 roku przetoczyły się przez miasto. Bez nowych, ukraińskich pracowników tak duże protesty byłyby nie możliwe.

Niewątpliwie wszystko to wpłynęło na wzrost świadomości narodowej i politycznej, a to z kolei przełożyło się na sytuację po rewolucji październikowej. Po 1917 roku miasto aż 17-krotnie przechodziło z rąk do rąk. Nie obyło się też bez krwawych starć między Austriakami, Niemcami oraz siłami ukraińskimi z jednej strony a bolszewikami z drugiej. Ci ostatni zmagali się również z białymi, reprezentującymi quasi-państwo Sił Zbrojnych Południa Rosji, zwolennikami anarchisty Nestora Machny i sporadycznie z wojskiem ententy. Aktorem tych wydarzeń była też istniejąca zaledwie miesiąc Doniecko-Krzyworoska Republika Radziecka, efemeryczna, choć ważna, ponieważ jej powstanie nie tylko odzwierciedla specyfikę tamtych dni, ale również stało się politycznym argumentem dla dzisiejszych separatystycznych republik.

Ostatecznie Mariupol wszedł w skład anektowanej przez Moskwę Ukraińskiej

Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Miasto przeżyło zapaść i w latach 1921-22 doświadczyło pierwszej fali głodu. Wówczas też nowe władze dokonały rozróżnienia między rodzajami ukraińskości. W oficjalnej bolszewickiej narracji byli dobrzy Ukraińcy ze sprokurowaną tożsamością narodową oraz źli, zakonspirowani „Austro-Ukraińcy”, jak pisała mariupolska prasa, czyli działacze, którzy budowę własnego państwa uzależniali od państw centralnych.

Trzecią, najliczniejszą grupę stanowili robotnicy, utożsamiający się z kulturą ludową czy Kozacką, i ich właśnie czekały straszliwe lata.

PODZIEMNE MIASTO

Na mapach depopulacji ziem ukraińskich w latach 1929-33 region doniecki jest zaznaczony jaśniejszym kolorem, gdyż liczba ludności zmniejszyła się tu o mniej więcej 18 proc. wobec 25 proc. i więcej w sąsiadujących jednostkach administracyjnych. Znajdujący się na tym obszarze Mariupol, z hutami i budowanym wówczas monstrualnym Azowstalem, należałoby oznaczyć jeszcze jaśniejszą barwą, bo władze nie mogły zredukować liczby robotników. Rzecz jasna, także tu działały specjalne brygady, które wyszukiwały kulaków, a na ulicach można było spotkać ciała zagłodzonych na śmierć. To jednak Mariupol, który w ciągu siedmiu lat, od 1927 do 1933 roku, czterokrotnie zwiększył liczbę mieszkańców, z 40 tys. do 160 tys., stał się miejscem ratunku dla wielu ludzi.

Historia Mariupola zaczęła się od 57 Wielkorusinów, 8 Małorusinów i 5 Polaków

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że lokalni bolszewicy musieli być zawiedzeni mniejszą wydajnością, np. względem towarzyszy z Charkowa, Krzywego Rogu czy Połtawy, i powetowali to w czasie Wielkiego Terroru. Obiektem prześladowań w mieście stały się mniejszości narodowe. Źródła podają, że w regionie skupiono się na okręgu mariupolskim i przeprowadzono trzy największe akcje narodowe.

Pierwsza akcja, sygnowana rozkazem NKWD Nr 00439, tzw. niemiecka, to 4265 aresztowanych i 3608 rozstrzelanych. Kolejna (rozkaz NKWD Nr 00485) skierowana była przeciw Polakom; zatrzymano 3777 osób, a życie straciło 3029. Ostatnia akcja, tzw. operacja dot. greckiej kontrrewolucji (rozkaz NKWD Nr 50215), pociągnęła za sobą osadzenie 3835 mieszkańców Mariupola i okolic, rozstrzelano zaś 3653. Ponadto oskarżeni o anarchizm albo współpracę z Machną, który w 1919 roku dowodził walkami w Mariupolu i później optował za stworzeniem oddzielnej armii, również podlegali osadzeniu. W ramach tej kampanii życie straciły kolejne tysiące mariupolan. Trudno zatem się dziwić, że u progu II wojny w tożsamości narodowej 250-tysięcznego miasta dokonały się kolejne przetasowania. Każda inność była skrywana, a każda tutejszość, przeciwnie, warta ekspozycji.

BUTY HITLERA

Stalin odwiedził Mariupol tylko raz, w czasie wojny domowej. Drugi z tyranów – Hitler – zjawił się tu w grudniu 1941 roku. Wiadomo, że udał się w tę podróż, aby zbesztać swoich dowódców, od niespodziewanie woj-

ska radzieckie w okolicach Taganrogu przełamały atak Niemców. W samolocie zmarzły mu nogi i pilot użyzył mu butów. Zatrzymał się w tzw. białej daczynie nad brzegiem Morza Azowskiego i spacerował po plaży.

Dwa mariupolskie giganty – Iljicz, powstały z kombinatów belgijskiego i amerykańskiego, oraz nowoczesny Azowstal – wznowiły produkcję na rzecz Niemców. Ci założyli, że każdy robotnik ma pracować 12 godzin dziennie, i wyliczyli, że nie kalkuluje się im utrzymywanie wielkiego miasta. W efekcie planowych działań rozstrzelano ok. 10 tys. cywilów, 50 tys. wywieziono do Rzeszy, wymordowano żydowską społeczność – liczebność Mariupola spadła do 80 tys. Mimo to w mieście działał ruch oporu i oprócz bolszewików aktywni byli bojownicy OUN.

Rola, jaką odegrała ta organizacja, nie jest jednoznaczna. Jej oficjalne przybudówki współpracowały z okupantem, a założona jeszcze w 1927 roku mariupolska Proswita wydawała legalnie gazetę, prowadziła szkołę oraz wśród robotników organizowała sportkania, informując o Holodomorze. Wielu oounowców angażowało się także w akcje dywersyjne i w ostatnich miesiącach okupacji stali się obiektem policyjnych akcji, a samą Proswitę zamknięto.

Nacjonałści nie przerwali działań wraz z wyzwoleniem miasta przez Armię Czerwoną i kontynuowali pracę niepodległościową wśród robotników. Po zakończeniu wojny stali się wrogiem numer jeden i do 1948 roku z całym okrucieństwem zostali rozgromieni.

Równoległe do rozprawy z OUN w Mariupolu podjęto odbudowę kombinatów.

Niemcy rozkradli maszyny, a pozostałą infrastrukturę zniszczyli w 70-90 proc. – postanowiono Azowstal przekształcić w zakład strategiczny, który będzie mógł kontynuować produkcję także po ataku nuklearnym. Stworzono sieć podziemnych kondygnacji, na których umieszczono nie tylko centra zarządzania fabryką, ale też wielopoziomowe schrony, zaopatrzone w narzędziownię, lecznicę, stołówki, składy żywności, a nawet podziemne plantacje warzyw. Wszystko to miało umożliwić przetrwanie kataklizmu. Miastu zaś nadano nowe imię – Żdanow, które przetrwało do 1989 roku.

POSTSOWIECKI MARAZM

Marzec 2007 roku, kwadrans po czwartej rano. Z przystanku odjeżdżają równocześnie dwa trolejbusy wiozące pracowników na pierwszą zmianę. Znika tłum i pozostaje staruszka. Siedzi na odwróconym wiadrze, a przed nią leżą tutki z pestkami słonecznika. Nie używa słowa „hrywna”, woli „ruble”. W sklepach ceny są podane w oficjalnej walucie, ale co druga osoba nie korzysta z ukraińskiej nomenklatury. Nie trzeba dodawać, że częściej słyszy się rosyjski. Po szóstej miasto pustoszeje i zdaje się odpoczywać przed kolejną falą jadących do biur, szkół, urzędów. Wtedy też napływa mgła przemysłowa, która powstaje podczas spustu surówki w hutach. Wyziewy czuć w powietrzu, a orzeźwienie przynosi spacer nadmorski mi bulwarami.

Zanim pojawiają się sprzątacze i zgasną latarnie, na wyasfaltowanych alejkach przy ławkach błyszczą metalicznie krążki. Pierwsza myśl – ktoś rozrzucił monety. Ale wystarczy podnieść jeden, aby się przekonać, że

to kapsle z hologramem z wódczanych butelek. Studentka, przyjaciółka polonisty, który trafił do Mariupola przez Polonijne Centrum Nauczycielskie, żali się, że alkoholizm jest olbrzymim problemem, a średnia życia mężczyzn nie przekracza 60 lat. „Gorzej jest tylko w Krzywym Rogu i Zaporozu. Po pracy piją otwarcie w centrum miasta” – dodają jej rodzice. Ojciec jest ordynatorem w miejskim szpitalu, matka inżynierem w Azowstalu. Nie ukrywają, że nie żyje się im źle, wiedzą, że na zachodzie kraju nie mogliby sobie pozwolić na zapewnienie dzieciom dobrej edukacji czy kupno kolejnego mieszkania.

Mimo to zarówno z ich słów, jak i wypowiedzi innych mariupolczyków przebiega marazm. „Kim jesteśmy?” – taksówkarz powtarza zadane pytanie i z rozmysłem odpowiada: „[My] tutejsi”. Wszystkim przeszkadzają brak szacunku do ich miasta oraz ekonomiczna niesprawiedliwość. Podczas spaceru wskazują wille albo przejeżdżające luksusowe samochody i wymieniają nazwiska właścicieli, lokalnych krezusów. Uśmiechają się też, gdy słyszą, ile w Polsce może zarobić menedżer wyższego szczebla. Dochody tutejszych włodarzy miasta albo dyrektorów kombinatów są o niebo wyższe.

DRUŻYNA MARIUPOLA

Marzec 2014 roku – miastem wstrząsa mała rewolucja. W odpowiedzi na Euromajdan i aneksję Krymu na ulice wychodzą dwie grupy: zwolenników jedności Ukrainy i federacionistów, sympatyzujących z Moskwą i ruskim mirem. Ci drudzy są liczniejsi, dojdzie do starć. Po obu stronach szybko pojawiają się młodzi zamaskowani mężczyźni z kijami bejsbolowymi. Poleje się krew, zginą ludzie. Powołany zostanie ludowy mer i zaplanuje dwuwładza. Ukraińskie wojsko spróbuje przerwać impas, ale naprzeciw stana przybysze z Donieckiej Republiki Ludowej. Zapłonie stary BTR, polecą koktajle Mołotowa i los miasta zawisnie na włosku. Można powiedzieć: reminiscencja sprzed wieku, z czasów wojny domowej. Sytuację opamiętują, i to dwukrotnie, w czerwcu i we wrześniu, bojownicy nowo powstałych oddziałów Azow i Dnipro-1.

Mariupol wróci do Ukrainy, ale poraniony. Zdarzają się nacjonalistyczne samosądy. W odpowiedzi z DNR polecą na miasto pociski Grad i zginą dziesiątki cywilów. Zdawać by się mogło, że to doskonała sytuacja, aby podburzać, knuć. A jednak przeorganizowany i odmieniony batalion Azow, który już wpisał się w panoramę miasta, oraz naprawdę mądre wsparcie Kijowa dają nadzieję. Oligarchowie sadzą drzewa, powoływane są ekologiczne fundacje i stowarzyszenia, miasto awansuje w rankingach zaufania do władz. Na nadmorskich bulwarach żołnierze uprawiają jogging i z uśmiechem odmacniają spacerowiczom.

Znów mijają lata. Końcówka 2021 roku. Ludzie, wbrew temu, co mówi się w telewizji, szykują się do wojny, wyostrzają się stanowiska. Wielu jest za Ukrainą, są i tacy, którzy chcą do Rosji, ale nikt nie spodziewa się ukrainocydu.

I nagle wydarza się. Można by rzec – wchodzi orkowie z Mordoru i Isengardu. W mieście nie ma już wyznawców ruskiego miru. „Mariupol ce Ukraina!” ●

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

• duet pisarski, akronim MAGowie. Ich inspiracją jest Wschód, który jak Średniowiecze Fernanda Braudela wciąż pisze. Publikują m.in. w „Wyborczej”, „Polityce”, „Newsweeku”, współpracują z kwartalnikiem „Akcent”. Autorzy książek „Naukowcy spod czerwonej gwiazdy”, „Grażdanin N.N.” i „Inżynierowie Niepodległej”, a także „Naznaczeni przez rewolucję bolszewików” (pod red. Piotra Nehringa). Prywatnie małżeństwo i rodzice czwórki dzieci, mieszkają w Warszawie

UTRZYMANEK

Adwokat Jarosława Kaczyńskiego: Pozwany nie jest osobą majątną

Agnieszka Kublik, Iwona Szpala

W styczniu Jarosław Kaczyński rozmawia z zaprzyjaźnionym tygodnikiem „Sieci”. Tematem numer jeden jest sprawa Pegasusa. To program do inwigilacji przestępstw, użyty m.in. wobec Krzysztofa Brejzy. Jego telefon został zhakowany – 33 włamania od wiosny do jesieni 2019 r. Polityk był wtedy szefem kampanii wyborczej Platformy. PiS był oskarżany, że służby państwa wykorzystaly nielegalną inwigilację w walce wyborczej.

Kaczyński wszystkiemu zaprzecza: – Żaden Pegasus, żadne służby, żadne jakieś tajne pozyskiwanie informacji nie odgrywały w kampanii wyborczej 2019 r. jakiegokolwiek roli. Przegrali, bo przegrali, nie powinni dziś szukać usprawiedliwień.

I dorzuca zdanie, za które Brejza go pozwie. – Przypominam, że on sam pojawia się w sprawie inowrocławskiej w poważnym kontekście, jest tam podejrzenie poważnych przestępstw.

Właśnie trwa wymiana pism procesowych. Senator chce, by Kaczyński na własny koszt opublikował przeprosiny. Mają stać na portalu wPolityce.pl 48 godzin, a w tygodniku zająć pół strony, wytuszczonym drukiem.

Mecenas Kaczyńskiego alarmuje sąd, że senator KO chce doprowadzić jego klienta do ruiny. Bo – jak wyjaśnia sądowi – eksponowane ogłoszenia są niezwykle drogie, szczególnie w portalach internetowych, gdzie „konkurują z najbardziej atrakcyjną, komercyjną powierzchnią reklamową”.

Uważa, że nie należy zapominać o kontekście, że sprawa dotyczy popularnych polityków. A o tego typu sporach zawsze w mediach jest głośno. Wystarczy więc symboliczna forma przyznania racji.

Mecenas znalazł przykład podobnego wyroku. Skromniejsze i mniej eksponowane przeprosiny, które mają stać na portalu Onet dobie, to koszt 480 tys. zł. Gdyby dostosować je do żądań senatora Brejzy, to wedle obliczeń mecenas Jarosław Kaczyński musiałby wyłożyć kilka milionów. Wprawdzie, jak sam przyznaje, cena mogłaby być skromniejsza, bo portal Karnowskich nie ma stawek topowego Onetu. Ale zawsze to poważny koszt. Mecenas zauważa: „Pozwany nie jest osobą majątną, w zasadzie jedynie dom, w którym zaspokaja swoje potrzeby mieszkaniowe, jest jedynym łączącym się składnikiem majątkowym”.

Mowa o połowie bliźniaka w miejscu, gdzie nieruchomości biją rekordy cenowe. Kaczyński mieszka na starym Żoliborzu, to jedna z najpiękniejszych i najdroższych warszawskich dzielnic. Pełno tu parków, drzew, krzewów, kwiatów. Dom stoi przy ul. Mickiewicza, kilka minut drogi od placu Wilsona, serca starego Żoliborza.

W oświadczeniu majątkowym prezes PiS – jako jeden z trzech właścicieli – osza-



cował rodzinne 150 m kw. na 1,5 mln zł. Dom nie należy do pereł architektury, to PRL-owski piętrowy klocek z ogródkiem. Czasy świetności ma dawno za sobą – szara, dawno nieremontowana elewacja, kraty w oknach, powyginany daszek z blachy falistej nad

co w 2018 r. wyszedł „Super Express”, a portal Karnowskich natychmiast skomentował: „To musi być szok dla totalnej opozycji. »Dyktator« Kaczyński jak zwykły Polak zrobił pranie i wywiesił je na balkonie”.

A jak wyla prezentuje się w środ-

prasał – wspomina jeden z najbliższych współpracowników braci Kaczyńskich. – Raz byłem, coś przywiozłem Jarosławowi. Byłem tak stremowany, że tam jestem, że bałem się zrobić krok dalej, zostałem w przedpokoju.

– Kaczyński nas zapraszał, ale do willi premiera przy Parkowej – relacjonuje inny działacz PiS. – Do domu przy Mickiewicza nigdy. Jeśli ktoś tam jechał, to z dokumentami dla Jarka. – Ich życie towarzyskie było dziwne – opowiada nam znajoma matki braci. – Lech częściej miał gości niż Jarek. Czasami, jak byłem u Jądwi, to Rajmund [ojciec braci] był wystraszony, stał w kącie, jak przychodziłam.

– Tak, byłem w tej willi – deklaruje kolejny rozmówca – ale tylko w przedpokoju. Zerknąłem do środka, to był chyba duży pokój. Wyglądał jak dom starszych państwa, elegancki, ale z niższej półki.

Przed laty „Dziennik Gazeta Prawna” opisywał, że jest skromnie urządzonej: klasyczna meblościanka, stary fotel, mnóstwo książek i gazet. Niektórzy wspominają, że wizyta w willi prezesa „to jak podróż w czasie do późnego Gomułki”.

Waldemar Danilewicz, dawny przyjaciel Jarosława, zatrzymał się u niego na noc przed stanem wojennym: „Dom państwa Kaczyńskich to był dom ludzi, którzy główną aktywność wykazywali w sferze kulturalno-intelektualno-duchowej. Na ścianach wisiało mnóstwo obrazów, na regałach stały ogromne liczby książek, ale dom nie był wypieszczony. Był to ty-

bal-
ko-
nem.

Zanim pod dom zaczęły przychodzić demonstracje, pod okiem Grom Group i policji życie toczyło się tam leniwie. Latem na balustradzie balkonu zdarzało się Kaczyńskiemu suszyć bieliznę i ubrania,

200

TYS. ZŁ

musiał pożyczyć Kaczyński od przyjaciółki rodziny Janiny Goss

ku? Tu pojawia się problem. Rozmawiamy z wieloma osobami,

z którymi Kaczyński ma lub miał dobry, czasami nawet serdeczny kontakt. Okazuje się, że nie byli jego gośćmi. – On nas do siebie nie za-

NARODU

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

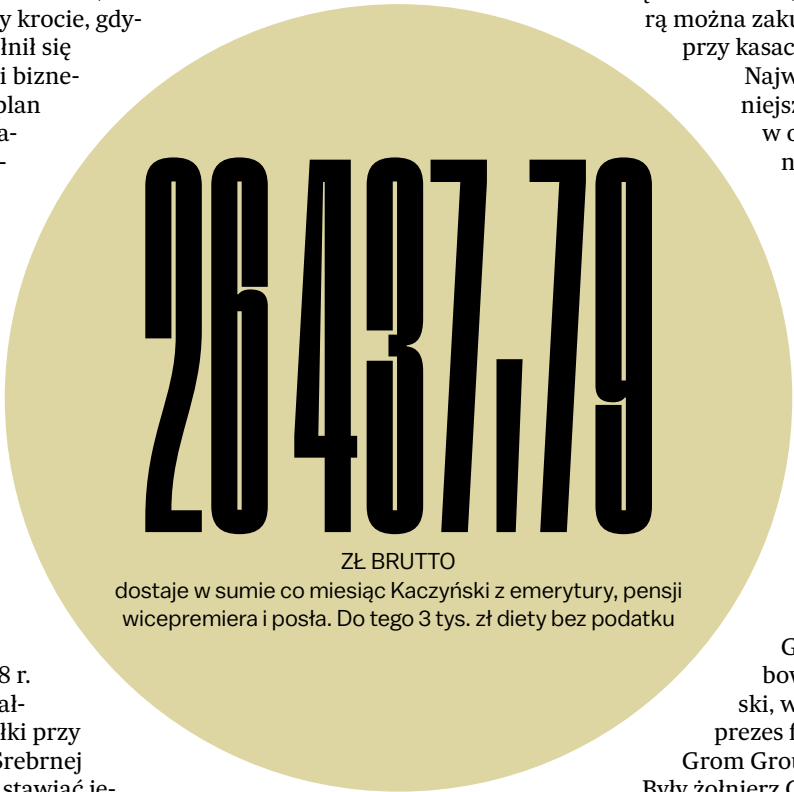


powy – jak później zrozumiałem – dom ludzi, którzy wyszli z wojny z dojmującą świadomością, jak łatwo traci się dobra materialne, i także dlatego traktowali je wyłącznie jako środki niezbędne do egzystencji, ale nie cel sam w sobie”.
W końcu udaje nam się dotrzeć do kogoś, kto był w środku i coś pamięta. – Na parterze był salon, kuchnia i niewielki pokój Rajmunda. Na piętrze w salonie wiel-

kości tego piętro niżej mieszkała Jadwiga. Dwa mniejsze pokoje zajmowali bracia.

Jarosław Kaczyński mówił kiedyś: – Nie dbam o dobra materialne. Gdyby było inaczej, zamiast polityki wybrałbym zawód radcy prawnego.
W 2017 r. opowiadał tygodnikowi „Vi-va!”: „Tak naprawdę to dopiero kiedy zostałem redaktorem naczelnym »Tygodnika Solidarność«, miałem jakieś stałe przyzwoite pieniądze. Przedtem, nawet jako senator, tylko cieniutką dietę. A jeszcze przedtem zupełnie nic. Kiedy podziemie przestało przekazywać niewielkie, ale jakoś wystarczające na skromne życie środki. Nie miałem nawet garnitur, rodzice na emeryturze. Ale jakoś to przetrwałem, na parówkach z wody. I mogę uczciwie powiedzieć, że pieniądze nie są warunkiem szczęścia”.
Kaczyński wiele razy był chwalo-ny przez partyjnych kolegów właśnie za skromność. Ryszard Czarnecki mówił, że Kaczyński jest jak Piłsudski, który nie robił kariery, aby zdobyć majątek, tylko działał dla Polski.
Nieco inne standardy ma partia, którą Kaczyński kieruje. Nepotyzm, system powiązań personalnych, kupowanie przychylności posadami to część stylu władzy PiS. Samego Kaczyńskiego nie ciągnęło do zaszczytów, próżno go też szukać w radach nadzorczych państwowych spółek. W publicznych wypowiedziach nie krył, że jego pasją to robienie czystej polityki. W swoim środowisku Kaczyński uchodzi za „wielkiego stratega”, „wybitnego intelektualistę” oraz „polityka najwyższej klasy”, stąd w partii bardzo się dba, by lider nie musiał wychodzić ze swojej strefy komfortu.
Partia i spółka Srebrna organizują spółkó w otoczeniu domu na Żoliborzu. Kaczyński od lat nie ma sąsiadów za ścianą ani za plotem, bo spółka wynajęła dwa sąsiednie adresy. Połówkę bliźniaka, w którym mieszka prezes PiS, a po kilku latach sąsiednią nieruchomość.
Srebrna, część gospodarczego zaplecza środowiska PiS, należy do Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego – fundacji, w któ-

rej władzach zasiada Jarosław Kaczyński. Spółka ma pieniądze. Zarabia na wynajmie dwóch biurowców w centrum Warszawy, które w latach 90. miały być siedzibą koncernu medialnego związanego z Porozumieniem Centrum, pierwszą partią prezesa PiS. Srebrna radzi sobie nieźle, a zarabiałaby krocie, gdyby spełnił się ostatni biznesowy plan Jarosława Kaczyńskiego.



W 2018 r. na działce spółki przy ulicy Srebrnej chciał stawiać jeden z wyższych biurowców w Warszawie. Występował jako szef rady fundacji Instytut im. Lecha Kaczyńskiego, a nie jako polityk. Wycofał się w ostatnim momencie, bo uznał, że deweloperka może zaszkodzić notowaniom partii.
Wróćmy na Żoliborz. W drugiej willi fundacja im. Lecha Kaczyńskiego postanowiła zorganizować izbę pamięci byłego prezydenta. Podczas remontu domu wieloletni prezes Srebrnej Kazimierz Kujda nie krył, że za wiele miejsca tam nie ma. Pamiętki zajmują dwa pokoje, resztę Kujda planował znieść do piwnicy.

Wkrótce okazało się, że do izby nie mają wstępu postronni. Na spotkaniach, pogadankach i odczytach zasiada starannie dobrana publiczność. A listę zaproszonych akceptuje Kaczyński. Sam na takich wydarzeniach nie bywa. To nie oznacza, że do willi za plotem nie zagląda. Wynajmowany przez Srebrną dom służy mu do organizowania spotkań, gdy potrzebuje porozmawiać w kameralnej atmosferze.
Wytropili to fotoreporterzy tabloidów, którzy starają się relacjonować wydarzenia na bieżąco. Dokumentują, jak pracownicy Grom Group łapią kota Kaczyńskiego albo noszą siaty z zakupami. W tekście „Tajemnicza torba Kaczyńskiego” czytamy: „Coraz częściej do tego zadania [zakupów] oddelegowany jest jego osobisty ochroniarz. W limuzynie, którą ochroniarze prezesa PiS jeżdżą na zakupy, dostrzegliśmy materiałową torbę z Carrefoura, którą można zakupić przy kasach”.
Najważniejszy w ochronie jest Woj-

ciech Grabowski, wiceprezes firmy Grom Group. Były żołnierz GROM z pierwszego zaciągu, grał prezydenckiego ochroniarza w filmie „Smoleńsk”. Roczne faktury za ochronę kosztują partię około 1,5 mln zł. Były partyjny skarbnik Stanisław Kostrzewski wyjaśnił „Polityce”, że ochrona jest wspieraniem celów statutowych. To samo PiS odpowiedział Państwowej Komisji Wyborczej, która kontroluje wydatki partii. PiS stwierdził, że płacenie faktur za ochronę nie łamie ustawy o partiach politycznych. Powołał się na zapis, wedle którego majątek partyjny „może być przeznaczony tylko na cele statutowe lub charytatywne”.
W ostatnich latach Grom Group wzmocniła policja, a wszystko przez protesty, których przystankiem często bywa

17-22.05

COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL 2022: INFORMACJA

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

Ja, niżej podpisany, oświadczam, że posiadam...

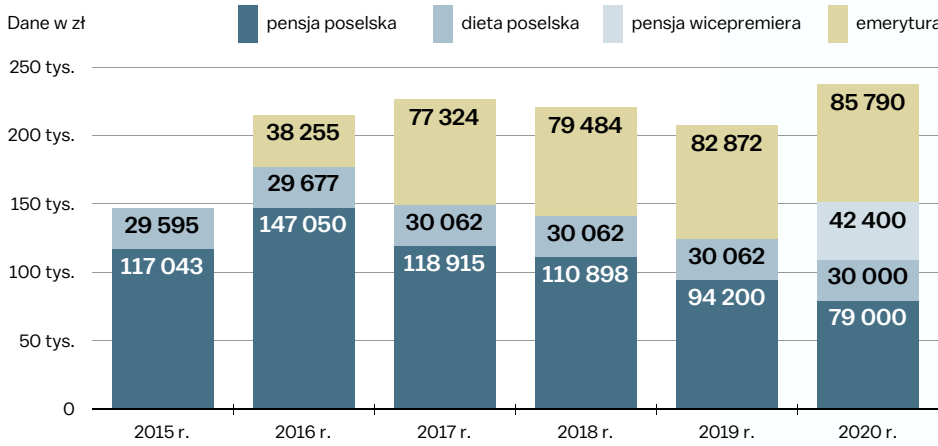
Zgodnie z przepisami ustawy z 9.05.1996 r. o wykonywaniu mandatu posła i senatora parlamentarzyści są zobowiązani do złożenia raz w roku oświadczeń o swoim stanie majątkowym. Do końca kwietnia oświad-

czenia powinny trafić do Kancelarii Sejmu. Następnie są one publikowane na stronie Sejmu i stanowią oficjalne źródło informacji o dochodach osób publicznych. Ostatnie dostępne oświadczenia dotyczą 2020 r.

DOCHODY

Jarosław Kaczyński jako zawodowy parlamentarzysta pobiera pensję i nieopodatkowaną dietę poselską. Od 2016 r. dostaje również emeryturę naliczaną na korzystnych zasadach

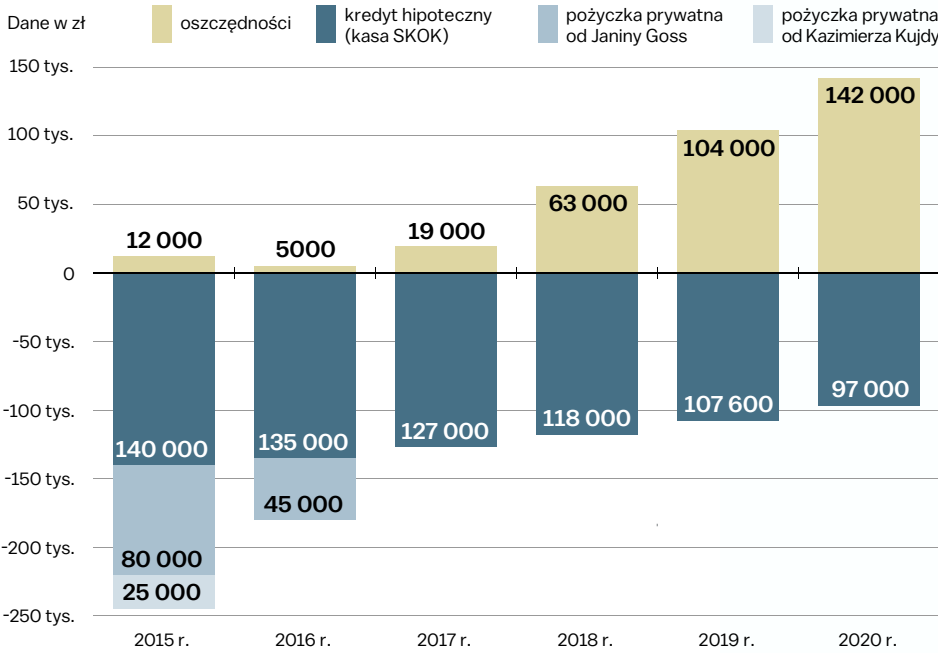
(wystąpił o emeryturę dwa lata po nabyciu praw emerytalnych i w drugiej połowie roku). Od października 2020 r. pobiera dodatkowo pensję jako członek rządu.



OSZCZĘDNOŚCI I KREDYTY

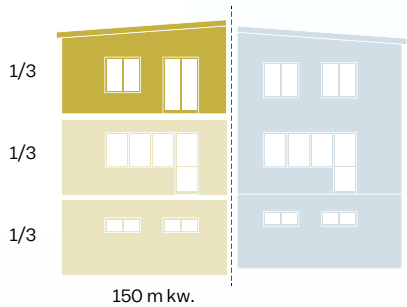
Na początku poprzedniej kadencji Sejmu Jarosław Kaczyński był poważnie zadłużony. Oprócz pożyczek u dwóch prywatnych osób zaciągnął również kredyt w kasie SKOK

w wysokości 140 tys. zł na 7,9 proc. rocznie. Prywatne pożyczki już spłacił. Kredyt spłaca powoli, choć zgromadzone oszczędności znacznie przewyższają wysokość kredytu.



NIERUCHOMOŚCI

Prezes PiS jest współwłaścicielem połowy bliźniaka o powierzchni 150 m kw. na warszawskim Żoliborzu. Należy do niego 1/3 nieruchomości. Od lat w kolejnych oświadczeniach majątkowych wartość domu wycenia na 1,5 mln zł.



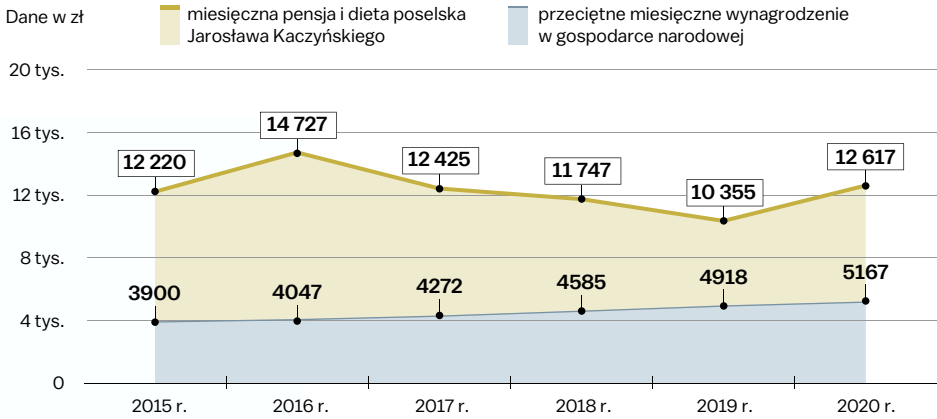
237 190 zł

dochodu za 2020 r. zadeklarował Jarosław Kaczyński w ostatnim opublikowanym oświadczeniu majątkowym

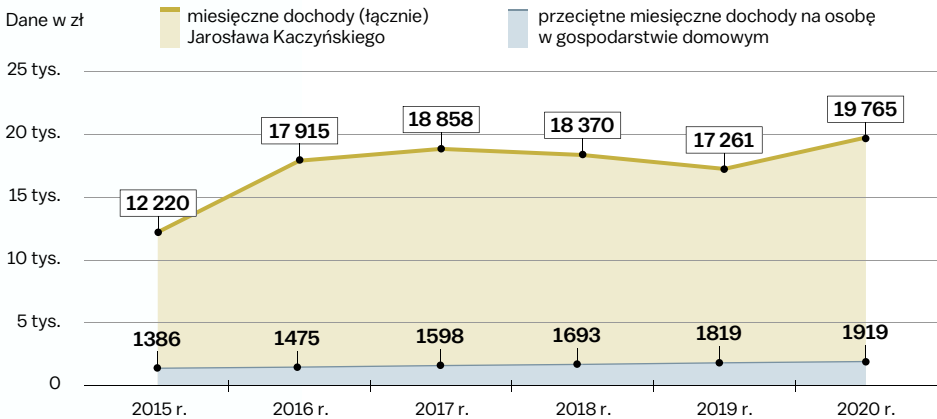


Kaczyński na tle Kowalskich

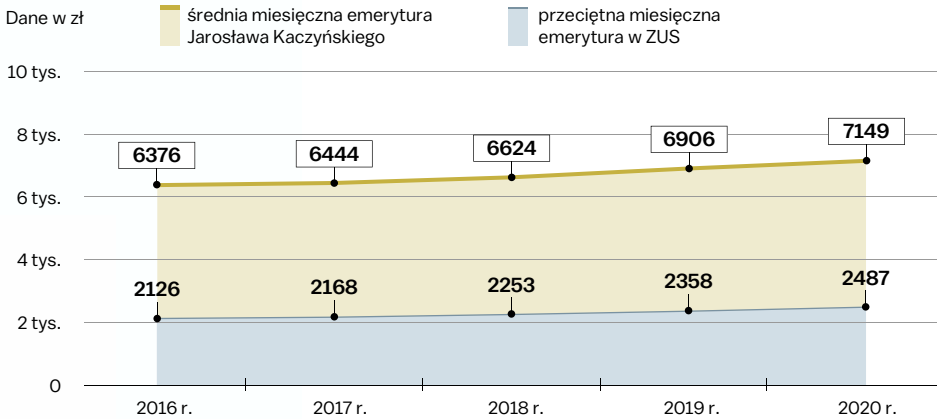
PŁACA ZA PRACĘ



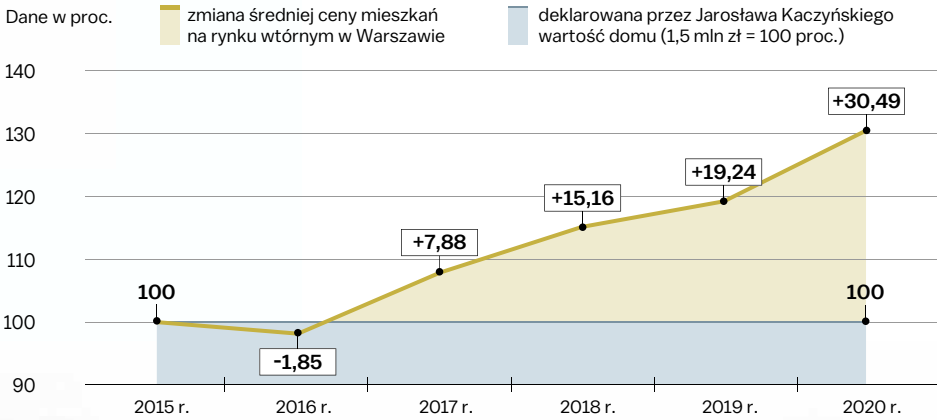
DOCHÓD NA OSOBĘ



WYPRACOWANA EMERYTURA



REALNA WARTOŚĆ NIERUCHOMOŚCI



willi Kaczyńskiego. Onet policzył, że roczny koszt tej publicznej ochrony to ok. 1,8 mln zł.

Często na pierwszym planie doniesień z Żoliborza jest czarna skoda superb, za którą także płaci partia.

Gdy jesienią 2020 r. Kaczyński został wicepremierem, reporterzy „Super Expressu” ustalili, że nie zmienił samochodu. „Prezes cały czas jest wozony starszą wersją sprzed liftingu. Nie jest to jednak byle jaki egzemplarz, ale pozycjonowane w klasie średniej auto z topowym silnikiem. Skodę superb prezesa napędza silnik 2.0 TSI o mocy 280 koni mechanicznych, połączony z automatyczną skrzynią biegów DSG o sześciu przełożeniach i napędem na cztery koła. To przestronne auto przyspiesza od 0 do 100 km/h w 5,8 sekundy i może pędzić z maksymalną szybkością 250 km/h. Takie osiągi sprawiają, że Jarosław Kaczyński zawsze jest dowieziony wszędzie na czas”.

Sam Kaczyński mówił nieraz, że uwielbia podróżować. Na konwencji PiS w Białymstoku w 2019 r. podzielił się z działaczami refleksją: „Jeździłem po Polsce począwszy od 1990 roku bardzo intensywnie. Nieustannie zwiedzałem kraj. Znam polskie drogi i szosy lepiej niż niejeden kierowca tira”.

Ze służbowych samochodów korzysta od początku politycznej kariery. Od zawsze towarzyszy mu kierowca, bo nie ma prawa jazdy. Obecnie kierowcy są dostępni całą dobę, okrągły tydzień. Wożą go w każdą sobotę na Powązki na grób matki i do Krakowa w miesięczni-ce pogrzebu pary prezydenckiej.

Czasami z dbaniem o komfort lidera bywało trudno. Wiosną 2013 r. Cezary Tomczyk zawiadomił prokuraturę, że Kaczyński nie wpisał do oświadczenia majątkowego darowizny od klubu PiS. Suma poważna – ponad 400 tys. zł.

Posel PO powoływał się na ustalenia mediów: posłowie PiS mieli wesprzeć prezesa 300 tys. zł, by stać go było na obsługę prawną spraw związanych z katastrofą smoleńską, 110 tys. zł było wynagrodzeniem dla jednej z gdańskich kancelarii, która reprezentowała go w prywatnych procesach o naruszenie dóbr osobistych z Januszem Kaczmakiem, Giertychem i Palikotem. Po trzech miesiącach warszawska prokuratura okręgowa umorzyła śledztwo. „Należy stwierdzić, że Jarosław Kaczyński nie miał obowiązku ujawnienia w składanych przez siebie oświadczeniach majątkowych kwot z tytułu zwrotu kosztów pomocy prawnej świadczonej przez mecenasa Rafała Rogalskiego w ramach umów o współpracę z klubem parlamentarnym PiS, których zakres obejmował śledztwo smoleńskie” – wyjaśnił prokurator Dariusz Ślepokura.

Nie było też przestępstwa w opłaceniu przez klub prywatnych procesów Kaczyńskiego. Według prokuratury „środki przeznaczone na finansowanie tego typu usług prawnych opłaciło PiS, co było uzasadnione tym, że Kaczyński jako prezes partii jest jej organem statutowym”.

A jak radzi sobie finansowo Jarosław Kaczyński? Nie najgorzej. Dostaje pieniądze jako poseł, wicepremier i emeryt.

Jego wynagrodzenie w rządzie sięga 18,2 tys. zł brutto, bo jako wicepremier ma 14 279,57 zł brutto podstawy oraz 4008,30 zł brutto dodatku funkcyjnego.

To nie wszystko. Jest Sejm. Zgodnie z ustawą poseł lub senator otrzymuje wynagrodzenie w wysokości 80 proc.

pensji podsekretarza stanu (16 033,21 zł brutto). 80 proc. to 12 826,57 zł brutto.

Kaczyński, choć pozostaje posłem, tego wynagrodzenia nie otrzymuje, bo ma pensję wicepremiera. Wciąż dostaje dietę – to dodatkowe środki, które parlamentarzyści otrzymują na pokrycie kosztów sprawowania mandatu. Podobnie jak wynagrodzenie podstawowe wyliczana jest jako procent od pensji podsekretarza stanu, konkretnie 25 proc. Obecnie to 4008,25 zł.

Dieta parlamentarna jest zwolniona z podatku do 3 tys. zł.

Kaczyński zarabia więc w sumie 19 296,12 zł brutto plus 3 tys. zł niepodlegające opodatkowaniu. Jest też emerytura – ok. 7141,67 zł brutto.

W sumie – emerytura, zarobki w rządzie i parlamencie – Kaczyński dostaje co miesiąc 26 437,79 zł brutto i 3 tys. zł diety bez podatku.

Przeciętna emerytura to 2545 zł brutto.

Kaczyński ma też prawo do ryczałtu na biuro poselskie (na pensje asystentów i pracowników biurowych, rachunki za czynsz i media, tłumaczenia tekstów, prenumeratę prasy, opinie i ekspertyzy prawne, materiały biurowe, księgowość, prace remontowe i konserwacyjne, zakup i serwis sprzętu biurowego).

Maksymalny ryczałt wynosi 17 200 zł. Kaczyński w sprawozdaniu z wydatków ryczałtu wpisał, że w 2020 r. dostał 205 593,33 zł, wydał 171 545,48 zł i miał 34 047,85 zł nadwyżki.

Kilka lat temu Kaczyński miał dług u przyjaciółki, nadal spłaca kredyt zaciągnięty w kasie SKOK.

W 2011 r. prezesa PiS wsparła 200 tys. zł Janina Goss. To radczyni prawna na emeryturze, która jest przy nim od czasów Porozumienia Centrum. Po wygranej PiS Goss weszła do rad nadzorczych Banku Ochrony Środowiska i Polskiej Grupy Energetycznej.

Pani Janina lubi rozdawać karty na partyjnym zapleczu, jej matecznikiem jest Łódź. Ale doskonale porusza się także po warszawskiej centrali, gdzie utraciła kilka karier.

Tytułowana „panią mecenas”, słynie ze słabości do naturalnych futer i kape-luszy, czas dzieli między partię i spółkę Srebrna. W czasie wolnym pasjonuje się zielarstwem oraz medycyną naturalną, dba o kondycję Kaczyńskie-go. W sezonie przynosi suszone kasztany, by zneutralizowały negatywne promieniowanie wokół lidera. Wcześniej dbała o zdrowie matki braci, panie się przyjaźniły, Goss bywała w domu przy Mickiewicza, często ze swoimi ziołami. Gdy Jadwiga Kaczyńska podupadła na zdrowiu, a Kaczyński uznał, że musi przystosować dom dla niedomagającej matki, Goss wysupłała oszczędności.

Od 2017 r. nie ma już zobowiązań finansowych wobec Janiny Goss, pozostaje wciąż niespłacona pożyczka w SKOK-u, oprocentowana na 7,99 proc. rocznie i rozłożona na 165 rat – w 2019 do spłaty pozostało 112 tys.

Z ostatniego oświadczenia, za 2020 r., wynika, że prezes PiS ma około 142 tys. zł oszczędności. Dom niezmienne jest wart 1,5 mln zł. Jest jednym z trójki współwłaścicieli, więc jego majątek to dziś około 640 tysięcy złotych. ●



ŹRÓDŁO: SEJM RP, GUS, ZUS, NBP

W poszukiwaniu św. Grilla

Niedzielny zakaz handlu jest antyreligijny

Marcin Matczak*



W ciągu ostatnich dwustu czy trzystu lat religie Zachodu uległy wyraźnemu rozkładowi. Były wzloty i upadki, ale przeważał ruch w dół, w wyniku czego żyjemy dziś w epoce, która jest prawdopodobnie najbardziej bezreligijna w całej historii”. Te, jakże aktualne słowa, wyszły spod ręki Aldousa Huxleya niemal sto lat temu. Czy coś się zmieniło? Wiele, jak się okazuje. Wprawdzie religia nadal się rozkłada, ale za to pojawiają się jej odpowiedniki, a nie bardziej tego nie ujawnia jak polska majówka. Piszę o niej z pewnym opóźnieniem, bo sprawa wymagała namysłu.

Majówka stała się dla Polaków przedmiotem sporu: jak w wielu innych kwestiach ateści starli się z katolikami. Przy okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy katolicy drwili z niewierzących: „Czy nie jest hipokryzją, że obchodzicie religijne święta, skoro gardzicie religią?”. Teraz ateści pięknie się odwinęli: „Czy wierzącym wypada obchodzić ateistyczną majówkę? Te wszystkie dni wolne od pracy, wyjazdy i radosne spotkania. Katolicka hipokryzja” (wpis Grega G.).

Nie taka ta majówka znów ateistyczna. Pomijając to, że 1 maja jest święto Józefa, a 3 maja – Maryi Panny, majówka dowodzi, że dobrze się mają ludzkie potrzeby religijne, które, mimo upadku religii właściwej, nadal są zaspokajane. Cytat z Huxleya pochodzi z tekstu „Współczesne zamienniki religii”. Co dzisiaj, oprócz polityki, seksu, przesądów i biznesu (propozycje Huxleya), zastępuje religię? Z całą pewnością piłka nożna, shopping i grillowanie.

Religia daje ludziom głównie dwie rzeczy: poczucie wspólnoty i rytuał, czyli powtarzalność, która uspokaja i ludzi, że ma się świat pod kontrolą. W sposób oczywisty granie w gałę, zakupy i grill spełniają te wymogi. Wspólnotę tworzą kibice i zakupowicze, o wspólnocie grillowanej karkówki nie

Baristka w Starbucksie jest współczesną kapłanką, pośredniczą między człowiekiem a tajemnicą zamkniętą w pytaniu: „Dlaczego nie da się już kupić zwyczajnej dużej, czarnej kawy”

ma nawet co wspominać, bo jest oczywista. Rytuał też oczywiście jest – co tydzień liga, co cztery lata mistrzostwa świata, co weekend wyjście do galerii, brutalnie zakłócone niedzielny zakazem handlu (w istocie antyreligijnym, bo niszczącym rytuał).

Że piłka nożna jest religią, przekonywać nie trzeba. Koszulka Maradony, w której strzelił Anglii gola ręką, nomen omen,

boga, została ostatnio sprzedana za 9 mln dolarów. To przypominało nam, że istnieje Kościół, w którym Maradona jest mesjaszem. Poważne BBC po mistrzostwach świata w Rosji zrobiło fotoreportaż, w którym zdjęcia z boiska porównuje z religijnymi obrazami. Na pierwszym z nich Kolumbijczyk strzela gola Polsce, a jego lewitujące metr nad trawą ciało porównane jest do wniebowstąpienia Jezusa, na które Michał Pazdan patrzy z wielką bojaźnią. Angole oczywiście nie rozumieją, że dla nas było to raczej zstąpienie do piekieł.

Futbol jako religia ma także kapłanów – od zawsze ich rolę, jak pisał Valéry, było pośredniczenie między człowiekiem a tajemnicą. Mamy proboszczów futbolu (Krzysztof Stanowski, Mateusz Borek), biskupów i kardynała, którym jest Michał Okiń z „Tygodnika Powszechnego”, zachwycający głębią myśli teolog piłki nożnej. Papieżem tej religii jest oczywiście Jacek Gmoch, któremu przysługuje nawet, jak się zdaje, przymiot nieomyślności, a antychrystem – Jan Tomaszewski.

Metafizyka zakupów wydaje się mniej intuicyjna, choć jasne jest, że starego, racjonalnego Kartezjusza wypiera współcześnie consumo ergo sum. Zakupy odbywają się w centrach handlowych, które, jak pokazują poważni badacze, buduje się tak, by przypominały rajske ogrody – są w nich fontanny, piękne rośliny, wszystkiego jest w bród. Nie przez przypadek największe centrum handlowe w Warszawie nazywa się przecież Arkadia.

Reklamujący towary celebryci są bogami tej świeckiej religii, a współczesne imitatio Dei polega na naśladowaniu Małgorzaty Rozenek przez kupno tańszego odpowiednika jej torebki. Kapłankami są ekspedientki w Sephorze, które rozpylają wonne kadzidła, a także baristka w Starbucksie, która pośredniczy między człowiekiem a tajemnicą, zamkniętą w pytaniu: „Dlaczego nie da się już kupić zwyczajnej dużej, czarnej kawy”.

Starbucks przypomina, że jest i ciemna strona religii zakupowej. W USA grasuje wielobny Billy, który przewodniczy ironicznemu Kościołowi Zaprzestania Shoppingu. Billy to współczesny odpowiednik św. Inkwizycji. Od lat prowadzi walkę z herezją konsumeryzmu, na przykład przez śpiewanie hymnów w centrach handlowych czy egzorcyzmowanie kas w Starbucksach. W 2004 r. firma uzyskała przeciw niemu nakaz sądowy, który wzywał do zaprzestania „prześladowania, kontaktowania się lub molestowania seksualnego komputerowych kas firmy Starbucks” (poważnie).

Wielobny Billy ma rację – zakupoholizm ma elementy fanatycznej religii. Ludzie nań cierpiący mają syndrom Boga. Żyją w przeświadczeniu, że wszystko mogą mieć, a potem idą „ciemną doliną długu”. Gdy zbada no rezonansem magnetycznym mózg fana Apple’a, patrzącego na logo z nadgryzionym jabłkiem, okazało się, że widok ulubionej marki pobudza mu w głowie te same obszary co doświadczenie religijne.

Majówka nie była więc ateistyczna, choć sklepy zamknięto, a polska reprezentacja akurat nie grała. To tylko objawiło nam, jak ważne w życiu jest poszukiwanie św. Grilla. Poprzedzona wizytą w świątyniach konsumeryzmu uczta, która łączy ludzi, to finał religijnego uniesienia. A zaprasza na nią szwagier prorocztwem à rebours „ze mną się nie napijesz” i jak zawsze jego słowo staje się ciałem.

Jeszcze coś łączy religię, shopping, grillowanie i futbol – to rozczarowanie. Jak nie biskupem, który jest nacjonalistą, to papieżem. Czyż o Franciszku nie można powiedzieć „niby człowiek wiedział, a jednak trochę się ludził...”? Po zakupach przychodzi wyciąg z karty, po grillu kac, a po meczu polskiej reprezentacji sami wiecie najczęściej co. „Marność nad marnościami i wszystko marność”, chciałoby się powiedzieć, i już nie wiadomo, do czego ten Kohelet najbardziej tu pasuje. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

PO PRAWDZIE

Jarek, dzwoni pani Kublik

Dawno, dawno temu, gdy jadłam jajecznicę z braćmi Kaczyńskimi...

Agnieszka Kublik



Urodziny „Wyborczej” nieuchronnie wywołują wspomnienia. Tak i teraz moje myśli poszybowały do naszych początków, a konkretnie do lat 90. A dokładnie do wiosny 1991.

A wszystko przez Jarosława Kaczyńskiego.

Było tak. „Wyborcza” wiosną 1991 była najpotężniejszym medium, a Adam Michnik najistotniejszym punktem odniesienia. Wywiadów udzielali nam wszyscy, ba, zabiegali o nie. Pojawienie się na naszych łamach to był dla polityków zaszczyt.

W tamtym czasie zajmowałam się prezydentem Lechem Wałęsą. Dlatego zabiegałam o spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim, który zaraz po zwycięstwie Wałęsy stanął na czele Kancelarii Prezydenta i szefował jej do października 1991 r.

Gdy Porozumienie Centrum dostało 609 tys. głosów, pani Kaczyńska ponoć krzyknęła: „Głupi naród, nie wiedzą, na kogo głosują”

Kaczyński od razu zgodził się na spotkanie, zostałam zaproszona na godziny poranne. Jakież było moje zdziwienie, ale i ogromna radość, gdy Jarosław powitał mnie razem z bratem Lechem, który wtedy był szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Lech przyszedł, żeby mnie poznać!

Siedzieliśmy we trójkę w prywatnym saloniku obok gabinetu Jarosława. Było uroczo. Razem zjedliśmy śniadanie, to była jajecznica. Potem długo rozmawialiśmy o Polsce, wspominaliśmy czasy młodości, bo uczuliśmy się w tym samym Joachima Lelewela (ja je skończyłam, Kaczyńscy nie, zostali przeniesieni do dwóch różnych szkół). Wspominaliśmy nauczycieli, na przykład dyrektorkę Annę Radziwiłł, uczyła nas historii. Wspólne żoliborskie korzenie dały nam poczucie bliskości.

Bracia ukazali mi się jako uroczy gospodarze, świetni gawędziarze, opowiedzieli mnóstwo anegdot z pracy u Wałęsy. Byli dowcipni, błyskotliwi i bardzo empatyczni.

Mogę śmiało napisać, że się polubiliśmy. Siedzieliśmy w trójkę na palacowych kanapach z obiciami w złote pasy, kanapy były wysokie, bracia radośnie machali nogami i razem zaśmiewaliśmy się z żartów Lecha i Jarosława.

Gdy potem potrzebowałam komentarza któregoś z braci, dzwoniłam do ich domu przy Mickiewicza na warszawskim Żoliborzu. Ich matka zawsze ciepło mnie witała i wołała w głąb domu: – Jarek, dzwoni pani Kublik, chodź szybko.

Potem drogi Kaczyńskich i Wałęsy się rozeszły. 29 stycznia 1993 r. Jarosław brał udział (m.in. z Adamem Glapińskim, Janem Parysem i Antonim Macierewiczem) w marszu na Belweder. Tym, na którym spalo no kukłę Wałęsy z napisem „Bolek”.

Gdy w 1993 r. Porozumienie Centrum, pierwsza partia Jarosława, nie przekroczyło progu, lecz przekonało do siebie 609 tys. wyborców, pani Jadwiga, matka bliźniaków, miała krzyknąć: „Głupi naród, nie wiedzą, na kogo głosują”.

Z Lechem Kaczyńskim i jego żoną Marylką spotykałam się przy różnych okazjach, raz nawet przydarzyło mi się, na przyjęciu Barbary Labudy, trzymać tackę z wegetariańskimi przysmakami, z której jadł Lech. Żartom nie było końca, najbardziej zaśmiewał się Andrzej Urbański – że gdyby Michnik widział, że karmię Lecha, toby mi dał nagrodę.

Jesienią 1995, przed wyborami prezydenckimi, Lech i Donald Tusk przyszli do redakcji na wspólny wywiad. Siedzieli naprzeciwko siebie, a ja z Moniką Olejnik przepytывaliśmy ich ze wszystkiego. Wywiad ukazał się pod proroczym tytułem „Wojna dwóch światów”.

To była naprawdę fascynująca debata ludzi, którzy się różnią, czasami diametralnie, ale mimo wszystko starają się „nie znieubić się do końca”.

I nie znieubili. Przynamniej Lech Tuska, a Tusk Lecha. Z Jarosławem to zupełnie inna, tragiczna historia.

W 2006 r., pięć miesięcy przed tym, jak Jarosław został premierem, gdy spotkaliśmy się przy okazji kolejnego wywiadu z cyklu „Dwie na jednego”, wypytywał mnie – nie pół żarem, pół serio, ale całkiem poważnie – jak ja, żoliborzanka, z Lelewela, wychowanka Anny Radziwiłł, mogłam tak fatalnie trafić do Michnika i jego „Wyborczej”? Dla niego to było jak zdrada.

To wtedy Jarosław chwalił Andrzeja Leppera, wówczas wicemarszałka Sejmu, a po chwili już wicepremiera IV RP, że „to jest taki człowiek, w którym w tej chwili dobro zwycięża”.

Nie domyślałam się wtedy, że po latach Jarosław objawi się jako „człowiek, w którym zwyciężyło zło”. A naród będzie na niego głosował. ●



• Na terenie Stawów Milickich ornitolodzy zaobserwowali 276 gatunków ptaków, 166 ma tu tereny lęgowe.
FOT. SHUTTERSTOCK

Będzie o stawach z szuwarami i perkozach. Okazało się, że są jak powieść szkatułkowa, z hrabinami i książętami w roli bohaterów. Choć najcenniejszy okazał się karp.

W pobliżu stawów stał dom babci, w którym spędzałam wakacje, a stawy w głębokim PRL-u były dla dzieci równie atrakcyjne jak aquaparki. Trzcina, muł, pijawki nie przeszkadzały – ważne, że było mokro. Ale te stawy nie były zwykłe, o czym przekonałam się, grzebiąc w książkach zesłanych do piwnicy, bo w domowej bibliotece zrobiło się ciasno. Wygrzebałam skarb – książkę Włodzimierza Puchalskiego „W krainie łabędzia”, o jego wyprawie na Stawy Milickie bodajże w 1946 r. Na te babcine stawy, które nagle awansowały do roli bohatera literackiego. Skoro piszą o nich książki, muszą być wyjątkowe, uznałam.

Puchalski na długie lata zawładnął moją wyobraźnią, był jak David Attenborough i Adam Wajrak razem wzięci, czarno-białe zdjęcia Starego Stawu uznałam za szczyt romantyzmu, a nakręcony w 1947 r. nad stawem Grabownica film „Ptasia wyspa” stał się moim ulubionym filmem przyrodniczym.

Oglądanym także na żywo, bo nad Grabownicą zobaczyłam po raz pierwszy bieliki, perkozy, kaczki krakwy i gniazdo remiza. Ten ptasi raj wciąż istnieje, można go podziwiać bez wielogodzinnego siedzenia w szuwarach, bo przy brzegu akwenu wybudowano trzynastometrową wieżę obserwacyjną. W okresie migracji jesiennych nocuje tu nawet tysiąc żurawi, miejsca postojowe mają tu także gęgawy i gęsi zbożowe.

Ale opowieści Puchalskiego i urok Stawów Milickich zrobiły ze mnie nie przyrodniczkę, tylko historyczkę. Może dlatego, że ten cudny świat jest efektem współpracy człowieka i natury. Najstarsze stawy powstały jeszcze w średniowieczu. Dookoła jest płasko, szeroko i mokro. Barycz i jej dopływy płyną w dolinie wolno (spadek rzeki należy do najniższych w Polsce) – wystarczyło przegrodzić rzekę groblą i już staw był gotowy. Albo zarybić wyrobiska po rudzie darniowej, a potem odławiać i zarabiać.

W XVIII w. łączna powierzchnia zbiorników hodowlanych liczyła ponad 13 tys. ha – niemal dwukrotnie więcej niż dziś, choć wciąż jest to największy w Europie kompleks stawów rybnych. Od 1996 r. znajduje się w gronie takich cudów świata jak Bajkał, Morze Martwe, Jezioro Wiktorii i Titicaca, w prestiżowej sieci Living Lakes (Żyjące Jeziora). Stary Staw, który Puchalski tak pięknie sfotografował o zachodzie słońca, znalazłam po latach na mapie z 1676 r. – miał wówczas ponad 700 ha, dziś jest o połowę mniejszy, ale za to ma

CO MNIE URZEKŁO?

O CZYM SZUMIĄ SZUWARY

Włodzimierz Puchalski był dla mnie jak David Attenborough i Adam Wajrak razem wzięci. Na lata zawładnął moją wyobraźnią.

Beata Maciejewska

status rezerwatu przyrody, więc objęta ścisłą ochroną wąsatka, o głosie przypominającym dzwoneczek, może tu spokojnie gniazdować.

Jednak w kolejnej szkatułce, którą dzięki Stawom otworzyłam, nie chowały się ptaki, ale ludzie i skomplikowana historia Dolnego Śląska.

To ja Hans, chłopcy w tartaku złapali gensia czarnego, to może was zaczekał? – Co takie złapali? – nie rozumiałem. – No gensia. Eine Gans. Tyle co czarnego” – przeczytałam u Puchalskiego.

„Eine Gans” z przetrąconymi nogami (bo z ledwością chodziła) okazała się nurem czarnoszyim, który sprytnie wydostał się z pułapki i wrócił na stawy. To była prosta historia.

Ale Hans, który miał takie atrakcyjne imię – akurat telewizja pokazywała „Stawkę większą niż życie” – i śmieszne nazwisko Golonka, mówił dziwnym językiem. To było już trudniejsze do zrozumienia.

Trzeba było otworzyć wiele szkatulek, żeby historia Stawów Milickich stała

się zrozumiała. Dolny Śląsk został przecięt po II wojnie światowej włączony do Polski, a śląskie rody, które gospodarowały na stawach i bogaciły się na rybach – Hatzfeldtowie ze Żmigrodu i Maltzano wie z Milicza – znikły.

Ale nie bezpowrotnie – ślady ich wielkich fortun wciąż były widoczne, piękny pałac Maltzanów przetrwał, dawni właściciele stawów zaczęli w latach 90. przyjeżdżać do Polski, a polscy mieszkańcy szukali tropów wiódących do przeszłości. Żyli jeszcze ks. Edmund von Hatzfeldt, syn ostatniego właściciela Żmigrodu, i hrabina Maria von Maltzan – czarna owca rodu, w czasie II wojny światowej w opozycji do Hitlera, ukrywała Żydów – która od dziecka uczestniczyła w połowach karpia, co jej się po latach przydało, bo studiowała m.in. ichtologię na uniwersytecie w Breslau.

„Pamiętam rybaków brodzących w wodzie od wczesnego ranka, w wielkich, sięgających pasa, specjalnych butach gumowych i takich fartuchach”. I oczywiście sortowanie przy specjalnych

stołach. „Ojciec przez całe lata był dumny z tego, że jego najmłodsze dziecko zawsze ważyło mniej niż najcięższa ryba” – wspominała Maria von Maltzan.

Mnie historie o karpach nie zachwycały, bo lubię je tylko w wodzie, a nie na stole, ale urzekła mnie przygoda hrabiny z królem Saksonii Fryderykiem Augustem III i rokitniczką w 1919 r. na Grabownicy.

Król był właściwie byłym królem, bo rok wcześniej jego koronę zdmuchnęła rewolucja listopadowa, więc osiadł w swojej posiadłości Szczodre, niedaleko Milicza, i zajął się ornitologią. Przyjechał do Maltzanów na bezkrwawe łowy, do roli przewodniczki została wyznaczona dziesięcioletnia Maria, która obiecała pokazać rokitniczki, ptaszki mniejsze od wróbla, które w kwietniu lub maju przylatują do Europy z Afryki.

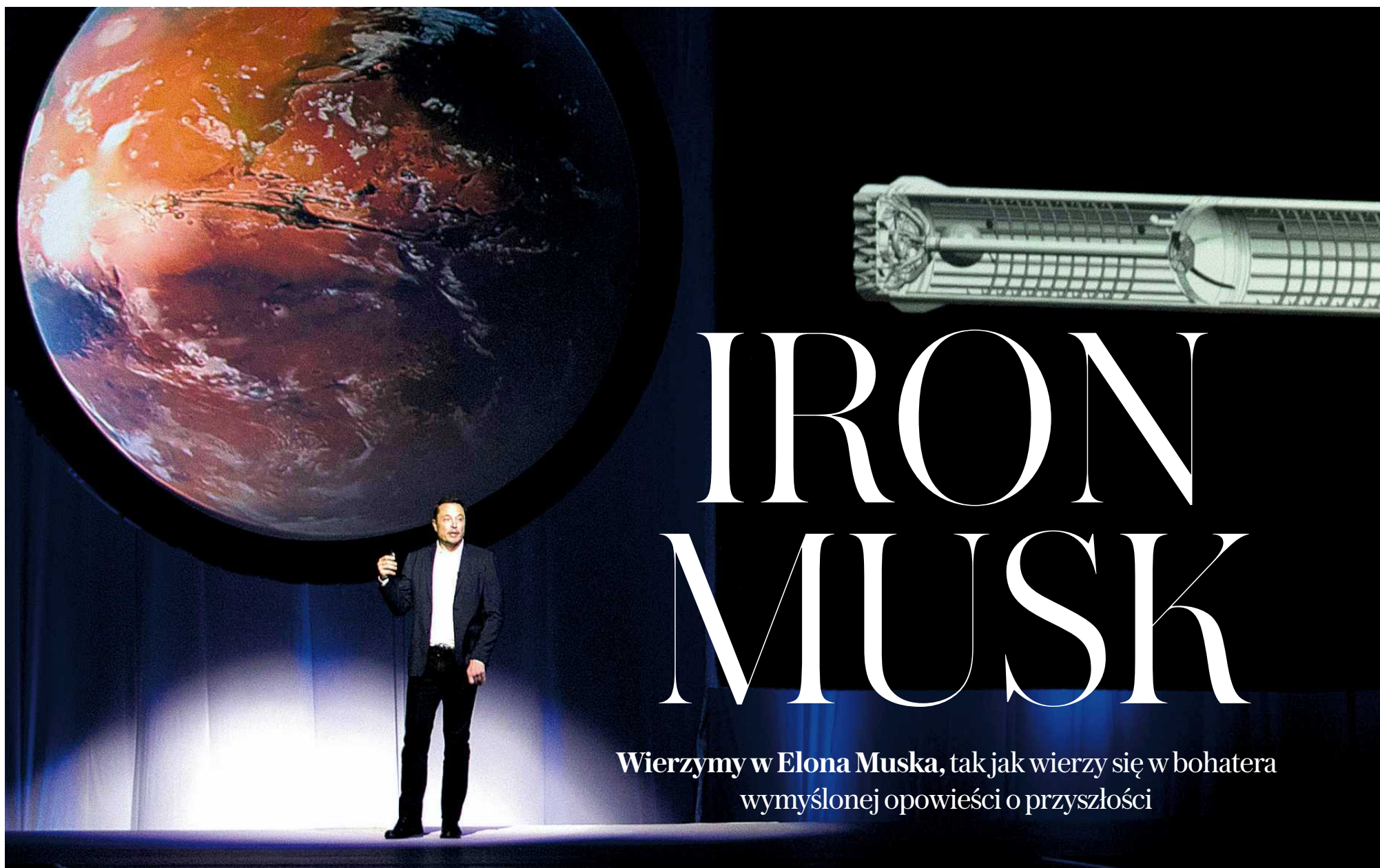
„Łodzią popychaną żerdziami cicho sunęliśmy po stawie Grabownica, pokazałam Jego Wysokości gniazdo, w którym czuwała samiczka, gdy tymczasem samca dostrzegliśmy z tyłu w trzcinach” – wspominała hrabina. Król był zachwycony, chciał zaobrączkować rokitniczki, ale dziewczynka się stanowczo sprzeciwiła, tłumacząc, że są płochliwe i na zawsze stąd odlecają.

„– A jeśli mimo wszystko to zrobię? – zapytał król. – Wtedy będę musiała nieestety utopić Waszą Wysokość”.

Nie żartowała, już raz wybrała taki sposób rozwiązania problemu. Wrzuciła brata Carlosa do pałacowej fosy, bo z powodu jego hysterii ogrodnik pozabijał w parku zaskrońce. Przynosiła im codziennie mleko i całymi godzinami obserwowała. Postanowiła dać tchórzowi nauczkę i w trakcie przejażdżki łódką wrzuciła Carlosa do wody. Trzymała za nogi, nie pozwalała się wynurzyć, a na krzyki ojca, żeby nie dręczyła brata, odkrzyknęła: „A kto zadrzęczył węże?”. Gdyby nie interwencja lokaja, nie wiadomo, czy Carlos by przetrwał tę lekcję.

Po latach Carlos został gorącym wyznawcą Hitlera, a Maria z narażeniem życia ratowała Żydów. Jej poczucie sprawiedliwości i odwagę przypomina mi zawsze śpiew malutkiej rokitniczki na Stawach Milickich. ●

W cyklu „Co mnie urzekło?” opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnie lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.



Maciej Jarkowiec

Ody miał lat sześć, poczuł, że traci rozum. „Pomysły eksplodowały w mojej głowie jak bomby. Zrozumiałem, że inne dzieci takie nie są”. Bał się, że rodzice – ojciec był wojskowym, później inżynierem; matka modelką – odesłał go do przytułku dla obłąkanych. W wieku lat dziewięciu przeczytał całą encyklopedię. „Z nudów. Wszystkie inne książki w domu miałem już przeczytane”. Gdy skończył dziesięć lat, dostał komputer Commodore VIC-20. Rok później ojciec wykorzystał koneksje i załatwił Elonowi udział w wykładach z informatyki na uniwersytecie. Kilka miesięcy później Elon sprzedał swoją pierwszą grę wideo. Na studia wyjechał do Stanów Zjednoczonych: „kraju marzycieli i pionierów”.

Dyplomu magistra nie zdobył. Zamiast tego z kumplem stworzył rewolucyjny wówczas bank internetowy, nazywany początkowo X.com, później przemianowany na PayPal. Sprzedał go za kilkaset milionów dolarów. Kupił sobie srebrnego McLarena. Skasował go na przecinającej Dolinę Krzemową Sand Hill Road. Ożenił się. Został ojcem. Założył firmę SpaceX, później Teslę. Wysłał raketę w kosmos. Kupił Twittera.

A jednak – chociaż wiadomo na pewno, że urodził się w 1971 r. w RPA – pojawiają się wątpliwości co do jego istnienia. Wyraża je sam Musk.

Goszcząc w podcaście Joego Rogana, mówi z poważną miną: „Być może nasza rozmowa to tylko komputerowa symulacja”. „Jak to możliwe, że jeden skurczybyk dokonuje tych wszystkich rzeczy naraz?” – pyta dziennikarz. „Jestem Obcym” – odpowiada Musk.

Publicysta „Bloomberg’a” Matt Levine, który przez kilka tygodni detalicznie relacjonował sagę przejmowania Twittera przez Muska, nazywa miliardera „postacią z science fiction”.

Wierzymy w Muska, tak jak wierzy się w bohatera wymyślonej opowieści o przyszłości.

COŚ Z NICZEGO

Już w dzieciństwie Musk przeszedł egzystencjalny kryzys. „Zastanawiałem się: jaki jest sens życia, po co tu jesteśmy, o co w tym wszystkim chodzi. Doszedłem do wniosku, że najważniejsze jest właściwe sformułowanie pytań, które powinniśmy stawiać. Im bardziej poszerzymy skalę ludzkiej świadomości, tym sensowniejsze będą nasze pytania”.

Definiuje swoje życie jako nieprzerwane poszukiwanie właściwych pytań, a później dochodzenie do odpowiedzi. Przyszłość według Muska powinna rozbudzać entuzjazm. Nowy wspaniały świat powstaje z wykorzystaniem technologii. Wymyślimy nowe sposoby wytwarzania energii. Zasiedlimy Marsa, a później inne planety.

To, że nazywają go „najbogatszym człowiekiem w dziejach”, jest dla niego abstrakcyjne. Gdy był jeszcze małym chłopcem i zarobił pierwsze miliony, mclarena kupił dla zgrzyw. Gdy przyjechała do niego telewizja CNN zrobić odcinek serialu o młodych multimilionerach, owszem, usiadł w aucie i dał się w nim sfilmować, ale powtarzał, że cieszy go coś innego: zbudował coś, czego nikt przed nim nie wymyślił. Stworzył coś z niczego. Ulepszył – w swoim mniemaniu – świat.

Wiele lat później podobnie opowiadał o powstaniu Tesli. Gdy zakładał firmę, nie liczył na sukces finansowy, spodziewał się, że będzie ona przynosić straty. Jego celem było udowodnienie, że elektryki mogą być atrakcyjnymi i niezawodnymi wozami. Tesla nigdy nie miała i nadal nie ma żadnej strategii marketingowej – pieniądze, jakie inne korporacje wydają na reklamę, firma Muska inwestuje w badania. Nieprzerwane ulepszanie auta jest jedynym sensownym pomysłem na zwiększanie jego popularności – twierdzi Musk.

Dziś jest w trakcie wyprzedawania swoich nieruchomości. Opowiada w wywiadach, że dąży do stanu, kiedy nie będzie miał niczego. Dobra doczesne go nie interesują, pochłania go tylko misja. Jej najważniejszym elementem jest uczynienie z *Homo sapiens* gatunku multiplanetarnego.

LEGENDA O PODRÓŻY DO MOSKWY

Na początku nowego tysiąclecia Musk poleciał do Rosji kupować rakiety. Chciał wysłać coś na Marsa, choćby mysz, żeby przyciągnąć uwagę świata, zrobić kosmiczną awanturę i zainspirować NASA do wznowienia ambitnych programów eksploracji.

Legenda głosi, że przekupił kogo trzeba w Moskwie, żeby zaaranżować spotkanie na najwyższym szczeblu. Ludzie, z którymi zasiadł za stołem, dysponowali możliwością sprzedaży międzykontynentalnych pocisków balistycznych z demobilu. Ponoć chcieli 21 milionów dolarów za sztukę. W czasie rozmów lała się wódka, wznoszono toasty za Amerykę, za Rosję i podbój kosmosu. Musk i jego niezaprawieni w bojach kompanii zasnęli z głowami na blacie.

Do dealu nie doszło. Legenda głosi, że w drodze powrotnej Musk powiedział do kolegi: „Sami zbudujemy raketę”.

Gdy wylądował, założył SpaceX. Wszyscy pukali się w czoła. Neil Armstrong, pierwszy człowiek na Księżycu, zaklinał przed senacką komisją, że produkcja statków kosmicznych przez prywatne firmy nie ma szans powodzenia. Najlepsi astrofizycy nie chcieli pracować z Muskiem. Sam został więc głównym inżynierem programu, choć jego formalne wykształcenie ogranicza się do licencjatu z fizyki.

„Skąd pan wiedział, co robić, przecież w zasadzie jest pan samoukiem?” – zapytał dziennikarz po latach, gdy SpaceX wysłała już załogowy statek do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. „Czytając książki i rozmawiając z ludźmi, można się wszystkiego nauczyć” – odparł.

Teraz będzie się uczył Twittera.

JEDEN PROBLEM MNIEJ TO TRZY NASTĘPNE

Po co Elon Musk za 44 miliardy dolarów kupił jeden z najważniejszych serwisów społecznościowych świata? Według prawicy: żeby nas uratować. Tucker Carlson, gwiazdor „Fox News”, w dniu ogłoszenia transakcji promieniował przed kamerą: „Z punktu widzenia zwolenników wolności słowa to najważniejsze wydarzenie w najnowszej historii”.

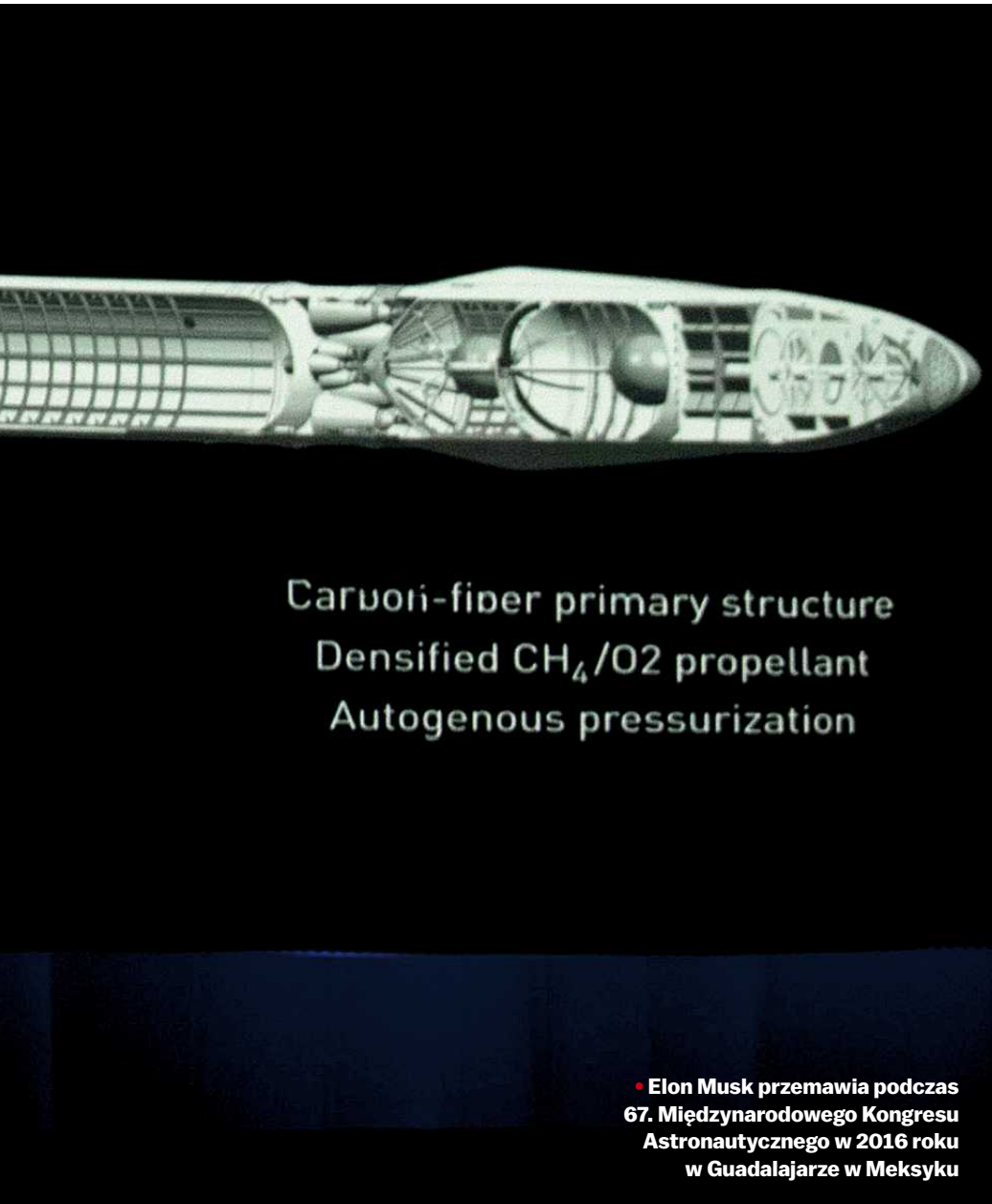
Według lewicy: Musk wziął Twittera, żeby nas pogrążyć. „To przejęcie jest nowym zagrożeniem dla demokracji” – stwierdziła senatorka Elizabeth Warren.

Yishan Wong, były szef Reddita, człowiek, który co nieco wie o publikacji treści w sieci i związanych z tym konfliktach, stwierdził: „Elon będzie się dwoił i troił, żeby »naprawiać« problemy, jakie napotka. Każda taka »naprawa« stworzy trzy nowe problemy. Nie tylko pochłonie to jego czas i uwagę. Wykorzysta też jego psychikę”.

Zanim spróbujemy zrozumieć, po co to wszystko Muskowi, postawmy pytanie: Czy Twitter – tak jak rozumie go Musk, czyli największa agora współczesnego świata – w ogóle istnieje? Teoretycznie tak. Wiadomo, że platforma ułatwiła organizowanie się demonstrantom w czasie arabskiej wiosny, przyczyniając się do historycznych zmian na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Między innymi dzięki Twitterowi globalny zasięg osiągnęły ruchy MeToo i Black Lives Matter.

A jednak są wątpliwości co do roli Twittera w demokratycznym świecie. Wyrzcił je choćby psycholog społeczny Jonathan Haidt w „The Atlantic”. Według niego najważniejszym momentem w historii serwisu był rok 2009, kiedy uruchomiono funkcję „retweet”, czyli – wbrew nazwie – nie tyle odpowiedzi, ile szerowania wpisów. Jednocześnie wypowiedzi zaczęto hierarchizować nie chronologicznie, lecz wedle ich popularności. To doprowadziło do zjawiska błyskawicznego

FOT. REFUGIO RUIZ/AP



rozprzestrzeniania się najpopularniejszych tweetów. Haidt przekonuje, że forum komunikacyjne skonstruowane na takich zasadach wbrew pozorom ma niewiele wspólnego z demokracją. Cytuje badania pokazujące, że to ludzie o skrajnych poglądach – z lewa i z prawa – są najbardziej aktywni na portalach społecznościowych.

Twitter, który początkowo był forum wymiany refleksji i wiedzy, stał się szybko polem bitwy. Dziennikarze i politycy traktują platformę jako źródło newsów i pulsometr nastrojów społecznych, gdy w istocie – poza tym, że jest tubą dla milionów narcyzów – Twitter nieproporcjonalnie nadreprezentuje radykalne sposoby postrzegania i interpretowania rzeczywistości. Nawet jeśli ktoś ma umiarkowane usposobienie, twitterowy model komunikacji oparty na krótkich wpisach siłą rzeczy zamienia klawiaturę pod jego palcami w karabin. Jeśli wpis ma się przebić, musi być cięty, zaczepny, agresywny, bulwersujący, szokujący albo przynajmniej śmieszny.

Sam Musk jest tego najlepszym przykładem. W długich wypowiedziach pokazuje charakterystyczne dla siebie namysł i powolność, chwilami mądrość. Na Twitterze jest zwykłym trollem: obrażał nurków, którzy ratowali dzieci uwięzione w tajlandzkiej jaskini, życzył śmierci Berniemu Sandersowi, kwestionował pandemię, kpil z osób trans.

Sygnały, jakie wysyła, każą sądzić, że ma zamiar ograniczyć cenzurę na Twitterze. Za to właśnie wychwała go pod niebiosa prawica (również w Polsce). Co poniektórzy jej przedstawiciele padali do tej pory ofiarami polityki moderowania treści prowadzonej przez platformę. Największym twitterowym banitą jest oczywiście Donald Trump. Przez kilka lat Twitter pomagał mu rozniecać wojny zastępcze w amerykańskich mediach i polityce oraz utrzymywać swoich zwolenników w stanie permanentnej mobilizacji. Dopiero po szturmie tysięcy wariatów na Kapitol szefostwo Twittera powiedziało „dość” – i Trump wyleciał z forum.

Musk ma go wedle prognoz prawicy zaprosić z powrotem, choć właściciel SpaceX

nic takiego nie powiedział, a sam Trump twierdzi, że powrót na Twittera go nie interesuje. Wiadomo jedynie, że ostatnio Musk coraz ostrzej krytykował moderatorów platformy i sugerował jej lewicowe skrzywienie. Po jej przejściu napisał: „Mam nadzieję, że nawet moi najostrzejsi krytycy pozostaną na Twitterze, bo na tym polega wolność słowa”.

„Malo kompletna definicja, nawet jak na standardy popkulturowej pogadanki, a co dopiero jako argument za transakcją wartą tyle, ile PKB Turkmenistanu” – zadrwił w „New Yorkerze” Andrew Marantz, autor książki „Antisocial” o ekstremizmie w sieci.

I podpowiedział, żeby naczelny prorok technozabawienia zapoznał się na początek z artykułem o wolności słowa w Wikipedii.

A TERAZ MUSK USTALI, CZYM JEST WOLNOŚĆ SŁOWA

Koncepcja powszechnej swobody wypowiedzi ma początek w demokracji ateńskiej. Angielska ustawa o prawach z 1689 r. sankcjonowała wolność słowa w parlamencie. W 1766 r. w Szwecji wprowadzono wolność prasy. Później podobne zapisy znalazły się w dekretach rewolucji francuskiej i konstytucji USA. Po drugiej wojnie światowej wolność słowa zapisano w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka.

W zależności od kraju wolność słowa podlega większym lub mniejszym ograniczeniom. Limitują ją religia, obyczajowość, prawa handlowe, prawo do prywatności, prawa autorskie, prawa o ochronie dóbr osobistych, dobrego imienia, ustawy o mowie nienawiści i wiele innych.

Poza tym, że nie jest nieograniczona, wolność słowa w praktyce nie jest też powszechna. Zasada „no money, no voice” – bez pieniędzy (lub władzy) nie ma głosu – sprawdzała się w starożytnej Grecji i sprawdza się do dziś. W sytuacjach konfliktu o tym, kto może, a kto nie może się swobodnie wypowiedzieć, decydują sądy. Potężne organizacje medialne i korporacje z pomocą najlep-

szych prawników zyskują w takich warunkach oczywistą przewagę nad szarym obywatelem.

Doskonale widać to w USA, gdzie w ostatnich dekadach gwarantująca swobodę wypowiedzi pierwsza poprawka do konstytucji jest orężem wielkiego biznesu w walce o poszerzanie wpływów. Swoich interesów ze szkodą dla społeczeństwa strzegły z jej użyciem branże tytoniowa, farmaceutyczna, spożywcza czy pornograficzna. Lobby tej ostatniej zrzesza się w organizacji o nazwie Koalicja Wolności Słowa. W jednej ze spraw Sąd Najwyższy orzekł, że legalne jest stylizowanie pełnoletnich dziewcząt na małe dziewczynki i produkowanie z ich udziałem pornografii, która ma udawać dziecięcą.

Nieograniczone finansowanie polityki przez biznes – co ma destrukcyjny wpływ na amerykańską demokrację – również usankcjonowane zostało w oparciu o pierwszą poprawkę.

W Stanach, w przeciwieństwie do wielu zachodnich demokracji, nie istnieje też ochrona przed mową nienawiści. Sąd Najwyższy swoimi wyrokami wielokrotnie nie dopuszczał do jej ustanowienia. Pozwalał m.in. na swobodną działalność osławionego Kościoła Baptistów Westboro. Członkowie tej radykalnej grupy organizują pikety, na których zachęcają do nienawiści wobec żydów, muzułmanów, ateistów, homoseksualistów i wielu innych środowisk. Pojawiają się na pogrzebach z transparentami głoszącymi: „Dzięki Ci, Panie, za martwych żołnierzy” czy „Dzięki Ci, Panie, za martwych górników”. Bo Amerykanie zgładzeni na wojnach lub w katastrofach górniczych są według nich karą od Boga za grzechy Ameryki. Rodziny ofiar – orzekł jednak sąd – nie mają prawa przeganiać Westboro z cmentarzy.

PIERWSZA POPRAWKA W XXI WIEKU

W Stanach można spalić amerykańską flagę. Można też ubrać się w mundur SS, stanąć na środku parku z ręką wystawioną do przodu i przez mikrofon nawoływać do spalenia wszystkich synagog w kraju. Sądy uznają, że taką swobodę gwarantuje konstytucja.

Pierwsza poprawka powstała 230 lat temu. W erze mediów społecznościowych jej interpretacja staje się coraz bardziej problematyczna. Dziesiątki badań pokazują, że nienawiść internetowa przekłada się na wzrost przemocy w realnym świecie.

■
20 lat temu Musk poleciał do Rosji kupować rakiety. Łała się wódka, ale do dealu nie doszło. Legenda głosi, że w drodze powrotnej Musk powiedział do kolegi: „Sami zbudujemy raketę”

Szturm na Kapitol był transmitowanym na żywo na cały świat obrazem tego zjawiska. W rzeczywistości, jaką wytwarza literalne interpretowanie pierwszej poprawki, z coraz większą swobodą i rozmachem działają farmy trolli, potężne ośrodki propagandowe, wywiady obcych państw, zasilane miliardami sieciowe megafony kłamstwa, dezinformacji czy teorii spiskowych. Amerykański system nie nadąza za tym postępem. Paradoks polega na tym, że najwyraźniej nie nadąza za nim również najbardziej postępowy ponoć Amerykanin.

W okresie od stycznia do lipca 2017 r. Twitter zamknął 7 tys. kont zidentyfikowanych jako operacje irańskiego wywiadu. W drugiej połowie 2018 r. namierzono i zlikwidowano 166 tys. 513 kont prowadzonych przez organizacje terrorystyczne. W grud-

niu 2019 r. Twitter usunął 5929 „użytkowników” prowadzących działalność propagandową i dezinformacyjną na rzecz Arabii Saudyjskiej. To dane powszechnie dostępne. Czy Elon Musk je zna?

Twitter jest gigantycznym polem bitwy, na którym setki moderatorów dzień w dzień likwidują tysiące zagrożeń. Polityka firmy co do dopuszczalnych treści kształtuje się w świecie pełnym przemocy, w którym przewagę nieuchronnie zyskują aktorzy mający większe pieniądze i większą władzę. Co jest lepsze dla wolności słowa i demokracji – żeby o tej polityce decydowała grupa ludzi zarządzających spółką giełdową, odpowiadających przed posiadaczami akcji i instytucjami pilnującymi przestrzegania prawa na giełdzie? Czy może jeden człowiek, największy bogacz w dziejach świata?

ELON MUSK NIE ISTNIEJE

Nie ma Muska, jakiego wyobraża sobie Tucker Carlson – człowieka, który „uratuje amerykańską wolność słowa”, jak ją sobie wyobraża prawicowy populistą. Nie ma Muska, jakiego wyobraża sobie Elizabeth Warren – człowieka, który zrujnuje demokrację.

Poglądy Muska na wolność słowa bywają bliższe Carlsonowi, ale w wielu kwestiach społecznych bliżej mu do Warren.

Nie wiadomo, co Musk robi z Twitterem. Być może znajdzie sposób, żeby uczynić firmę bardziej dochodową, a zysk wrzuci w SpaceX i szybciej doleci na Marsa.

Dziś Twitter zarabia najmniej spośród gigantów rynku mediów społecznościowych – 20 razy mniej niż należąca do Marka Zuckerberga Meta. Instagram czy Facebook są atrakcyjne dla reklamodawców, bo wiedzą, czego pragną użytkownicy. Twitter – kilkaset milionów gadających głów, o których niewiele wiadomo – ma problem ze sprzedażą reklam. Niektórzy twierdzą, że Musk wymyśli, jak wydoić tę krowę.

Elon Musk w pewnym sensie nie istnieje też jako największy bogacz w dziejach. Nie ma skarbcza pełnego złota. Niemal cały jego majątek to akcje Tesli. O ich wartości – jak wszystkich innych na giełdzie – decyduje zaufanie. A ludzie wierzą w Muska, w jego geniusz i wizję. Wierzą, że ta postać science fiction uratuje świat, a oni dzięki temu zarobią parę groszy.

Ale Musk jako zbawca też nie istnieje. W dzieciństwie ojciec go torturował. „Zrobił każdą najokrutniejszą rzecz, jaką można sobie wyobrazić”. Matka Muska powiedziała wiele lat po rozwodzie: „W RPA mamy takie powiedzenie: jak się rozwiedziesz, nie będziesz już upadać pod prysznicem. Bo wcześniej każdego siniaka tłumaczyłaś upadkiem pod prysznicem”.

Musk był też najmłodszy i najniższy w klasie – raz wyładował w szpitalu, gdy został zepchnięty ze schodów. Pisarka Justine Musk, jego była żona, pierwsza miłość, która żyła z nim przez dekadę w Dolinie Krzemowej, opowiadała o „plemiennej mentalności” wielu tamtejszych inżynierów: „W szkole rzucano w nich puszkami. Zamykali się w swoich pokojach i grali w gry. Poznawali kody. Zakładali firmy. Sprzedawali je za miliony. Już nikt nie rzuca w nich puszkami”.

Musk nie jest zbawcą, tylko najgenialniejszym ze wszystkich genialnych utopistów Doliny Krzemowej. Pytany o religię odpowiada, że wierzy tylko w rozwój technologii, który zapewni nam świetlaną przyszłość.

W przeciwieństwie do innych utopistów zdarzają mu się momenty refleksji, w których udowadnia, że jednak nie jest Obcym. „Wolę być optymistą, który się myli, niż pesymistą, który ma rację” – mówi.

W innej rozmowie zapytany o najtrudniejsze momenty w historii Tesli i SpaceX, dla których poświęcał majątek i życie prywatne, pracując po 100 godz. w tygodniu, prosi o chwilę przerwy. Kamera pozostaje włączona, widać, jak Musk odwraca głowę. Po chwili milczenia szepcze bardziej do siebie niż do dziennikarza: „Mam nadzieję, że to wszystko jest tego warte. Naprawdę”. ●

NASZA EUROPA

Carlos Torralba

EL PAÍS

W norweskiej osadzie Barentsburg od dawna nie mieszkał żaden obywatel Norwegii. Prawie wszyscy jej mieszkańcy to ukraińscy lub rosyjscy górnicy, a mało kto zostaje tam dłużej niż dwa lata. Osada, jedna z najzimniejszych i najbardziej odizolowanych w Europie, jest dziś w najgorszym stanie od czasu jej założenia w 1920 r. przez grupę Holendrów. Ubywa chętnych na tutejszy węgiel, a sektor turystyczny jest zrujnowany: najpierw pandemia, a teraz bojkot z powodu wojny w Ukrainie. „To nie są łatwe czasy – przyznaje Sergiej Guszyn, rosyjski konsul w Barentsburgu. – Ale trwamy”.

Barentsburg jest zarządzany przez założoną jeszcze w ZSRR firmę, która kupiła te tereny na początku lat 30. i działa wyłącznie na norweskim archipelagu Svalbard, jednym z najodludniejszych obszarów na naszej planecie, ok. 1000 kilometrów na południe od bieguna północnego. Traktat z 1920 r. uznaje zwierzchność nad nim Norwegii, ale państwa sygnatariusze, w tym Rosja, mają prawo do eksploatacji zasobów mineralnych wysp, połowu dorszy na tutejszych łowiskach oraz prowadzenia działalności naukowej.

W Barentsburgu mówi się tylko po rosyjsku. Wszystko, z wyjątkiem budynku konsulatu, należy do firmy Arktikugol: hotel, przedszkole, szkoła, zaniedbane drewniane budynki z drzwiami zablokowanymi przez zaspę zlodowaciałego śniegu, kryty basen, który od lat jest w budowie, bloki w stylu radzieckim, sklep spożywczy czy popiersie Lenina ustawione na skwerze. I oczywiście kopalnia węgla.

„To dyrektor generalny Arktikugol decyduje o wszystkim, co się tutaj dzieje. Mieszka w Moskwie, ale przylatuje tu co miesiąc – wyjaśnia Guszyn w najbardziej wysuniętej na północ stałej placówce cywilizacji, liczącej w sumie niespełna 500 mieszkańców. Nie ma policji, funkcje porządkowe pełni jednostka ratownictwa górniczego. – Jeśli ktoś popije i jest agresywny, zabiera się go, aby odpoczął” – uściśla konsul.

50-letni Guszyn, z długimi włosami związanymi w kucyk, podkreśla, że większość mieszkańców to Ukraińcy, „głównie z [samozwańczych i nieuznawanych przez społeczność międzynarodową] republik Donieckiej i Ługańskiej” w regionie Donbasu, gdzie prorosyjskie bojówki kontrolują część terytorium od 2014 roku. Ale zapewnia, że jest tam też sporo rodzin z Kijowa, Charkowa i innych rejonów Ukrainy, i podkreśla, że od początku „konfliktu” – nie używa wobec niego słowa „wojna” – żaden Ukraińiec nie chciał zrezygnować z pracy w rosyjskiej kopalni.

Konsul, który jest również subdiakonem Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, pozostaje wierny dyskursowi Kremla: uważa, że Rosja walczy, „aby położyć kres ideologii nazistowskiej, która jest głęboko zakorzeniona w społeczeństwie ukraińskim i jego armii”. Guszyn przyznaje, że inwazja na Ukrainę sprowokowała „pewne dyskusje w sieciach społecznościowych”, ale nie wpłynęła w żaden sposób na współistnienie w Barentsburgu.

24-letni attaché konsularny Muradbek Abakarow dodaje, że w ostatnich tygodniach pomógł ukraińskim rodzicom „przynieść dzieci z regionów, w których toczą się działania bojowe”, dostarczając im dokumenty niezbędne do przekroczenia granicy Polski i przelotu na Svalbard.

TYLKO ROSJA NADAL WYDOBYWA TU WĘGIEL

Arktikugol jest firmą przynoszącą duże straty. Ze 120 tys. ton węgla wydobywanego rocznie ponad 25 proc. jest spalane na miejscu, do produkcji energii elektrycznej i ogrzewania domów. W sierpniu wejdzie w życie unijne embargo na rosyjski węgiel. „Naszym celem jest teraz sprzedanie jak największej ilości surowca w jak najkrótszym czasie” – przyznaje Guszyn.

Przychody są ograniczone, a koszty ogromne jak na kopalnię o tak niskiej produkcji. Pracownicy rekrutowani z Donbasu lub Rosji są przewożeni do Longyearbyen, głównego miasta na Svalbardzie, a stamtąd helikopterem do Barentsburga. Sprawę komplikują restrykcje związane z pandemią i wynikający z nich zakaz dla rosyjskich linii lotniczych. „Ludzie przyjeżdża-

śmiertelnymi. Rozbiły się co najmniej cztery helikoptery firmy Arktikugol, a w 1996 r. samolot lecący z Moskwy do Longyearbyen rozbił się o górę na norweskim archipelagu, co było najgorszym wypadkiem lotniczym w historii tego kraju. Zginęło 141 pasażerów, w większości Ukraińców, którzy byli w drodze do Pyramiden, innej rosyjskiej osady górniczej, która została nagle opuszczona w 1998 r.

SZLABAN NA TURYSTÓW

Lata przed pandemią były dla Barentsburga pomyślne. W 2014 roku Arktikugol zatrudnił nowego kierownika działu turystyki. Wraz z przyjazdem Timofieja Rogożyna miejsce to przeszło transformację: wyremontowano hotel, otwarto schronisko i przyjechało więcej rosyjskich turystów niż kiedykol-

go miasta Rosji, gdy spotykamy się w barze w Longyearbyen. – Mój kraj stał się państwem faszystowskim” – dodaje. Z języka rosyjskiego na angielski tłumaczy go dla mnie Daria Belozerowa, 25-latką, która kilka godzin po rozpoczęciu inwazji opuściła Charków, od początku wojny nieustannie ostrzegany przez wojska rosyjskie. Belozerowa postanowiła wrócić na Svalbard, tym razem do Longyearbyen, a nie do Barentsburga, gdzie pracowała kiedyś dwa sezony jako recepcjonistka.

Rogożyn twierdzi, że prawie wszyscy Ukraińcy przebywający dziś w Barentsburgu pochodzą z Donbasu. I że wiele rodzin „z Kijowa, z Charkowa, z Zaporozża” wyjechało na początku wojny, głównie do krajów UE.

„Barentsburg stał się miastem totalitarnym – kontynuuje Rogożyn. – Tam już nie można myśleć inaczej. Jeśli nie jesteś zwolennikiem rządu rosyjskiego, nie możesz



Archipelag Svalbard to miejsce, które w paradoksalny sposób odczuwa skutki agresji Rosji na Ukrainę

ją tu wyłącznie dla pieniędzy” – przyznaje Guszyn. Arktikugol płaci za transport i zakwaterowanie, a także za opiekę zdrowotną w małym szpitalu lub szkołę dla dzieci górników. Przedsiębiorstwo publiczne oferuje również zajęcia z baletu, tańca klasycznego i jogi dla pracowników i ich rodzin. I sporo klas sportowych, które konsul chętnie wymienia: „piłka nożna, siatkówka, koszykówka, tenis stołowy, badminton, szachy”. „Jest tam też klub bokserki” – przerywa Abakarow, tonem, który daje do zrozumienia, że jest to miejsce, w którym często bywa.

„Ale warunki tutaj są trudne. Praca – bardzo ciężka” – podsumowuje Guszyn, który w czasie pracy w ambasadzie rosyjskiej w Reykjavíku doskonalił islandzki. Kopalnie na Svalbardzie nie cieszą się dobrą opinią w branży. W Barentsburgu, jedynej wciąż czynnej rosyjskiej kopalni w rejonie, w ostatnich 40 latach oficjalnie doszło do co najmniej pięciu katastrof z ofiarami

wiek wcześniej. Ale w Rogożynie było coś, co nie spodobało się konsulowi: szef turystyki w Barentsburgu krytycznie odnosił się do prezydenta Władimira Putina, rosyjskich oligarchów i tłumienia antyrządowych demonstracji. Guszyn poinformował o tym Moskwę, a dyrektor generalny Arktikugolu zadzwonił do Rogożyna, aby ostrzec go, że musi zmienić swoją postawę, jeśli chce nadal pracować w państwowej firmie. Jednak Rogożyn kontynuował swoją aktywność na Telegramie i Facebooku – aż w końcu nadszedł list z informacją o zwolnieniu.

46-letni Rogożyn mieszka obecnie w Longyearbyen, mieście, które w przeciwieństwie do Barentsburga tętni życiem, ma coraz więcej mieszkańców ponad 50 różnych narodowości i prężnie rozwijający się przemysł turystyczny. „Spędzam 16 godzin dziennie, próbując przekazać moim rodakom prawdę o wojnie – mówi mi Rogożyn, pochodzący z Murmańska, największego arktyczne-

tam być. Albo zostajesz, ale trzymasz głowę na kłódkę”.

Jednak nie wszyscy mieszkańcy Barentsburga są gotowi zrezygnować z prawa do wolności słowa. Natalia Maksimiszińska ma 32 lata i dyplom z historii, mówi, że cierpi, gdy widzi obrazy z Ukrainy; dotyczą ją również pewne uogólnienia, które czyta lub słyszy w zachodnich mediach na temat Rosjan. „Wielu z nas robiło wszystko, co w naszej mocy, by obalić Putina. Demonstrowaliśmy, czasem celowo wracaliśmy do Rosji, aby głosić przeciwko niemu. To nie pomogło. A on teraz oszalał z powodu swojej wojny”. Pracowała jako przewodniczka, ale od stycznia, z barku turystów, zarabia jako bibliotekarka.

Natalia, która przyjechała do Barentsburga, aby badać historię arktycznych wypraw Związku Radzieckiego, czuje się podwójnie zamknięta. Jej rosyjska karta kredytowa nie działa już w Norwegii. Gdyby nawet chcia-

NASZA EUROPA

ła, i tak nie mogłaby kupić bi-letów lotniczych. Nie może też bez opieki opuścić kilku ulic Barentsburga; nie ma karabinu ani pozwolenia na broń, które są tu prawnym warunkiem poruszania się po archipelagu – ze względu na ryzyko ataku niedźwiedzi polarnych. Nie-liczne rzeczy, które można kupić w Barentsburgu, są dostępne za pośrednictwem wew-nętrznego systemu płatno-ści prowadzonego przez Ark-tikugol.

Oprócz zablokowania kart kredytowych wojna miała również inne konsekwencje dla pracowników w mieście, wśród których są obywatele Białorusi, Mołdawii, Uzbekista-nu i Tadżykistanu.

Większość firm turystycz-nych w Longyearbyen, które wcześniej organizowały jedno-dniowe wycieczki, pokonując 110 km w obie strony łodzią lub skuterem śnieżnym, albo zmie-niły swoje trasy, albo zalecają, by nie wydawać pieniędzy pod-czas godzin spędzonych w „po-radzieckiej osadzie”. Mimo to stosunki między Longyearby-en i Barentsburgiem – jedynymi miastami na rozległym ar-chipelagu – nie popsuły się cał-kowicie: tradycyjny mecz pił-ki nożnej między miastami od-bywał się raz w roku w marcu, a nastolatki mieszkające w osa-dzie górniczej zostały zapros-zone na imprezy z okazji Dnia Konstytucji Norwegii.

Maksimiszina mówi gorz-ko o plusach życia w dzisiej-szym Barentsburgu: może kupić żywność z Estonii, która nie jest już dostępna dla osób mieszkających w Rosji. Lu-bi spędzać czas w bibliotece, w której znajdują się ponad 50 tys. tomów we wszystkich językach urzędowych byłych republik radzieckich. Ogólnie rzecz biorąc, jest zadowolona z pobytu w Barentsburgu. „Dla mnie to doświadczenie antro-pologiczne. Chociaż zarazem spore wyzwanie” – mówi mło-da kobieta, która wyjaśnia, że interakcje międzyludzkie w tak specyficznym miasteczku nie-wiele przypominają te w jej ro-dzinnym Petersburgu. Mak-simisizina, która ma nadzieję na zrobienie doktoratu na za-chodnim uniwersytecie, doce-nia poziom solidarności, jaki zaobserwowała wśród mieszk-kańców Barentsburga. Przy-znaje też, że „są nieliczni, któ-ry popierają brutalny atak na Ukrainę”.

Zarówno Maksimisizina, jak i Rogożyn całkowicie wyklu-czają możliwość powrotu do Rosji w najbliższym czasie. Nie wiedzą, kiedy i gdzie będą mo-gli znów spotkać się ze swo-imi krewnymi. Stojąc obok ma-łej cerkwi – którą w niektóre święta odwiedza prawosławny ksiądz przylatujący z Moskwy – Maksimisizina przyznaje, że trochę się martwi o przyszłość: „Może zostanie tu na zawsze” – mówi z wątlm uśmiechem, po czym ubolewa, że takim jak ona obywatelom Rosji trudno uzyskać pozwolenie na pobyt w krajach zachodnich. Na ra-zie jest przekonana, że wkrót-

ce znajdzie się na jednym z eu-ropejskich lub amerykańskich uniwersytetów, by pisać o lu-dziach, którzy ryzykowali ży-cie, by dotrzeć tam, gdzie nikt wcześniej nie dotarł.

CZYSTA GEOSTRATEGIA

Moskwa zawsze twierdziła, że należy jej się uprzywilejowa-na pozycja na arktycznych ar-chipelagach. Jako sygnatariusz traktatu svalbardzkiego uzna-je suwerenność Norwegii, ale Kreml uważa, że to, co dzieje się na wyspach, nie jest wyłącz-nie sprawą Oslo.

Racją bytu Barentsburga nie jest już wydobywanie węgla. Ma on zasadniczo interes geostra-tegiczny. Andreas Oshtagen, badacz z Instytutu Fridtjofa Nansensa, wyjaśnia, że „Sval-bard jest teraz jeszcze ważniej-szym obszarem niż 10 lat te-mu”. Coraz szybsze topnienie lodu stwarza możliwości: no-we szlaki żeglugowe, znacznie więcej ryb w łowiskach oraz możliwości dalszych poszuki-wań ropy naftowej i gazu ziem-nego.

W sprawie Svalbardu trwa-ją coraz to nowe tarcia między Oslo a Moskwą. Moskwa wie-lokrotnie skarżyła się, że Nor-wegowie poważnie ograniczy-li jej możliwości, uznając po-nad 70 proc. wysp za obszar chroniony. Arktykugol domaga się również, aby Oslo zezwoliło mu na używanie helikopterów do celów turystycznych. Za-kaz wstępu rosyjskich statków do norweskich portów, który wszedł w życie w ubiegłym ty-godniu, na razie nie obowiązu-je w Barentsburgu.

„Jeśli Rosja miałaby kiedy-kolwiek zaangażować się mi-litarnie w działania przeciwko NATO, pierwszą rzeczą, jaką chciałaby zrobić, byłoby usta-nowienie swego rodzaju obwo-du ochronnego dla atomowych okrętów podwodnych Floty Północnej – mówi Oshtagen. – Svalbard może być kluczo-wym elementem w osiągnięciu tego celu” – dodaje.

Rosja jest jedynym z 46 sygnatariuszy traktatu państwem, które wydobywa węgiel na Svalbardzie – Nor-wegia swoją ostatnią kopal-nię obecnie likwiduje – ale kil-ka krajów prowadzi tam dzia-łalność naukową. W tym Chi-ny, które mają bazę meteorolo-giczną w Ny-Ålesund, najbar-dziej na północ wysuniętej sta-łej osadzie na naszej planecie.

Umowa pozwala również obywatelom krajów sygnata-riuszy na osiedlanie się na ar-chipelagu bez konieczności spełniania wymogów dotyczą-cych pobytu, które obowiązują w pozostałej części Norwe-gii. Ostatnim państwem, któ-re przystąpiło do traktatu, by-ła Słowacja w 2017 r. ●

Czy dziecko dyktatora może dobrze rządzić?

Prezydentem Filipin ponownie zostaje Ferdinand Marcos – syn i imiennik dyktatora obalonego 36 lat temu. Junior doszedł do władzy w demokratycznych wyborach, co w skali świata stanowi przypadek unikatowy.

Robert Stefanicki

Nie jest lekko mieć oj-ca satrapę. „Przypomi-na to trochę bycie dziec-kiem bogatego pracocho-lika – nianie, szkoła z in-ternatem, ciągle podróże lub wy-gnanie” – pisał w książce „Monster’s Children” (Dzieci Potworów) Jay Nordlinger, który zbadał losy po-tomków 20 dyktatorów. Z tym jesz-cze da się żyć. Większym proble-mem może być nasiąkanie od małe-go klimatem przemocy, narcyzmu i kłamstwa. Choć, przynajmy, nie trzeba być dzieckiem dyktatora, by tego doświadczyć.

SZTAFETA POKOLEŃ

W Syrii Baszar al-Asad i jego brat Maher, dowódca Gwardii Republi-kańskiej, prześcignęli w brutalności swojego ojca Hafeza. Udaj i Kusaj, sy-nowie Saddama Husajna, byli legen-darnymi sadystami.

Dzieci tych samych rodziców czę-sto bywają różne – nie inaczej z lato-roślami dyktatorów. Ceausescu miał dwóch synów. Nieżyjący już Nicu był pijakiem, gwałcicielem i mordercą. Drugi, spokojny okularnik Valentin, został fizykiem.

Geniusz Karpat miał tylko dwój-kę. Jakąż różnorodność biografii i postaw musi mieć 60 dzieci grote-skowego potwora z Ugandy Idiogo Amina, który podczas swych rządów zabił 300 tys. ludzi! O Aminie mówi się, że był ciepłym i zabawnym tatu-siem. Tak, dyktatorzy kochają swo-je dzieci. Przynajmniej niektóre. Sta-lin uwielbiał swoją córkę Swietła-nę, kiedy była mała, za to syna Wasi-lija dał na wychowywanie ochronia-rzom. Nic dziwnego, że ten wyrósł na brutala. Kiedy naziści schwytali Ja-kowa, innego syna, ojciec się go wy-parł i aresztował synową jako żonę zdraycy. A Swietlana, już po śmierci ojca, uciekła do USA i potępiła go. To samo zrobiła Alina Fernández, jedna z nieślubnych córek Fidela Castro. Na dzieciństwo nie narzekala, przyzna-jąc, że cieszyła się przywilejami. Ale nie chciała, by jej córka żyła w ustro-ju stworzonym przez dziadka.

W Rosji stalinizm wraca, kult Jó-zefa Wissarionowicza powstaje z ko-lan, a mimo to żaden z jego potom-ków nie dopchał się blisko władzy. Spadkobiercy dyktatorów często od-najdują się w naturalnej roli straż-ników ich pamięci, usiłując odciąć choćby skromną dywidendę od po-chodzenia. Tak jak jeden z wnuków Stalina, nieżyjący już Jewgienij Dżu-gaszwili, który negował zbrodnie swojego dziadka, ale też krytykował Putina np. za aneksję Krymu.

W Chinach jest podobnie. Mao Zedong miał dziesięcioro znanych dzieci i pewnie więcej niezidentyfi-

kowanych. Dziś Xi Jinping jest pa-tronem maoistowskiego odrodze-nia, powstają nowe pomniki Wiel-kiego Sternika, a miliony wielbicieli odbywają pielgrzymkę do rodzinne-go miasta Mao. Mimo to żaden z je-go potomków (żyją wnuki, dzieci już nie) nie znalazł się w kręgu władzy. Najbliżej ma Mao Xinyu, w 2010 r. wypromowany na najmłodszego ge-nerała. Xinyu wszedł też do ceremo-nialnego ciała doradczego, ale tylko na jedną kadencję.

Nieistotność spadkobierców Mao uderza tym bardziej, że w Chi-nach istnieje wpływowa frakcja po-lityczna „książąt” – potomków za-łożycieli Partii Komunistycznej. Jednak, podobnie jak w Rosji, jest już nowe rozdanie polityczne i nie wszyscy się w nim mieszczą. W po-lityku mającym nazwisko budzą-ce w narodzie respekt ludzie aktu-alnie trzymający władzę mogą wi-dzieć zagrożenie.

Powab potomków legendarnych przywódców istnieje wszędzie, rów-nież w demokracjach dzieci polity-ków nierzadko zostają politykami – mają niższy próg wejścia, wycho-wywane w politycznym klimacie, do-brze wykształcone. Ale nie jest to żadną regułą.

W autokracjach sukcesja dyna-styczna jest częsta. Co jednak się dzieje z potomkami obalonych dyk-tatorów? Nierzadko podziałają los rodzica, jak kilku synów Muammara Kaddafiego zabitych w tej samej re-wolucji. Jeśli przeżyją, muszą uzbro-ić się w cierpliwość. To, czy dana im będzie szansa powrotu, zależy od za-kresu zmiany ustrojowej, jaka zaszła w kraju. Kiedy jest płytka, ograni-cza się do obcięcia korony, a korzenie pozostają na miejscu, to prędzej czy później w społeczeństwie pojawi się narastająca nostalgia za dawnym po-rządkiem.

Jak w Libii. Syn Kaddafiego Sa-if al-Islam trochę posiedział, ale już szykuje się do startu w wyborach prezydenckich. Libia od rewolucji jest w zespocie, a struktury Kadda-fich, oparte na lojalności plemiennej, przetrwały.

Kim byłby potomek Adolfa Hi-tlera, gdyby ten został ojcem? Dena-zyfikacja Niemiec – mimo że narzu-cona z zewnątrz, to udana zwłasz-cza w sferze mentalności – pozwa-la wierzyć, że nie byłby kanclerzem i może nawet nie ośmieliłby się zo-stać politykiem. Chociaż we Wło-szech wnuczka Mussoliniego Ales-sandra, nawiązująca do dziedzictwa rozstrzelanego dziadka, od lat uda-nie funkcjonuje w polityce, jakkol-wiek bez szans na władzę. Na margi-nesie: ostatni krewni Hitlera mieszk-ają w USA. Przywódca III Rzeszy był wujem ich ojca, który wyemigrował z Niemiec w 1930 r. Bracia rzekomo zawarli pakt, że nie będą mieć dzie-ci, aby krew potwora nie przetrwała – i słowa dotrzyмали.

Gdy satrapia upadnie i dokona się transformacja demokratyczna, po-tomkom obalonego władcy nie jest łatwo wrócić na piedestał. Nierzad-ko funkcjonują w polityce, startują w wyborach, starają się wybielić pa-mięć o ojcu – jak np. Keiko Fujimo-

ri w Peru – ale jakoś nie sięgają sku-tecznie po władzę.

TRIKI PAMIĘCI

Dlaczego na Filipinach stało się ina-czej? Przede wszystkim pamięć o rzą-dach Marcosa ojca zbladła – uliczna rewolucja dokonana z pomocą ofice-rów miała miejsce dwa pokolenia te-mu. Większość z 67 mln wyborców jest zbyt młoda, by pamiętać czasy Marcosa. Poza tym nie należał do naj-bardziej krwawych władców – ofiar je-go 20-letnich rządów było tyle co Pi-nocheta w Chile, a Filipiny są pięcio-krotnie ludniejszym krajem.

Nasza pamięć jest bowiem tak skonstruowana, że blakną w niej złe wspomnienia, a konserwują się te dobre.

– Ludzie z jego otoczenia po-pelniali zbrodnie, ale on o nich nie wiedział. Był dobrym prezyden-tem, zbudował wiele dróg – mówił mi w 1999 r. Rodolfo Cabusao, któ-ry wznosił kościół ku czci Marcosa i przekonywał, że był on mesjaszem. Było to na wyspie Luzon, w prowincji Ilocos Norte, która ani na chwilę nie przestała być bastionem Marcosów – jednej z bogatych famillii rządzą-cych krajem. Bo pomimo demokra-tyzacji zasady działania systemu nie uległy zmianie, a nawet się utrwaliły: wzrósł odsetek miejsc w parlamen-cie i stanowisk obsadzonych przez członków elitarnych rodzin, a także bogactwa w ich rękach.

Marcosowie odzyskali polityczne znaczenie w ciągu zaledwie kilku lat. Żona Ferdinanda Imelda była człon-kinią parlamentu w latach 1995-2019, z krótką przerwą. Ich syn Ferdinand Marcos Jr. (zwany „Bongbong”), któ-ry właśnie wygrał wybory, został gu-bernatorem w 1998 r. i senatorem w 2010 r. Stanowiska te piastowała też jego siostra Imee, którą niedaw-no zastąpił jej syn Matthew Manotoc. W sondażach przed wyborami Fer-dinand Jr. uzyskiwał wyższe niż inni kandydaci noty za cechy najbardziej pożądane przez wyborców: troszczy się o biednych, jest uczciwy i godny zaufania, nieskorumpowany – mimo że rodzina nigdy nie rozliczyła się ze skradzionego za rządów Marco-sa majątku. Filipińczykom nie prze-szkadzało to, że sztab „Bongbonga” z pomocą ustępującego prezydenta populisty Rodriga Duterte wybielał historię dyktatury i że będąc u wła-dzy, Ferdinand Jr. zapewne utraci wszelkie próby rozliczeń.

Ricardo Saludo z gazety „Mani-la Times” uważa, że trzeba dać mu szansę. Nie powinniśmy zakładać, że Marcos wejdzie w buty ojca. Fili-piny mają nową konstytucję i przy-jęły wiele innych ustaw, aby naduży-cia się nie powtórzyły. Zdaniem Sa-ludo bardziej prawdopodobne jest, że Marcos będzie starał się odku-pić dawne grzechy rodziny, rządząc uczciwie i kompetentnie. Z zasady dzieci nie odpowiadają za grzechy rodziców. A historia jest pełna przy-padków, kiedy wręcz pomagały skró-cić ich złe rządy. Szekspir w „Makbe-cie”: „Krwawa nauka, którą dajemy, spada na własną naszą głowę”. ●



Adam Michnik poleca

CHRZEŚCJAŃSTWO NA III WOJNIE ŚWIATOWEJ

Zsekularyzowane społeczeństwo nie doceniło siły religijnego języka, symboli i rytuałów

Tomáš Halík*

Spełniły się prorockie słowa papieża Franciszka: przeżywamy nie tylko epokę zmian, ale i zmianę epoki. Franciszek od dawna mówił o naszych czasach jako o „III wojnie światowej w kawałkach”. Teraz o tym, że rozpoczęła się III wojna światowa, mówi Moskwa. Możliwe, że to jedyne płynące z jej ust prawdziwe słowa.

Tworzy się nowa mapa świata, nowy klimat w międzynarodowych, politycznych, ekonomicznych i kulturowych relacjach, nowy światowy porządek. Stoimy przed koniecznością wyboru nowego, skromniejszego stylu życia.

Zachodni porządek od początku tego stulecia przechodzi przez coraz trudniejsze doświadczenia, sprawdzian własnej żywotności i wiarygodności. To terrorystyczny atak na WTC, kryzys finansowy, brexit, populistyczne rządy Trumpa, globalna pandemia, a teraz rosyjska agresja, cyniczne zniszczenie międzynarodowego systemu prawnego budowanego od końca II wojny.

Naiwność polityków europejskich, kierujących się jedynie interesami ekonomicznymi, pozwoliła Rosji na stworzenie terrorystycznego państwa, które wyłączyło się z cywilizowanego świata, szantażuje go i mu zagraża.

Jeszcze nie wiemy, jaki wpływ na rosyjskie społeczeństwo, wystawione na „brainwashing”, pranie mózgu, i karmione tęsknotą za imperium, będą mieć izolacja, bieda i poniżenie Rosjan. Nie wiemy, czy wpłynie to na słabą demokratyczną opozycję, albo odwrotnie, ożywi fanatyczne ruchy, tak jak w Niemczech po I wojnie. Oczywiście jest tylko to, że po zakończeniu okrutnej wojny w Ukrainie świat już nie wróci do czasów, w jakich żyliśmy jeszcze na początku roku.

Wydaje się, że decydującym frontem tej wojny jest opinia publiczna w Rosji, pozbawiona informacji i wydana na intensywną propagandę.

Wydaje się także, że głównym sprzymierzeńcem reżimu i jego imperialistycznej ideologii jest polityczny analfabetyzm większej części populacji, brak pozytywnego doświadczenia z demokracją i oczywisty brak społeczeństwa obywatelskiego.

Wśród wielu postkomunistycznych państw do windy globalizacji, która wiezie tam, gdzie nowa władza i pomyślny rozwój,

wsiedli najszybciej niektórzy członkowie elit obalonych komunistycznych reżimów, a konkretnie jej najzdolniejszej części – polityki politycznej. Oni byli praktycznie jedynymi, którzy zyskali na transformacji, gdyż byli do tego przygotowani poprzez kapitał, pieniądze, kontakty i informacje. Putin jest tego ikoną, przykładem tych staro-nowych elit.

Pierwszym sygnałem obudzenia się społeczeństwa obywatelskiego we wschodniej Europie były „kolorowe rewolucje”. Głównym powodem putinowskiej agresji był strach, aby iskra nie przeniosła się do Rosji. Tym, co zakończy erę Putina, nie będzie przewrót pałacowy oligarchów czy generałów, ale przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego – to, co teraz ma miejsce w Ukrainie.

Jeśli Zachód nie będzie miał ochoty albo zdolności, by przyjść z pomocą Ukrainie, aby mogła zatrzymać rosyjską agresję i obronić niezależność, jeśli Zachód złoży Ukrainę w ofierze na podstawie iluzji, że poprzez to uchroni światowy pokój – jak to się stało w przypadku Czechosłowacji na progu II wojny – będzie to oznaczało zachętę nie tylko do dalszej ekspansji Rosji, ale i dla wszystkich agresorów na całym świecie.

Putinowi na kapitulacji Ukrainy zależy tak bardzo dlatego, że dobrze wie, iż pokaza-

łoby to całemu światu słabość Zachodu i byłaby to kapitulacja całego systemu liberalnej demokracji. Ten system jest oparty na kapitale zaufania, ale też i upada wraz z upadkiem tego kapitału, który ludzie wkładają w efektywność demokratycznych instytucji. Dalsze zadawanie ran i tak już poddawane wstrząsom społecznemu zaufaniu mogłoby mieć fatalne skutki.

Putinowi udało się, wbrew własnej woli, stworzyć w Ukrainie zdecydowany na wszystko i zjednoczony politycznie naród, dla którego przynależność do Europy nie jest tanią frazą, ale wartością, za którą tysiące ludzi dosłownie oddają życie. Ukraina podpisuje akcesję do Unii własną krwią. Jest dzisiaj „bardziej europejska” niż wiele krajów, które znajdują się w „sercu Europy”.

Ukraina daje dziś całemu światu cenną lekcję. Nawet plany nuklearnego supermocarstwa mogą się zawalić, kiedy przeciwko niemu postawi się męstwo, odwagę i moralną siłę, mobilizowaną przez przywódcę z osobistą wiarygodnością i gotowością do najwyższego poświęcenia oraz umiejętnością komunikacji. Czy dziś na Zachodzie jest taki przywódca jak Zelenski?

Putinowi udało się, w pewnym stopniu, zjednoczyć przeciwko sobie Zachód. Przed

owym Zachodem stoi trudne zadanie: jak jedność wobec wspólnego nie-przyjaciela przemienić w głębszą jedność. Kontynuować w demokratycznym duchu proces integracji Europy, to znaczy wytwarzać europejski „demos”, społeczeństwo wartości, za które jesteśmy w stanie złożyć ofiarę – a to jest przede wszystkim kulturowe, moralne, duchowe zadanie.

Po ataku na WTC Madeleine Albright podkreślała, że „wojna przeciwko terroryzmowi” nie może być tylko walką zbrojną, ale również walką idei. Okazuje się, że gdy w przestrzeni życia publicznego występują silne emocje, a tak się dzieje zawsze w sytuacjach kryzysowych, język zsekularyzowany nie ma dostatecznej siły, aby je wyrazić. W języku polityków i tych, którzy od osobistej wiary i religijnej etyki są dosyć dalecy, spontanicznie pojawiają się religijne pojęcia, wywołujące ze „zbiorowej nieświadomości” sugestywne obrazy.

Zsekularyzowane społeczeństwo nie doceniło siły religijnego języka, symboli i rytuałów. Tej siły można używać w sposób zarówno konstruktywny, jak i destrukcyjny. Islamskim ekstremistom udaje się wykorzystywać potencjał religijnej energii. Jakim duchowym potencjałem dysponuje zsekularyzowane zachodnie społeczeństwo? Jaką rolę na Zachodzie odgrywa i może odgrywać chrześcijaństwo?

Kościół chrześcijański jeszcze w niedostateczny sposób rozliczyły się z odkrytej pandemii seksualnego wykorzystywania, tej ostatniej fali sekularyzacji (albo dokładniej: desakralizacji, występowania z Kościoła) zachodnich społeczeństw.

Z doświadczenia teologów, którzy byli na froncie I wojny – jak Teilhard de Chardin i Paul Tillich – powstała nowa teologia, nowe pojęcie Boga i relacja Boga do świata. Czy z tej wojny, która swoimi konsekwencjami dotyka cały nasz świat, powstanie nowa duchowa energia, nowa inspirująca wizja przyszłej postaci świata?

Musimy znowu postawić sobie pytanie o relacje między polityką i religią.

Niektórzy dyktatorzy i przedstawiciele reżimów świadomie instrumentalizują religię. Kiedy Stalin zrozumiał, że narody ZSRR (m.in. Ukraina) nie są chętne, by w związku z napaścią III Rzeszy walczyć za komunizm, zredefiniował konflikt jako „wielką wojnę ojczyźnianą”. W jej trakcie prawosławni księża z ikonami w rękach kroczyli na czele oddziałów Armii Czerwonej.

Także Putin, wielki miłośnik Stalina, uświadomił sobie, że planowana przez niego „Wielka Rosja”-imperium potrzebuje impulsu duchowego i stara się instrumentalizować rosyjską Cerkiew. Wiele z jej przywódców duchowych, religijnych to przecież jego byli koledzy z KGB.

Uprawiana na przemysłową skalę propaganda jest skierowana szczególnie w stronę konserwatywnych chrześcijan. Stara się pokazać Putina jako nowego cesarza Konstantyna, który uchroni chrześcijaństwo przed destrukcyjnym wpływem „protestantyzmu i zachodniego liberalizmu”.

Orbán i niektórzy z przedstawicieli władzy w Polsce również w krytyce Unii przedstawiają się jako „obroncy kultury chrześcijańskiej”. Premier Węgier głosi i urzeczywistnia model „nieliberalnej demokracji”, bliskiej putinowskiej „sterowanej demokracji”. W rzeczywistości chodzi o przykrywkę słowną dla autorytarnego państwa.

W Polsce symbioza populistyczno-nacjonalistycznych polityków z częścią biskupów, a także odkrycie szokującej skali seksualnych, psychologicz-



Właśnie ukazała się w Polsce nakładem wydawnictwa WAM książka Tomáša Halíka **„Popołudnie chrześcijaństwa. Odwaga do zmiany”** (przekład Tomasz Maćkowiaka).

nych i duchowych nadużyć kleru doprowadziły do dramatycznego obniżenia zaufania do Kościoła, zwłaszcza wśród młodej generacji. Ta symbioza konserwatywnego chrześcijaństwa i nacjonalizmu dyskredytuje chrześcijaństwo i szkodzi Kościołowi bardziej, niż to się udało reżimowi przez 50 lat komunistycznego prześladowania. W Polsce dzisiaj ma miejsce najszybszy proces sekularyzacji w Europie.

Czy istnieje jakaś wizja chrześcijaństwa, która by była źródłem moralnej inspiracji dla kultury wolności i demokracji? To pytanie stawiam sobie od lat. Trzeba szukać takiej wizji, która nie byłaby nostalgicznym przywoływaniem przeszłości, ale respektowała rzeczywistość: oto nasz świat nie jest i nie będzie religijnie i kulturowo jednorodny, ale raczej radykalnie pluralistyczny.

Pojęcie religii („religio”) wyprowadza się z łacińskiego słowa „religare” (znowu połączyć). Religia była rozumiana jako integrująca siła społeczeństwa. Tę rolę, w dużym stopniu, odgrywało przednowożytne chrześcijaństwo w ramach średniowiecznego pojęcia „christianitas”. Ale ten rozdział dziejów chrześcijaństwa już się zakończył.

Później nastąpiła epoka nowożytna, w której chrześcijaństwo stało się jednym tylko z istniejących „światopoglądów”. Było rozumiane jako jedna z religii, podzielona na różne konfesje reprezentowane przez różne Kościoły. Dzisiaj taka wizja jest w ciężkim kryzysie.

Relacja religii do polityki była do tej pory odbierana jako relacja Kościoła do państwa. Jednak w procesie globalizacji Kościoły straciły monopol na religię, a narodowe władze straciły monopol na politykę. Głównym konkurentem kościelnych religii jest dzisiaj nie ateizm czy zsekularyzowany humanizm, ale z jednej strony duchowości niekościelne, a z drugiej religia jako ideologia polityczna. W procesie sekularyzacji religia nie zanika, lecz przeszła głęboką transformację. Zmieniła się jej rola w społeczeństwie i w życiu ludzi.

Rolę „religio” (siły integrującej społeczeństwo) odgrywały w procesie globalizacji inne społeczne fenomeny, jak światowy rynek handlu i rynek informacji czy mass media. Dziś proces globalizacji oraz dotychczasowy polityczny i ekonomiczny porządek przechodzą głębokie wstrząsy. Nie ma tu żadnej siły jednoczącej. Jeśli obecna jedność Zachodu miała się opierać jedynie na obronie przed Rosją, nie utrzymała się długo.

Po upadku komunizmu i dwubiegunowego świata Francis Fukuyama wyraził nadzieję, że nastąpił „koniec historii” w postaci globalnego zwycięstwa demokracji i kapitalizmu zachodniego typu. Na tę wizję islamski radykalizm, a teraz putinowska Rosja odpowiedziały paniką, nienawiścią i przemocą.

Jeśli jednoczenie świata ma się nadal dokonywać, nie może on być budowany jedynie na ekonomicznych fundamentach. Uzdrawianie świata zakłada istnienie inspirującej siły duchowej.

Papież Franciszek pokazuje wizję Kościoła jako „szpitala polowego”. Kościół, który nie trwa na zasadzie „splendid isolation” od współczesnego świata ani też nie prowadzi dawno już przegranych „wojen kulturowych”. Miałby być Kościół właśnie owym „szpitalem”, jego terapeutyczna służba zakładałaby też umiejętność kompetentnej diagnostyki stanu naszego świata.

Domyślam się, że w przyszłości słowo „religio” będzie raczej bliższe znaczeniowo słowu „relegere”, znowu odczytywać. Chrześcijaństwo proponuje „relecture”, nową hermeneutykę, zdolność „duchowego odczytywania” i głębszej interpretacji zarówno swoich własnych źródeł (Biblii i tradycji), jak i „znaków czasu”, wydarzeń w społeczeństwie i kulturze. Spojrzenie mediów, polityków i ekonomistów trzeba dopełnić kontemplacyjnym, duchowym podejściem do świata, w którym żyjemy.

Cenną inspirację dla współczesności i przyszłości widzę w społecznym nauczaniu papieża Franciszka. Jestem przekonany, że jego encyklika „Fratelli tutti” może mieć dla XXI wieku podobne znaczenie, jak Powszechna Deklaracja Praw Człowieka dla wieku XX.

Czeski protestancki teolog Jan Amos Komeński w czasie wojen religijnych w XVII wieku, w oczekiwaniu na sobór ekumeniczny, napisał dzieło „Consultatio Catholica de Rerum Humanarum Emendatione” („Powszechna porada o naprawie spraw ludzkich”). Podobnie odczytuję wezwanie papieża Franciszka do przemiany Kościoła – ze sztywnej klerikalnej instytucji w dynamiczną społeczność drogi.

Tak jak demokratyzacja Kościoła w czasie reformacji przyczyniła się do demokratyzacji społeczeństwa, tak zasada synodalności („syn-hodos” to wspólna droga) może być inspiracją nie tylko dla Kościoła katolickiego i jego ekumenicznej, międzyreligijnej i międzykulturowej współpracy, ale i dla politycznej kultury współżycia w pluralistycznym świecie. Dzisiaj świat jest na wojnie, ale musimy już teraz przemysleć powojenną postać świata. Nie powinniśmy powtarzać starych błędów, nie doceniając duchowej energii światowych religii.

Europa była matką rewolucji i reformacji, centrum światowych wojen i procesu globalizacji, wysyłała na cały świat impulsy kulturowego, naukowego, ekonomicznego i technicznego rozwoju, pozostawiła w światowych dziejach wyraźne światło, ale i ciemne strony.

Sen o zjednoczonej Europie „oddychającej dwoma płucami” jest dziś zagrożony w obu płucach niebezpiecznym rakiem nacjonalizmu, populizmu i fundamentalizmu. Trzeba rozwijać terapeutyczny, a nie destrukcyjny potencjał religii. Czas kryzysu jest zawsze czasem nowych wyzwań i okazji. ●

przet. Tomasz Dostatni OP



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomáš Halík

• ur. w 1948 r., czeski filozof i teolog. Jeden z najwybitniejszych współczesnych myślicieli katolickich, laureat Nagrody Templetona. Wykład z konferencji „Nasz dom w Europie. Chrześcijański punkt widzenia” zorganizowanej w ostatnich dniach przez Fundację Konrada Adenauera. Tytuł: „Wyborcza”

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN

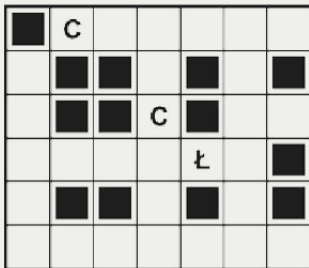
JUTRO JADĘ
NA FRONT.

Polak na wojnie
w Ukrainie

PRACUJEMY
W FARTUSZKACH.

Z Mistrzem
masońskim,
rozmawia Tomasz
Kwaśniewski

3 polka



Krzyżówka
co tydzień
w Dużym Formacie

UDAWAJ



FOT. GETTY IMAGES

AŻ STANIE SIĘ TO PRAWDA

Gdy w kolejce jedna osoba kupiła drugiej kawę, jej gest powtórzyło ponad dwustu innych ludzi.

Z **MARTĄ ZARASKĄ**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „TAJEMNICE DŁUGOWIECZNOŚCI. JAK PRZYJAŃ, OPTYZM I ŻYCZLIWOŚĆ POMAGAJĄ DOŻYĆ STU LAT”, ROZMAWIA **ŁUKASZ PILIP**

Na początek zagadka: co wydłuża życie, uspokaja, wzmacnia mięśnie, obniża ciśnienie, polepsza sen i słuch?

– Pomaganie. Chyba żadna tabletka nie daje nam tyle, co ono. Mało tego, w przeciwieństwie do jakiegokolwiek leku dobroczynność nie ma skutków ubocznych.

Ty też odczułaś jej korzyści.

– Zrobiłam doświadczenie, które polegało na wykonywaniu dobrych uczynków i mierzeniu sobie poziomu kortyzolu. Odbывало się pod okiem dwóch naukowców z Laboratorium Stresu, Psychiatrii i Immunologii w Kolegium

Królewskim w Londynie. Podpowiedzieli, żebym notowała swoje czynności. Dostałam takie specjalne waciki, które musiałam żuć trzy razy dziennie. Gdy po dwóch minutach nasiąkły już śliną, wsadzałam je do tubki. Pisałam na niej godzinę i umieszczałam w lodówce. Tak przez cały tydzień. W ciągu czterech dni eksperymentu żyłam jak zawsze. Na pozostałe dni zaplanowałam jednak drobne akty życzliwości. Na początku budziłam się i zastanawiałam, co mogłabym zrobić dla innych. Już samo to było bardzo przyjemnym uczuciem. Zaczęłam od drobnych rzeczy. Na samoprzylepnej karteczce narysowałam uśmiech i zostawiłam ją na szybie samochodu sąsiada. Potem kupiłam kanapkę bezdomnej osobie. Pozbierałam śmieci w drodze do sklepu. A innemu sąsiadowi wrzuciłam 5 euro do skrzynki na listy. Po tygodniu odesłałam próbki do Londynu. Jeden z naukowców ozadzwonił do mnie. „Nie spodziewaliśmy się, że wyniki będą aż tak wyraźne!”. Wysłał mi wykres, który obrazował poziom mojego kortyzolu. Dzięki aktom życzliwości spadał znacznie bardziej niż w zwykłych dniach.

A spadłby, gdybyśmy pomagali z egoistycznych pobudek?

– Zapytałam naukowców, czy taka dobroczynność wciąż miałaby dobry wpływ na nasze zdrowie. Odpowiedzieli, że motywacja nie jest aż tak ważna. Dlaczego? Bo w trakcie pomagania zmienia się. Podczas niego robimy się coraz bardziej empatyczni. Stajemy się tacy, jacy chcielibyśmy być. Po angielsku opisuje to powiedzenie: „Fake it till you make it”. Czyli udawaj, aż stanie się to prawdą. Trudno będzie ci więc pomagać uchodźcom na dworcu, żeby tylko polepszyć własne zdrowie. W pewnym momencie i tak przejmiesz się ich losem. To dotyczy się wielu naszych zachowań. Na przykład część osób przechodzi na wegetarianizm z powodów zdrowotnych. Ale gdy już nie jedzą mięsa, mówią: „Szkoda nam było zwierząt i planety”.

Empatią da się zarazić?

– Zgadza się. Tylko na początku ustalmy, czym jest. Wielu uważa, że czujemy przez nią aż za bardzo. Że uczucia drugiej osoby wręcz obezwładniają nas. Gdyby jednak tak było, mówilibyśmy o neurotyczności, czyli takim rozrządzeniu i rozemocjonowaniu jak u Woody’ego Allena grającego w filmach. Empatia jest czymś innym. Dzięki niej rozumiemy czy-

jeś emocje, ale nie rozpadamy się pod ich wpływem.

Jest sporo przykładów sytuacji, w których zarażaliśmy się dobroczynnością. Coś takiego wydarzyło się m.in. w Kanadzie. Gdy w kolejce jedna osoba kupiła drugiej kawę, jej gest powtórzyło ponad dwustu innych ludzi, którzy też tam stali. W psychologii nazywamy to zjawisko zaraźliwością emocjonalną. Pomaganie, przyjemne i trudne uczucia roznoszą się niczym ziewanie.

Może reszta kolejki kupiła innym kawę, bo nie chciała być gorsza?

– Niewykluczone. Ale te osoby i tak wykazały się empatią. Przecież przejęły się presją społeczną. Zależało im na tym, jak widzą je pozostali. Co ciekawe, psychopaci pewnie nie ulegliby podobnym naciskom. Są raczej odporni na zaraźliwość emocjonalną. Nie reagują nawet wtedy, gdy ktoś obok ziewa.

A jak jest z naszą empatią?

– Jakiś czas temu opublikowano badania jej poziomu w 63 krajach. Polska zajęła czwarte miejsce. Niestety od końca. Pamiętajmy jednak, że ranking powstał przed inwazją na Ukrainę. To ważne, bo wojna nas obudziła.

Badacze ze Stanów Zjednoczonych próbowali odkryć, co przyczyniło się do kryzysu empatii. Stwierdzili, że najprawdopodobniej odpowiadają za niego media społecznościowe i technologia. Nie pomagają też konsumpcjonizm czy materializm. Badania pokazują, że chęć posiadania ma bardzo zły wpływ na ludzką psychikę. Nie tylko nas unieszczęśliwia, ale też rzadziej angażujemy się przez nią w relację z innymi. Tu działa zasada wagi: im więcej wartości materialistycznych, tym mniej głębszych. I odwrotnie.

Dlaczego mieliśmy w Polsce problem z empatią? Podobnie jak w innych krajach postkomunistycznych ludzie stracili zaufanie do rządu, instytucji, a nawet samych siebie. Bardziej zależało im na pieniądzu niż drugiej osobie. Nie przez przypadek mówiło się o polskiej znieczulicy.

Skąd więc teraz taki wybuch dobroczynności?

– Może ona w nas była, tylko zagrzebana? Sami Polacy są zaskoczeni tym, jak pomagają. A może też trudne czasy wpływają na nas? W psychologii mamy dużo badań udowadniających, że osobowość potrafi zmienić się w ważnych momentach życia. Wojna może być

jednym z nich. Zobacz, jak dobroczynność jest dziś zaraźliwa. Skoro pomagają nasz bliski albo sąsiad, chcemy pójść w ich ślady. W ten sposób powstaje presja społeczna.

I niektórych wpędza w poczucie winy.

– Mam z tym pewien problem. Bo z jednej strony są osoby, które posiadają naprawdę wiele, ale nie pomagają. Istnieją nawet badania pokazujące, że ludzie majątni mają mniej-sze pokłady empatii. Może więc dobrze, żeby teraz odczuli choć trochę presji? Ale z drugiej strony znam osoby wspierające uchodźców, a mimo to wpędzające się w poczucie winy. Im wydaje się, że ciągle robią za mało.

Dlatego pamiętajmy, że nie od razu trzeba iść na dworce. Nie trzeba też zapraszać dziesięciu uchodźców do trzydziestometrowego mieszkania. Ważny jest zdrowy rozsądek. Mówię o nim, bo spotkałam kobietę, która pomaga Ukraińcom. Pewnego dnia chciała odpocząć – poszła na komedię do teatru i wróciła z niego z poczuciem winy. Nie rozumiała, jak mogła się śmiać, gdy kilkaset kilometrów dalej ginęli ludzie. Otóż mogła. W jej przypadku wyrzuty sumienia były nieadekwatne.

Dlatego nie przez przypadek najlepiej pomagają ci, którzy są w pełni sił psychicznych. A zapewniają je m.in. optymizm i śmiech. Natura próbuje nas jeszcze dodatkowo chronić: gdy pomagamy, wycisza się nasze ciało – migdałowate w mózgu, ale też spada kortyzol, hormon stresu. Po to, żebyśmy nie siedzieli w kącie i płakali nad czymś losem, tylko pomogli mu z głową. Chodźmy więc do teatrów, ładujmy swoje baterie. Sam śmiech ma już naprawdę niesamowity wpływ na ludzką psychikę i ciało. Przykład? Przed szczepieniem na gripę jedni pacjenci oglądali zabawne filmiki, drudzy nudne. Pierwsza grupa wytworzyła potem więcej przeciwciał niż pozostali.

To może empatię da się wytrenować?

– Oczywiście. Nawet odbywają się szkolenia z niej. Ich uczestnikami są m.in. dzieci, nastolatki, studenci medycyny, rezydenci, więźniowie. Prowadzi je m.in. organizacja Rots of Empathy (korzenie empatii). Obserwowałam jeden z jej treningów. Polegał na tym, że do dziewięcio- i dziesięciolatków przyszła matka z dzieckiem. Maluch jeszcze nie mówił, a uczestnicy sesji musieli odgadnąć jego nastrój. Czy płakał dlatego, że miał za dużo wrażeń? A może zgłodniał? Albo dokuczalo mu zmęczenie? Gdy dzieci znajdowały odpowiedź, przechodziły do kolejnego etapu: zaczynały mówić o sobie. Że, przykładowo, też były nieraz poddenerwowane i zniecierpliwione z powodu przebudzowania.

Naukowcy zastanawiali się nad efektami podobnych szkoleń. Przebadali więc dzieci, które w nich uczestniczyły. Po dwóch latach okazało się, że są bardziej wrażliwe, mniej dokuczają innym i mają dla nich więcej wyrozumiałości.

Może dlatego, że działali w grupie?

– Rzeczywiście – jeśli robimy coś z innymi, wkładamy w to więcej energii. Nadal jesteśmy zwierzętami społecznymi, choć zapominamy o tym. Myśmy ewoluowali, żeby non stop żyć w zbiorowisku. Nawet nasze osie stresu, systemy hormonalne funkcjonują nadal tak, jakbyśmy przebywali w stadzie.

Skoro mówimy o grupie, trzeba też powiedzieć o synchroniczności z nią. Bo jeśli śpiewamy razem w chórze, tańczymy z zespołem w tym samym rytmie, modlimy się z innymi w kościele, to wydzielają się w nas społeczne hormony w dawce nawet dwa razy większej, niż gdybyśmy robili to samo bez synchronii. To ważne, bo chodzi o endorfiny, które nazywamy hormonami szczęścia. One są naszymi naturalnymi środkami przeciwbólowymi. Poza tym dzięki robieniu czegoś synchronicznie stajemy się bardziej prospołeczni i ufni.

A co lepiej wpływa na nasze zdrowie: dawanie czy branie?

– Dawanie. Istnieje wystarczająco wiele badań, które to potwierdzają. W jednym z nich naukowcy poprosili mieszkańców Bostonu, by jak najdłużej trzymali przed sobą ciężarek ważący ponad dwa kilogramy. Po pierwszym razie przechodnie dostawali dolara. Podczas

drugiej próby część z nich była pytana, czy nie chcieliby oddać nagrody na UNICEF. Chętni do jego wsparcia ponownie brali ciężarek do rąk. Tym razem utrzymywali go aż o 15 procent dłużej niż pozostali. Fascynujące, prawda? Właśnie tak zareagowało ich ciało na zastrzyk hormonów wydzielających się podczas pomagania.

W innym badaniu naukowcy dali ludziom 20 dolarów i powiedzieli: „Możecie wziąć te pieniądze albo podarować je innym”. Ci, którzy wkładali je sobie do kieszeni, początkowo sądzili, że czują się lepiej. Nic z tego. Prędko wykazywali mniejsze zadowolenie z życia. Dlatego reklamy nie powinny nam mówić: „Kupcie sobie coś dla przyjemności”, tylko: „Kupcie coś komuś, a będzie wam milej”.

A chętnie obdarowujemy innych?

– Wiele zależy od tego, jak bardzo konkretny jest cel naszej dobroczynności. Czerpiemy mniej korzyści psychicznych, gdy, przykładowo, dajemy pieniądze na „ratowanie dzieci”. To zbyt ogólne. Ale nasze samopoczucie polepsza się znacznie bardziej, jeśli przystępujemy do akcji, w której ktoś nam mówi: „Chciałbyś wpłacić 30 złotych? To dobrze, bo kupimy za nie cztery moskitiery. Dzięki nim zwiększymy w Zimbabwie ochronę dzieci przed malarią”.

Dlatego jeśli ktoś ma dziś problem ze zmobilizowaniem się do pomocy Ukrainie, powinien skupić się na dobroczynności wobec jej konkretnych obywateli. I pomyśleć, że pomaganiem innym pomaga także sobie. Bo ono ma równie dobre korzyści dla naszego zdrowia jak sport czy zdrowa dieta. Tylko znowu: nie przesadzajmy. Pamiętajmy, że wspieranie innych podczas wojny to czynność długoterminowa. Tu nie da się jechać nieustannie na szóstym biegu, bo wyczerpie się nam akumulator. Po dwóch tygodniach wypalimy się, a osoby potrzebujące pomocy wciąż będą czekać. ●

Marta Zaraska

• dziennikarka naukowa. Autorka książki „Tajemnice długowieczności. Jak przyjaźń, optymizm i życzliwość pomagają dożyć stu lat”, która została niedawno przetłumaczona na język polski. „The Wall Street Journal” uznał ją za jedną z najlepszych książek o zdrowiu 2020 roku. Publikowała w „The Washington Post”, „New Scientist”, „The Atlantic”, „Scientific American”. Mieszka we Francji ●



Akcja społeczna Kulczyk Foundation, „Wysokich Obcasów” i Fundacji „Gazety Wyborczej”. Z uwagą i czułością przyglądamy się naszym relacjom – tym rodzinnym i tym z nami samymi – aby je uporządkować i z nową energią tworzyć świat po pandemii. Rozmawiamy o lękach, które towarzyszą wielu z nas, o podziale obowiązków i pomysłach na to, jak przygotować siebie i swoich najbliższych na nowy świat.

Chcemy tworzyć nową rzeczywistość. Chcemy rozmawiać o wolności kobiet w sferze świadomości, cielesności i bytu.



**Z TYM WYDANIEM
DOSTAJĄ PAŃSTWO
DOSTĘP DO:**

1.

**Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę**

2.

**Fragmentu książki „Chodź ze mną”
Łukasza Orbitowskiego**



Łukasz Orbitowski w swojej najlepszej powieści zagląda w trudny świat relacji rodzinnych i próbuje odpowiedzieć na pytanie, jak wiele z naszych rodziców zostaje w nas samych. Kanwą dla opisanych wydarzeń jest między innymi zaczerpnięta z prasy historia tajemniczego obiektu latającego, który spadł do gdyńskiego basenu portowego pod koniec lat pięćdziesiątych.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Chodź ze mną”
Łukasza Orbitowskiego, wydawnictwa Świat Książki,
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

CHZMLO

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na wyborcza.pl/czytelnia

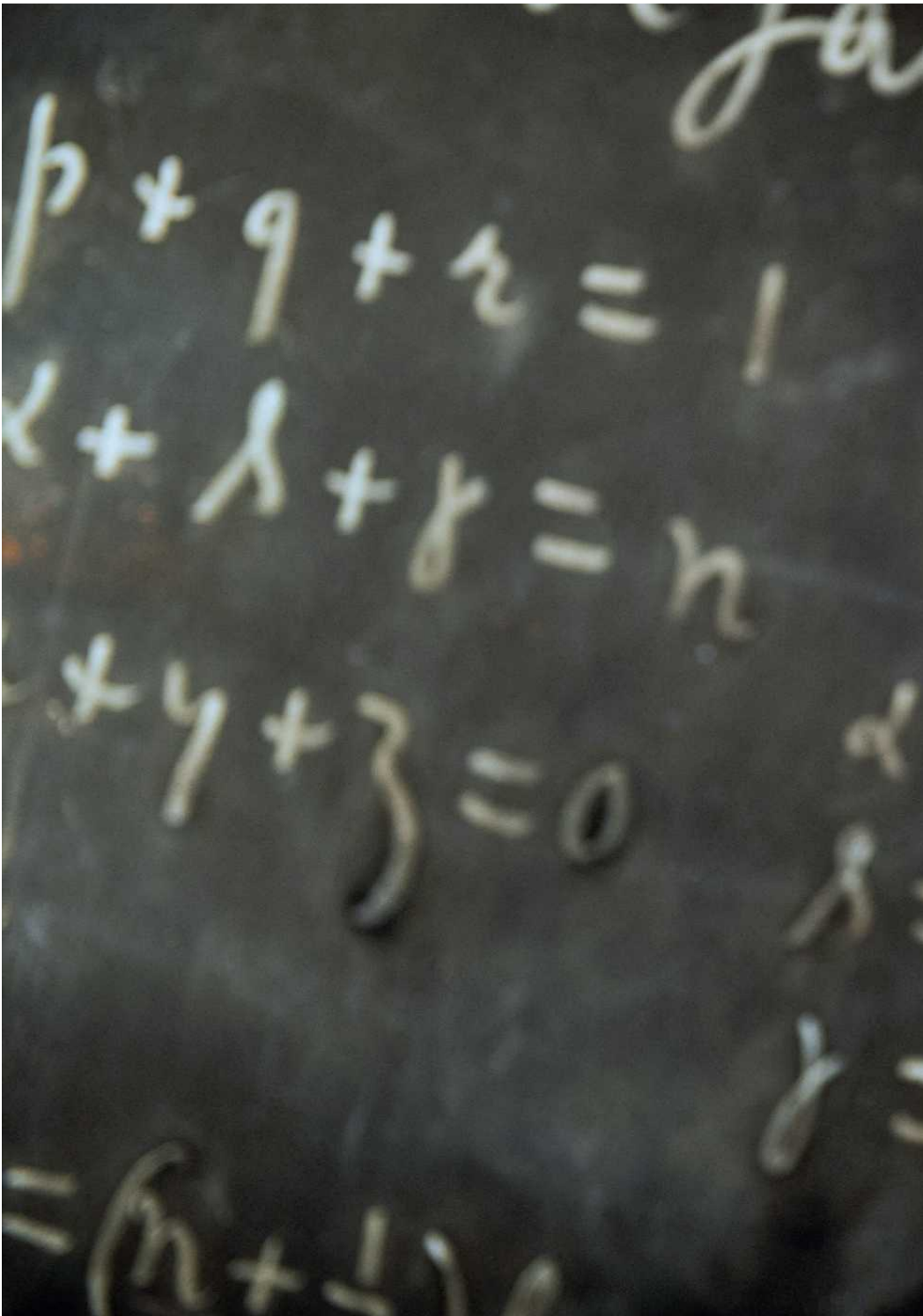
Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176931

22 514 MIEJSC PO PRZECINKU

Szyborska to moja ulubiona pani od matmy.
A liczba pi to moja pierwsza ojczyzna

Z DANIELEM TAMMETEM SPOTYKAŁ SIĘ I WYSŁUCHAŁ GO KASPER KALINOWSKI



Uważa, że „liczby przesycają doświadczenie świata”. Już jako chłopiec liczył ułamki dystansu pokonywanego między latarniami – połowę połowy, połowę połowy połowy i tak dalej. Dziś jest światowej sławy lingwistą (i poliglotą, mówi co najmniej 11 językami) i popularyzatorem nauki. Mieszka w Paryżu, ale...

DANIEL TAMMET: *Urodziłem się w Wielkiej Brytanii. Od dziecka nie czułem się jednak Anglikiem. Ojczysty język wydawał mi się obcy. We własnym kraju czułem się jak cudzoziemiec. Już w dzieciństwie zdecydowałem, że będę podróżować. Przez rok mieszkalem w Kownie na Litwie. Wiele lat spędziłem w Kanadzie i Francji.*

Podróżował po świecie, bo już jako dziecko wiedział, że obce języki pomagają w zrozumieniu ojczyzny. Osiedl w Paryżu, bo jak mawia, w połowie to miasto pisarzy, a w połowie...

TAMMET: *...matematyków. Liczby były tak naprawdę moim pierwszym językiem. Jako synestetyk postrzegam je odmiennie, podobnie jak Kandinsky czy Nabokov. Tak odbieram rzeczywistość. Twoje imię „Kasper” ma dla mnie złoty kolor, „Polska” jest z kolei różowa.*

Ten szczególnie związek z liczbami jest bardzo wzbogacający. Kiedy Tammet widzi numer telefonu, ma on kolory i tekstury, które pomagają mu go zapamiętać, albo dostrzega piękny, interesujący wzór. Kiedy patrzy na zegar, widzi w myślach zastanawiające kształty.

TAMMET: *Wielu określa matematykę jako uniwersalny język. Nie jestem matematykiem, ale od zawsze łączyła mnie silna więź z liczbami. Sekwencje cyfr prowokują we mnie historie i wspomnienia. To jak z wido-kiem ludzkiej twarzy: za kształtem i określonymi wymiarami kryje się cała historia konkretnego człowieka. Jestem pełnoetatowym pisarzem, moje książki zostały przetłumaczone na 40 języków, ale nie spodziewałem się, że będę pisał; zawsze opowiadałem sobie historie liczbami.*

W swoich książkach często podkreśla, jak bardzo kultura wpływa na postrzeganie liczb. Zwraca np. uwagę, że Szekspir był z pierwszego pokolenia, które używało zera w algebrze. Różne kultury mają od-

mienne doświadczenia związane z liczbami i matematyką, a jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest... TAMMET: *...język. W niektórych językach jest bardzo mało słów na określenie liczb i liczenia. Pewne plemię z Ameryki Południowej potrafi liczyć tylko do trzech lub czterech.*

...

Mimo olbrzymich zdolności matematycznych Tammet miał problemy w szkole. Dzieciństwo spędził w bibliotece („Dorastałem w czasach przed pojawieniem się idei neuroróżnorodności, świadomości, że niektóre mózgi rozwijają się inaczej, i otoczenie źle mnie odbierało”). Dziś już wiemy, że niektórzy słynni artyści, lingwiści, poeci to osoby, które obecnie określilibyśmy jako ludzi na pewnym poziomie spektrum autyzmu. Zaliczała się do nich np. Emily Dickinson.

Jako dziecko cierpiał na ataki epilepsji. Był inny, więc lepiej czuł się wśród książek niż rówieśników. Lekarze ani rodzice nie znali przyczyny. Starał się więc dostosować. Umożliwiały mu to...

TAMMET: *...książki. Wyłącznie książki. To przecież obiekty społeczne. Nie istnieją w naturze same z siebie. To wynik długotrwałej pracy czyjeś wyobraźni, emocji i sposobów postrzegania świata przez odmienne kultury. Miałem tę intuicję jeszcze jako dziecko, nim potrafiłem ubrać to w słowa. Czytałem słowniki, encyklopedie, ale również powieści. Z tych ostatnich uczyłem się świata relacji społecznych. Zwracałem uwagę zwłaszcza na dialogi, które pokazywały, jak myślą inni. Powieści pozwoliły mi wejść do cudzych umysłów.*

Jego sytuację poprawiła diagnoza: spektrum autyzmu. Jak napisał w jednej z książek: „Moja inność zyskała imię”. Dziś powiedzielibyśmy o kimś takim – neuroróżnorodny. Tammet lubi to słowo, bo nie- sie mniejszy bagaż skojarzeń niż autyzm, nie- stety wciąż kojarzony z brakiem wyobraźni czy empatii („A przecież mam ośmioro rodzeństwa, więc nie mogłem narzekać na brak relacji społecznych i kontaktów w domu”).

...

Tammet wiele zawdzięcza nie tylko rodzicom i książkom, ale też pewnej nauczycielce. Elfriede Corkhill

uczyła niemieckiego i zapraszała go do domu na konwersacje. („To ironiczne, że angielskiego uczyłem się od Niemki. Podobają mi się jej imię Elfriede, jak niemieckie „friede” – „pokój”). Pani Corkhill sama była niezwykle ekscentryczna, zapewne dlatego wzięła pod swoje skrzydła „innego”.

TAMMET: *Sam też byłem nauczycielem. W wieku 19 lat uczyłem angielskiego na Litwie. To był koniec lat 90. Angielski był językiem, który mógł zapewnić wolność. W Kownie zrozumiałem, jak silne są antyrosyjskie uczucia w Europie Wschodniej. Ale przede wszystkim to tam zdałem sobie sprawę, że w nauczaniu wszystko sprowadza się do intuicji.*

Porzucił więc podręczniki, w jakie go wyposażono, i stwierdził, że doskonały środek do nauki obcego języka to...

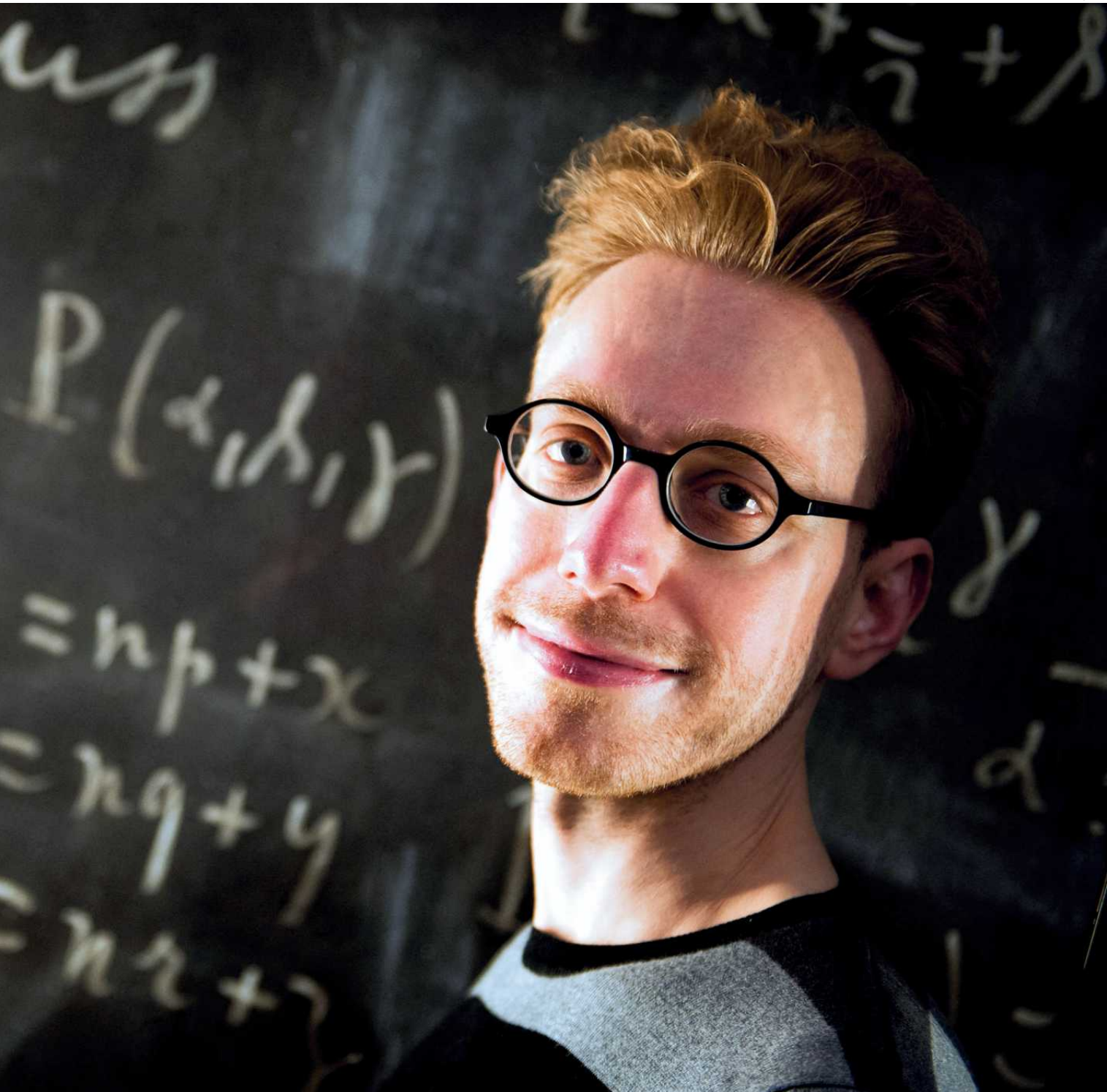
TAMMET: *...poezja. Bo stymuluje umysł tak, jak podręcznik nie zdoła. Ucząc, musisz nie tylko zachęcić uczniów do nauki, ale też znaleźć sposób, jak zakotwiczyć w ich języku. Muszą nie tylko recytować formułki, ale zanurzyć się w świat nowych dźwięków, które stymulują i dają szansę na tworzenie nowych zdań i idei.*

Oczywiście jemu jest łatwiej niż zwykłemu śmiertelnikowi takiemu jak ja – jako synestetyk intuicyjnie odnajduje wzorce semantyczne i gramatyczne. Ale uważa, że nawet bez tego daru powinniśmy uczyć się języków – nie po to, by je kolekcjonować („tak jak zbieracz motyli łapie motyle”), tylko żeby poszerzać doświadczenie.

Ucząc w ten sposób, a jednocześnie odbierając słowa wieloma zmysłami, Tammet doszedł do wniosku, że istnieje fonetyczne podobieństwo między brzmieniem słowa a jego znaczeniem. Podobną intuicję mieli wcześniej niektórzy lingwiści i filozofowie, lecz naukowy mainstream ją odrzucał. Jego zdaniem to pokłosie sukcesu językoznawców z obozu Noama Chomsky’ego, dla których język jest teoretycznym systemem, podobnie jak matematyka.

TAMMET: *Liczby jednocześnie są podobne do języka, ale równocześnie całkowicie inne. Język jest czymś namacalnym i rzeczywistym, wywołuje również uczucia. Natomiast matematykę interesuje nie to, co realne, ale*

FOT. LIONEL BONAVENTURE/AFP



Copernicus przebija bańki

• Wszyscy żyjemy w bańkach informacyjnych - co do tego zgoda. Ale czy to dobrze, czy źle? Tu padają już skrajnie różne odpowiedzi. Pewnie dlatego, że żyjemy w różnych bańkach informacyjnych. To o nich - między innymi - będziemy rozmawiać na Copernicus Festival 2022.

Węgiel, ropa i gaz wciąż napędzają silniki kapitalizmu, ale najważniejszym surowcem stała się informacja. Dzięki niej można rozwijać nowe technologie, walczyć z pandemią, odkrywać tajemnice wszechświata, ale też kontrolować społeczeństwa, skuteczniej prowadzić wojny, siać nienawiść. Algorytmy śledzą każdy nasz ruch, budując „indywidualny ekosystem informacji”, w którym otrzymujemy tylko to, co chcemy otrzymać.

* Jak dostęp do informacji zmienia nasze postrzeganie rzeczywistości? * Czy algorytmy rzeczywistość nas modelują? * Jakie informacje o nas zapisane są w genach i czy mają wpływ na nasz charakter?

Na te i inne pytania odpowiedzą m.in. Artur Ekert – fizyk z Oksfordu zajmujący się kwantowym przetwarzaniem informacji, Krystyna Kurczab-Redlich, dziennikarka i reportażystka, wieloletnia korespondentka w Rosji, prof. Ewa Bartnik, specjalizująca się w genetyce i biologii molekularnej, a także Daniel Tammet, brytyjski pisarz synestetyk, obdarzony niezwykłymi zdolnościami przetwarzania informacji.

Zapraszamy między **17 a 22 maja** do **Muzeum Inżynierii i Techniki** przy ul. Wawrzyńca 15 w Krakowie lub na kanał YouTube. com/Copernicus. Wszystkie wydarzenia są bezpłatne. **Więcej na Copernicusfestival.com.**

to, co logiczne. Uważam, że na kształt naszego języka bardziej wpływają wyzwania i doświadczenia egzystencjalne niż matematyczna przewidywalność, jak chce teoria Chomsky'ego.

Ale zaraz, chwilę wcześniej Tammet mówił, że jego własnym pierwszym językiem były liczby, i zachwycił się Paryżem, miastem łączącym literaturę i matematykę? Nie ma w tym sprzeczności. Bo matematyka to...

TAMMET: ...sposób patrzenia na świat bez stereotypów i schematów. Umożliwia dokonywanie zaskakujących odkryć. W tym jest podobna do poezji i literatury, niezależnie od tego, czy to powieść, esej, czy reportaż literacki. Intuicja i emocje są ważnymi źródłami w obu dziedzinach. Zazdroszczę matematykom, podziwiam ich, ale bliżej mi jednak do Wisławy Szymborskiej i jej wiersza „Liczba Pi” niż do matematyki, która opisuje liczbę pi. Matematyka interesuje mnie w podobny sposób jak Szymborską, jako sposób myślenia pobudzający wyobraźnię.

Zdaniem Tammeta stereotypowy, narzucany często przez szkołę lub otoczenie wybór – albo słowa, albo matematyka – jest fałszywy i szkodliwy. Jeśli chcesz szeroko myśleć, dobrze pisać, potrzebujesz również liczb. Bo poszerzają wyobraźnię – a jednocześnie porządkują, pozwalają zrozumieć idee rymu, muzyki, struktury, harmonii. TAMMET: Język i matematyka opowiadają historie. A ludzie je uwielbiają, jesteśmy gątkiem, który opowiada historie. Angielskie słowo „opowiadać”, „tell”, oznaczało pierwotnie „liczyć”.

...

Jego historia przyniesie pocieszenie wielu czytelnikom – tym, którzy podziwiają matematykę, intuicyjnie odbierają jej piękno, ale popadają w stupor, wspominając licealny koszmar: „a na jutro ćwiczenia, strony od

do z Dróbki”. Bo zakochany w matematyce sawant nie znosi...

TAMMET: ...algebry. Ale to nie jej wina. Algebra to specyficzna umiejętność myślenia abstrakcyjnego, której nie miałem od dziecka i która po prostu mnie nie interesuje. Matematyka zaczęła się od czegoś, co jest bardzo namacalne, a algebra to miejsce pełne abstrakcji. Mnie bardziej interesuje to, co namacalne.

I znów sprzeczność: stroniący od algebry Tammet ma ulubioną liczbę. Tak abstrakcyjną, jak to tylko możliwe. Bo jak sobie wyobrazić coś, co nie ma końca?

TAMMET: Pi jest po prostu magiczne. Sama idea, że możesz zapisać na kawałku papieru liczbę, która jest większa od wszechświata, jest poetycka. W szkole frustrowało mnie, że poświęca się raptem 4 czy 5 miejsc po przecinku liczbie, która jest nieskończona. To jakby uczyć się Szekspira, mając do dyspozycji pierwsze cztery słowa „Hamleta”. To w żaden sposób nie oddaje piękna całości.

W jego domu w Wielkiej Brytanii nie było jeszcze internetu, więc Tammet chodził do biblioteki i szukał jak najdłuższego pi w starych książkach. Trafiał na ciągi 100, 150 cyfr, które powtarzały się w nieprzewidywalny sposób. Jako synestetyk był wniebowzięty, bo doświadczał ich jako kształty i emocje.

TAMMET: Pi jawiła mi się jak krajobraz, jak oddzielny kraj. Nie w takim sensie jak Polska czy Litwa, ale kraj w umyśle, do którego należą bardziej niż do Anglii. Być może liczba pi to była moja pierwsza odczyzna.

Dla kogoś takiego 150 miejsc po przecinku to jak lizanie cukierka przez szybę. Roku Pańskiego 2004, pewnego marcowego dnia, w Oksfordzie, Tammet zaczął recytować liczbę pi. Skończył po 5 godzinach

i 19 minutach. Całą poprzednią zimą spędził na czytaniu cyfr, niczym...

TAMMET: ...aktor uczący się scenariusza. Chciałem wypowiedzieć na głos ten piękny poemat. Widziałem cyfry w moim umyśle jako kształty, kolory i tekstury, a te różne doświadczenia łączyły się w mojej głowie, tworząc historię, którą mogłem opowiedzieć innym. Na początku publiczność nie wiedziała, co myśleć. Potem zrozumieli emocje w moim głosie i słuchali. Niektórzy nawet wzruszyli się do łez. Zdałem sobie sprawę, że mam dar nie do liczenia, ale do opowiadania.

...

Ale to był ostatni krok do zostania pisarzem. Pierwszym było... porzucenie czytania. Mały Daniel pochłaniał wszystko, co wpadło mu w ręce – i się frustrował. Jego rodzice pochodzili z klasy robotniczej, nie chodził więc do teatru, opery, jedynym dostępem do kultury były biblioteki – bo darmowe. A problemy w powieściach były problemami klasy średniej lub obsesjami klasy wyższej.

TAMMET: Fikcją stworzoną przez kogoś, kto inaczej postrzega świat, do tego zbyt trywialną, aby brać ją na serio. Sprawy zaczęły się zmieniać, gdy mieszkałem na Litwie. Dotarło do mnie, że w czasach sowieckich książki były obiektem politycznym. Mogłeś zostać aresztowany za zwykłą Biblię w domu. Słuchałem tych historii i odkrywałem, jak potężną siłą stanowią książki. Kolejny przełom nastąpił, gdy spotkałem obecnego męża. Przeniosłem się do Francji, czytałem po francusku i tak wróciłem do powieści. Czytając po francusku, odkryłem na nowo Dostojewskiego czy Czechowa. Zrozumiałem, w czym leży ich siła. Nie w tym, że są o mnie czy o tobie – przecież nie należymy do ich światów i epoki – ale w tym, że mówią nam: „spokojnie, na jakimś poziomie każdy z nas jest dziwny”. Życie ludzi nie jest logiczne, nie wiemy, co tu robimy,

jaki jest i czy w ogóle jest jakiś sens życia. Literatura przynajmniej umożliwia nam zadawanie pytań, które w sobie nosimy.

No to kim jest Daniel Tammet? Matematykiem amatorem? Popularyzatorem nauki? Pisarzem? Geniuszem? Sawantem, jak chce Wikipedia?

TAMMET: Schlebiam mi, kiedy ludzie czytają i chwalą moje książki, „geniusz” to piękny komplement, ale zbyt łatwo nasuwa szkodliwe skojarzenia związane z autyzmem. A kim jestem... Napisałem dziewięć książek, bardzo różnorodnych – reportaże, powieści, eseje, a nawet pamiętnik. Po prostu pasuję do wielu kategorii – jak każdy z nas. ●



Najnowsza książka Tammeta to „**Słowa są jak ptaki, które uczymy śpiewać. O znaczeniach i tajemnicach języka**” (przeł. Tadeusz Chawziuk, wyd. Copernicus Center Press). Wcześniej w Polsce ukazały się „**Urodziłem się pewnego błękitnego dnia. Pamiętniki nadzwyczajnego umysłu z zespołem Aspergera**” i „**Zanurzeni w liczbach. Jak matematyka kształtuje nasze życie**”

FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

KOLACJA Z OKRUCIEŃSTWEM

**Bardzo mi się podoba, że Zelenski
zabronił ukraińskim mężczyznom
wyjazdu**

Z **ADAMEM ZIELIŃSKIM**, PRAWNIKIEM, MUZYKIEM, RAPEREM WYSTĘPUJĄCYM POD PSEUDONIMEM ŁONA, ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

Wojna w Ukrainie trwa nieprzerwanie dwa miesiące. Społeczność międzynarodowa nakłada sankcje, a zwykli ludzie reagują, jak mogą – wielu nie chce kultury rosyjskiej w życiu społecznym. Co o tym sądzisz?

– W pełni popieram ten bojkot. Dla mnie zresztą to nie jest Czajkowski odwołany w filharmonii, tylko coś znacznie bliższego. Żaden ze mnie znawca, ale dotąd regularnie puszczałem sobie stary Aleksandra Rozenbauma, z uwagą śledziłem wygląpy Sznurowa z Leningradu, oglądałem ciurkiem rosyjskie filmy. Teraz – jakkolwiek groteskowo by to zabrzmiało w obliczu prawdziwego koszmaru wojny – straciłem to wszystko. Rozenbauma nie mogę spokojnie słuchać po jego ostatnim wierszu „Я дома” i nie mogę dłużej traktować Sznura jak Stańczyka, który prowadzi z władzą przebiegłą grę, raz krytykując, raz schlebując. Dla mnie to pasmo rozczarowań, bo winni są nie tylko ci, którzy Putina popierają, ale też ci, którzy milczą.

Pewnie, że nie wszyscy zgadzają się z polityką Kremla, co widać także w muzyce, ale samotność takiego np. rapera Oxxxymirona, który nie przestał do dziś przeciwstawiać się wojnie, urasta do rangi symbolu. Widzę, że próbuje nieśmiało walczyć mój ulubiony Władi z grupy Kacra, ale

już zespół milczy, chcąc pewnie w spokoju dokończyć trasę koncertową. Pozamykało niezależne media: Echo Moskwy, którego słuchałem regularnie, czy „Nową Gazietę”. Na naszych oczach Rosja przeistoczyła się w państwo totalitarne.

Ale Europa się jednoczy.

– To wielkie osiągnięcie Putina, choć to zjednoczenie zapewne nie na zawsze. Putin się co do Zachodu sromotnie pomylił, choć nie pomylił co do reakcji samych Rosjan. Bardzo dobrze natomiast, że zaczęliśmy wreszcie uważniej słuchać tych, którzy alarmowali, że Putin zrobi dokładnie to, na co mu pozwolimy.

Boimy się o Ukrainę czy już o siebie?

– Powiadają, że w 400-tysięcznym Szczecinie jeszcze przed wojną było parędziesiąt tysięcy Ukraińców. Są naszymi sąsiadami, znajomymi, są blisko Polski nie tylko w sensie geograficznym, ale też kulturowym. Dlatego chyba ta wojna jest tak blisko nas.

Putin ma ponoć ogłosić pobór powszechny, co źle wróży. Wyobraża pan sobie, że w odpowiedzi zostaje powołany do polskiej armii w razie kolejnej godzi-ny W?

– Ja sobie – jak chyba każdy facet – stawiam takie pytanie od początku wojny i odpowiedź wydaje się prosta: biorę rodzinę, wywożę najdalej, jak się da, i wracam. I bardzo mi się podoba, że Zelenski w zasadzie uniemożliwił jakiegokolwiek inne rozwiązanie ukraińskim mężczyznom. Tylko że to jest taka teoretyczna deklaracja, która nic nie kosztuje. A ile o sobie wiemy, to wiadomo od Wisławy Szymborskiej. Nikt z nas przecież nie stanął jeszcze przed takim wyborem.

Czy uśpiło nas to pozorne bezpieczeństwo, skoro przez lata Putin umacniał swoją władzę?

– Każdy, kto trochę obserwował Rosję, wie, że Putin od 20 lat budował piramidę złożoną z oligarchów i służb, na której czele stanął i której pozornie był szefem, ale również więźniem. Nie wyrwie się już stamtąd ani mentalnie, ani fizycznie, bo to skomplikowana mozaika interesów, które on uosabia i spaja. I do tego nie trzeba czytać – świetnych skądinąd – książek Krystyny Kurczab-Redlich, wystarczyło się trochę rozejrzeć, choćby po popularnym youtube’owym kanale Nawalnego. Natomiast wszyscy chyba podejrzewali, że to mistrz maskirowki, podstępny, ale nie otwartej inwazji; że na to się nie zdobędzie, bo nie jest aż taki głupi. A Zachód trwał w przekonaniu, że Putina można obezwładnić, prowadząc z nim wspólne interesy.

Polska nie miała ostatnio właściwie żadnego pomysłu na relację ze wschodnimi sąsiadami. Tym dziwniejsze, że taki np. Lech Kaczyński prowadził bardzo sensowną politykę wschodnią i był na tym polu bardzo aktywny. Widać oczywiście działania rządzących po wybuchu wojny; to bardzo ważne, nawet jeśli spóźnione i niekiedy tylko symboliczne. Tylko że prawdziwy ciężar pomocy spoczywa na zwykłych ludziach, którzy niosą ją najczęściej bezinteresownie, na NGO-sach, których pracownicy się zaharowują od dwóch miesięcy. Bez tego nie byłoby sukcesu polskiej pomocy.

Ale nagrał pan utwór „Luksus”, w którym rapuje o człowieku uwięzionym na granicy – dlaczego jesteście tak nieskutecczni jako społeczeństwo, że pozwalamy na ten horror?

– Bo nam zobojeźniało. Powiem za siebie: łapię się na tym, że oglądam głodnych lu-

dzi w telewizji, czytam o zbrodniach wojennych w gazetach i jestem w stanie przy tym jeść kolację. Nie wiem, może to jest naturalna reakcja na nadmiar bodźców? Zmienia mi się to dopiero przy bezpośrednim spotykaniu z człowiekiem, który przed wojną uciekł.

Co może artysta w takich chwilach, poza uczestnictwem w koncertach charytatywnych?

– Wszystko, co się da. Bo nie oszukujemy się: zagranie charytatywnego koncertu czy nagranie piosenki świata nie zbawi. Najwięcej dobra można zrobić, pomagając konkretnemu człowiekowi. Mam też wersję dla cyników: pomaganie może być od biedy chwilowym balsamem na własną bezsilność.

Polska zbrunatniała, skrajne postawy są niebezpieczne. „Miej wątpliwość” jest aktualne jak nigdy wcześniej?

– Nacjonaliści już dawno temu nauczyli się ubierać w niewinne szatki. A z drugiej strony brunatniej retoryka centroprawicowego mainstreamu, który nie waha się sięgać po skrajne komunikaty z cynicznych powodów. Choć wszystkie tragedie mają swój początek właśnie w języku nienawiści.

Ale powiem pani coś innego: zwróciłem uwagę na gest posła Winnickiego, który po wybuchu wojny napisał: „Kto nie pamięta o ludobójstwie na Wołyniu i nie domaga się prawdy o pomordowanych przez OUN-UPA Polakach, ten jest zaprzańcem i zdrajcą. Kto wymachuje dziś Wołyniem, by nie pomagać kobietom, dzieciom, starszym i chorym uciekającym przed barbarzyństwem Moskwy, ten jest skurwysynem”. On, zdaje się, dość mocno oberwał od swojego obozu za taką deklarację, ale ja patrzę na to z pewnym uznaniem. Bo

choć był to zapewne jedyny moment w moim życiu, gdy się z nim zgadzam, to może tak powinno być, że w pokojowych warunkach skaczymy sobie do gardeł, ale kiedy przychodzi poważne zagrożenie, to da się o pewnych sprawach myśleć podobnie.

Janusz Korwin-Mikke, który poza tym, że wraca wciąż do narracji, że kobiety powinny dostać prawa wyborcze po ukończeniu 65. roku życia, to pisze mętne deklaracje, z których można wywnioskować, że popiera Putina.
– Nie wiem, czy to jest z jego strony igraszka intelektualna, czy wygaduje te bzdury poważnie; mniejsza o jego pobudki, to jest kompletnie żalosne. Bo to, że jest pierwszym mizoginem RP, wiadomo było od zawsze.

A to nie jest przerażające, że taki człowiek od 40 lat robi w Polsce politykę?
– Tyle że nikt go nie traktuje poważnie, może poza 19-letnimi chłopcami zachwyconymi jego erudycją, bo tej nie sposób mu odmówić. Chociaż pod tym względem już od dawna bije go na głowę Grzegorz Braun, polecam taki np. wywód pt. „Czy Yoda był Żydem?”, to jest prawdziwy popis oratorski, o intergalaktycznym KGB, o rycerzach Jedi jako uosobieniu komunistycznej bezpieki i o tym, że pod maską Lorda Vadera kryje się plk Kukliński. Retorycznie to jest światowy top, puszcza myślenie o sobie z kolegami dla beki. Ale politycznie – folklor, tacy ludzie na szczęście rzadko odgrywają istotną rolę w polityce.

Jednak ich przekaz do kogoś bardzo konkretnego trafia. Konfederacja jest w Sejmie, a jej notowania raczej rosną.
– Ja myślę, że najgroźniejsze są nie same skrajności, bo one były zawsze, ale ich oddziaływanie na centrum. Bo kiedy Jarosław Kaczyński, który dla wielu osób jest poważnym politykiem, sięga po język nienawiści, by ordynarnie grać na swoim elektroacie, kiedy robią to premier i ministrowie polskiego rządu, to jest przerażające. Bo to nie uleci gdzieś po chwili, tylko zostanie z nami na lata.

Zjednoczona Prawica stawia na organizatorów Marszu Niepodległości, finansuje ich, głaszcze i wyposaża, aby mogli sobie sympatycznie funkcjonować, i to też jest cholernie niebezpieczne.

A wydarzenie w Polsce, po którym nawet raperowi, który się bawi słowem, tego słowa zabrakło, to?
– Kiedy Adam Glapiński, prezes NBP, zapowiedział emisję monet dedykowanych obronie polskiej granicy wschodniej. A myślałem, że mnie już nic nie zaskoczy. Zanie mówiłem, jak to usłyszałem, aż zadzwoniłem do swojego współpracownika z kancelarii, żeby się upewnić, bo on jest zawsze bardziej na bieżąco z newsami. Bo że Glapiński jest jajcarzem, to było widać od dawna, ale że jajcarz jest na takim stanowisku, to jednak pewnego rodzaju nieszczęście.

Przekonuje pan kolegów z branży raperskiej, by się polityką interesowali?
– Akurat tym kolegom nic nie brakuje, jeśli chodzi o zainteresowanie polityką. Ale już w całym pokoleniu widzę dużo rezygnacji. Co więcej, to powtarzanie, że „to przecież nic nie da”, wcale nie jest takie głupie, bo istotnie: da to niewiele. I rzeczywiście: nie ma nic miłego w pochylaniu się nad kartą do głosowania i dochodzeniu wciąż do tej samej smutnej konstatacji: nie ma na kogo głosować. To ja na tę bolączkę sunę z taką propozycją: Nawalny nazwał to bodaj inteligentnym głosowaniem, czyli wyborem tego, kto ma największe szanse wygrać z partią władzy. Do tego samego nawoływał także, zdaje się, Aleksander Kwaśniewski przy wyborach do Senatu. I, proszę, udało się.

A na kogo oddałby pan głos z szacunku?
– Zawsze odpowiadałem, że na Ryszarda Bugaję, dopóki był aktywny. Z czynnych polityków to chyba Paweł Kowal. Bo mamy w Sejmie olbrzymią przewagę ignorantów,

facet z tak imponującą wiedzą mocno się wyróżnia. Strasznie brakuje takich ludzi.

A wierzy pan w zmianę polityka? Czy skakałby pan pod Sejmem z Romanem Giertychem krzyczącym, kto nie skacze, ten za PiS-em?
– No właśnie nie, bo pamiętam, że jako minister edukacji narodowej wyciął Gombrowicza ze szkół. Pewnych rzeczy nie da się zmasać.

I jeszcze jego poglądy na temat LGBT, Młodzież Wszechpolska, koalicja z PiS-em... Dlaczego ich wszystkich tak bardzo kłują w oczy środowiska LGBT?
– Przecież Zjednoczonej Prawicy nie chodzi o danie upustu swojej niechęci do osób LGBT, tylko o grę na tej niechęci. O budowanie siły na wzniecaniu nienawiści. Najcięższy grzech, jaki politycy mogą popełnić.

A pamięta pan ten rap lat 90., gdy wszyscy artyści tej sceny byli męscy do granic możliwości? Słowo „pedał” było normalnym słowem...
– Pewnie, że pamiętam. Nigdy nie było normalne, ale było powszechne, fakt. To chyba nasze pokolenie ostatecznie, mam nadzieję, zepchnie je do lamusa. W starym tego „lamusa” znaczeniu.

Czy latka rapera inteligenta nie jest męcząca i ograniczająca? Przecież

„Jakby co, to wywożę rodzinę jak najdalej i wracam walczyć”

chłopaki, którym dedykuje pan przekaz tekstu „Miej wątpliwość”, czyli nie wierzę w przekaz nacjonalistów, mogą pana odrzucić.
– Męcząca, a jakże. Tak samo jak pytania o to, skąd czerpię inspiracje i jak godzić jeden zawód z drugim. Żyjemy w takich czasach dominacji rapu, i to tylko pogłębiło jego wadę: skrajną jednorodność. W tej muzyce od początku było wiele schematów, mód, ram, w które można było wpaść i w nich bezpiecznie trwać. I wystarczyło naprawdę niewiele, żeby nieco odstawać od głównego nurtu.

Słucham o tej rzekomej inteligencji, a przecież doskonale wiem, że to nie jest żadna wielka literatura, tylko po prostu piosenki trochę inne niż reszta piosenek. Poza tym nie miałem nigdy większego problemu z dotarciem do osób, które naprawdę jarają się rapem, bo tutaj już latki nie działają. A sceptyków zapewniam, że mit inteligencji znika u mnie przy bliższym poznaniu. (*śmiech*)

Rodzice akceptowali pana drogę artystyczną?
– Miałem konflikt z mamą na tym tle. Myślałem, że nadal by sobie życzyła, żebym robił coś poważniejszego.

Skończył pan aplikację, ale nie wpisał się na listę radców prawnych.
– Uznałem, że na razie obejdę się bez tego.

Jakaś dezynwoltura raperska?
– Bez przesady. Zwłaszcza że i tak pracuję jako prawnik, tylko bardziej w sferze, powiedzmy, pozasądowej.

Postawienie na „porządny zawód” chyba w pandemii się sprawdziło?
– Trudno mi sobie wyobrazić, aby artyści robili sztuki na zamówienie polityczne, choćby i nawet zamawiała opozycja. Żeby takie „Dziady” w Słowackim zawierały akcenty współczesne, bo to modne i zapewni salę. Nic podobnego, teatr jest właśnie jedną z niewielu przestrzeni, gdzie słychać

prawdziwy głos. Dla mnie szalenie ważnym miejscem jest Teatr Kana w Szczecinie, dzięki któremu zacząłem jeździć do Monaru w Babigoszczy...

Jak zaczęła się pana współpraca z tym ośrodkiem?
– Prawie 20 lat temu zawiozła mnie tam moja przyjaciółka, z Kany właśnie, Magda Dec. No i wsiąknę. Lider tego ośrodka, „Siwy”, typ obdarzony charyzmą w stylu Kotańskiego, robił tam arteterapię jazzem jeszcze w latach 80. i odnosił sukcesy. Na początku naszego stulecia sięgnął po rap, który w ośrodkach odwykowych był wtedy zakazany. A on to przełamał i tą rzekomą toksyczną muzyką zaczął leczyć ludzi z uzależnień. Mnóstwo ludzi poznałem w Babigoszczy, potem w Marianówku, mam stamtąd przyjaciół do dzisiaj. Rządko można doznać takiej wolności twórczej jak tam.

Z czego wynika ten imperatyw, żeby prowadzić warsztaty rapowe w Monarze?
– Najuczciwiej będzie, jak powiem, że to jest skrajny egoizm, który sprawia, że robiąc coś dla innych, czujesz się dobrze. Może i szlachetny, ale wciąż egoizm. Chociaż zwykle to jest prawdziwa harowa. Ale poza wszystkim: warsztaty z podopiecznymi ośrodków są olbrzymią frajdą, bo to ludzie zwykle obdarzeni wspaniałą wyobraźnią i dużą wrażliwością. Choć fakt, że pogubieni życiowo.

A jak patrzy pan na taki proces wychowawczy, to jest coś, o co ma pan pretensje do rodziców i nie chciałby tego powielać wobec swoich dzieci?
– Nie myślałem o tym. Raczej przeciwnie; mamie jestem wdzięczny za wychowanie, bo jeśli jest we mnie coś pozytywnego, to tylko dzięki niej. Ojcu z kolei zawdzięczam ciekawość ludzi i świata, cały ten ciąg na „innego”, z jego kulturą, językiem, religią...

A pana stosunek do religii?
– Mnie to zawsze szalenie ciekawiło z pozycji bardziej kulturowych niż duchowych. Ta droga, którą człowiek sobie wymyśla do Boga, jak ją ubiera w doktryny, kapłanów, objawione księgi, które sam pisze... Fascynujące. Bo zmieniają się języki, opowieści, nazwy świąt, bo ich daty już rzadziej, a i tak na końcu chodzi o to samo.

Potrzebuje pan religii?
– Nie, duchowość uprawiam na własną rękę. Nie patrzę na religię jak na system prawd objawionych. Nie jestem katolikiem, uciekłem stamtąd, kiedy tylko mogłem. Na obrzeżach katolicyzmu jest wielu mądrych ludzi, ale Kościół jako taki ma olbrzymi kłopot ze sobą, głównie z reakcją na pedofilię we własnych szeregach – wszelkie jego dotychczasowe ruchy są niewystarczające. Albo za małe, gdy spojrzeć na Watykan, albo w ogóle pozorowane, gdy idzie o Polskę. To, że np. kuria z Żywiecczyny broni księdza od zarzutów molestowania seksualnego przez dociekanie, czy ofiara czerpała przyjemność seksualną, to fragment większej całości – polski Kościół brnie w przepaść.

Czy w Polsce byłoby miejsce dla artysty, który – jak Sinéad O’Connor – podarłby publicznie zdjęcie Jana Pawła II albo Franciszka?
– To już pewnie nie byłoby dziś tak szokujące. Franciszek ponosi polityczną odpowiedzialność za to, jak Kościół sobie z tym radzi. Bo niech i nawet będzie, że to dobry batiuszka, któremu zli urzędnicy nie po-

zwalają działać. To bez znaczenia – on jest głową Kościoła.

A spodziewał się pan, że temat aborcji wróci z taką siłą?
– Byłem zszokowany. To może naiwność, ale wydawało mi się, że nikt się nie odważy ruszyć tego kompromisu. Fakt – kulawego, ale jednak. Nigdy nie pojmę, jak można mieć taki stosunek do kształtowania prawa: zmuszać ludzi do cierpienia, zupełnie bezsensownego, tylko po to, żeby coś wygrać politycznie.
Dobrym obrazem pobudek kierujących politykami jest passus z politykiem PiS-u wyskakującym z żądaniem, żeby radia grały w 80 proc. polską muzykę. Wykonałem wtedy znów telefon do przyjaciela (*śmiech*). Kurwa no, nie wierzę. PiS zainteresował się losem polskich muzyków? Bynajmniej. Oni nawet specjalnie nie udają, że parytet polskich nagrań w radiach w ogóle ich interesuje, chodziło wyłącznie o gest w stronę Pawła Kukiza, będącego wówczas języczkiem u wagi. Abstrahując już od tego, że sam parytet to nic dobrego. Tu akurat skończyło się na niczym, ale ile innych szkód ci ludzie narobili przez takie zachowanie?

Mówi pan choćby o radiowej Trójce?
– To jest przecież akt prymitywnego niszczenia, z czystej złośliwości rozwalono stację budowaną przez dekady. Choć muszę uczciwie wyznać, że mi ten spektakularny koniec Trójki trochę pomógł, bo płynnie przeszedłem do słuchania Radia 357 i Nowy Świat. I paru jeszcze innych stacji w sieci, jak Newonce.radio, czy podcastów Dariusza Rosiaka i Macieja Okraszewskiego... No, generalnie upadkowi Trójki zawdzięczam samocyfryzację radiową.

A co nasze pokolenie przespało?
– Pewnie to, że nie wykształciliśmy w sobie zbiorowej ciekawości tego, co dzieje się w polityce. Że oddawaliśmy dotychczas decydowanie o nas starszemu pokoleniu, a obudzili nas dopiero dzisiejsi dwudziestolatkowie. Dopiero teraz widać 40-latków mocniej w życiu publicznym, choć na razie dają się ogrywać seniorom.

Może stąd wysokie poparcie dla PiS-u, że opozycja rozbita, a inni samotni?
– PiS zauważył problem, którego nie widzieli inni. Zwrócił się do osób, które rzeczywiście były wykluczone i miały słuszny żal do rzeczywistości. Ten żal wciąż jest, PiS go nie ukoili. Bo transfery społeczne, słuszne zresztą, to jest rozwiązanie na krótką metę. W dłuższej perspektywie jedynym rozwiązaniem jest postawienie na edukację. A co PiS ma do zaoferowania na tym polu? Ministra Czarnką. Ręce opadają. Opozycji natomiast można zarzucić to, że jest bez mapy. To już nawet nie jest śmieszne, kiedy Koalicja Obywatelska zapowiada, że zrobi kolejne wielkie sympozjum programowe.

A trudno jest przyjąć od polityka nagrodę?
– Mówi pani o prezydencie Szczecina? Nie poczytywałem tej nagrody jako przyznanej przez niego.

Ale politycy dość często wykorzystują artystów do swoich celów.
– O ile ci artyści im na to pozwolą.

A pana skandowanie „Jebać PiS” na Pol’and’Rock Festiwalu? To był protest?
– Pewnie, że to jest megaofensywne sformułowanie, wyjątkowo konfrontacyjne; od strony językowej nigdy nie byłem tym swoim okrzykiem zachwycony. Ale to się nie wzięło znikąd: naprawdę mam bardzo wiele zastrzeżeń do rządzących: do ich pogardy dla nas wszystkich, do lekceważenia zasad, do rozwalania dobrze funkcjonujących instytucji, do ciągłego przesuwania granic...

No ileż można to spokojnie znosić? ●

Putin boi się Franciszka

Papieżowi można wiele zarzucić. Ale nie to, że jest zdementowanym idiotą

Magdalena Czyż

Wiele można zarzucić w ostatnich tygodniach głowie Kościoła i nie bez podstaw. Sama do tych zarzutów dorzuciłam i swoje. Nie rozumiem jego zachowania, nie zgadzam się z nim, mam poczucie, że to zachowanie pogubionego w rzeczywistości staruszka – ale jednocześnie czuję, że coś z taką moją oceną jest nie tak. Franciszkowi można wiele dziś zarzucić, ale nie to, że jest zdementowanym idiotą, jak wielu by chciało.

Problem w tym, że nikt nie potrafił mi w nawet cząstkowy sposób wytłumaczyć jego zachowania. Wyjaśnienia, że Franciszek jako prorok działa i myśli na wyższym piętrze, zupełnie mnie nie przekonywały. Odpowiadałam, że wleciał ze swoim profetyzmem na tak wysokie piętro, że nie zauważył, że odleciał.

Drugi problem polegał na tym, że w ocenie działań Franciszka nieustannie mieszają się dwa porządki: profetyczny właśnie i polityczny. A one się wykluczają.

Odpowiedzi znalazłam w najmniej spodziewanym miejscu, bo w „Gościu Niedzielnym”. W tekście Aleksandra Bańki „O »szczekaniu« NATO i błogosławionym »nie wiem« Franciszka”.

Pierwsza: po co Franciszek uparcie chce lecieć do tej Moskwy? A nie chce do Mariupola, choć wydawałoby się, że tylko wizyta w Mariupolu może jeszcze uratować swój pontyfikat?

Bańka odpowiada: „Franciszek nie jest w tej kwestii naiwny. Wylicza zakończone fiaskiem próby doprowadzenia do

zawieszenia broni, mówi o braku odpowiedzi Moskwy na deklarowaną przez niego gotowość spotkania z Putinem, wyraża obawę, że ten w najbliższym czasie nie zamierza się zatrzymać w eskalowaniu konfliktu. W podobny sposób mógłby podsumować swoje działania każdy z przywódców, którzy podejmowali próby negocjacji z Putinem. Dlaczego zatem papież dalej zamierza je kontynuować? Ponieważ, jak sam wyznaje: „Musimy wykonać wszelki możliwy gest, aby zatrzymać wojnę”.

I dalej pisze Bańka: „Jestem w stanie wyobrazić sobie Papieża, który spotykając się z Putinem, wykonuje podobny wstrząsający gest jak swego czasu wobec przywódców Sudanu Południowego, kiedy to padł przed nimi na kolana i ucałował ich stopy, prosząc, by zapa-

W ocenie działań Franciszka nieustannie mieszają się dwa porządki: profetyczny i polityczny

nował w ich kraju pokój. I nie wiem, czy to wyłącznie moja fantasmagoria, czy może jedyna rzecz, której podświadomie boi się Putin, ale jestem przekonany, że pokój jest dla Franciszka rodzajem opcji fundamentalnej”.

Nie zgadzam się z Bańką tylko w tym, że Putin takiego gestu ze strony Franciszka boi się podświadomie. Boi się go zupełnie świadomie. Bo o geście z Sudanu Południowego nikt nie słyszał, a jak słyszał, to nie pamięta. O podobnym geście wykonanym przez Franciszka w stronę

Putina słyszałby i pamiętał cały świat.

Drugie pytanie dotyczy stosunku papieża do dostarczania broni Ukraińcom. „Nie wiem, jak odpowiedzieć, jestem zbyt daleko, by odpowiedzieć” – te słowa Franciszka sprawiły, że milionom katolików zimny dreszcz przeszedł po plecach.

Bańka wyjaśnia: „Dla niektórych to skandaliczny objaw bezradności i zagubienia papieża. Dla mnie – najbardziej błogosławione »nie wiem«, jakie w ostatnim czasie słyszałem. Dlaczego? Bo dokładnie dotyczące całej straszliwej aporetyczności, w którą wrzuca nas wojna, stawiając wobec konieczności zabijania drugiego człowieka. Bo odpowiedź Papieża zmusza nas do uświadomienia sobie z całym realizmem, że z jednej strony walczymy o godność człowieka i o jego prawo do życia, a z drugiej strony – w imię tej godności i tego prawa – musimy tę godność pogwałcić i podeptać”.

I kończy tak: „Nie wiem, jak postąpiłbym w sytuacji, gdyby to mój kraj, moje miasto, dom i rodzina zostały zaatakowane. Pewnie prosiłbym o broń, wziął ją do ręki i walczył w obronie własnej. I pewnie wówczas potrzebowałbym nie tylko wsparcia Papieża, ale też jego perspektywy pokoju – żeby ten głos mną wstrząsał i żebym walcząc o siebie z człowiekiem, nigdy nie stracił z oczu człowieka jako wartości samej w sobie”.

To nie tłumaczy ani tym bardziej nie usprawiedliwia, delikatnie mówiąc, „niezgrabności” papieskich. Nie da się też ich wytłumaczyć kardynalnymi błędami watykańskiego biura prasowego, które lekką ręką puściło kolejny nieautoryzowany wywiad. Jednak przy odrobinie dobrej woli rzuca na nie trochę inne światło. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Mahmud Darwisz*

Nie ma już dla nas miejsca na ziemi

Nie ma już dla nas miejsca na ziemi. Stłoczyliśmy się w ostatnim przejęciu

i odejmujemy członki ciała, by móc się przecisnąć.

Ziemia wyciska z nas soki. Obyśmy byli pszenicą, która umiera, by żyć.

Obyśmy byli matką naszą, by poznać, co to litość matczyna.

Obyśmy byli obrazami skał, których odbicie uniesie nasz sen.

Ujrzeliśmy twarze tych, których ostatni z nas zabije w ostatniej obronie duszy.

Zaplakaliśmy z żalu nad ich dziećmi. Zobaczyliśmy twarze tych,

którzy nasze dzieci wyrzucą z okien tej ostatniej przestrzeni.

Nasze gwiazdy rozwieszą lustra.

Dokąd pójdziemy znad tej ostatniej granicy? Dokąd polecą ptaki z ostatniego nieba?

Gdzie zasną rośliny, gdy ucihną ostatni powiew?

Napişemy nasze imiona zabarwioną na szkarłatno parą.

Obetniemy dłoń pieśni, żeby nasze ciało mogło ją dokończyć.

Tutaj umrzemy. Tu, w ostatnim przejęciu. Tu, właśnie tutaj z naszej krwi wyrośnie

drzewo oliwne.

przet. Hanna Jankowska

***Mahmud Darwisz (1942-2008)** – poeta arabski z Palestyny. Jako sześciolatek trafił na dwa lata do obozu uchodźców. Do 1971 r. mieszkał w Izraelu; zmuszony do emigracji, przebywał w Libanie, Tunezji i na Cyprze. W latach 80. i 90. wchodził w skład Komitetu Wykonawczego OWP. Autor nostalgicznym poematów opiewających Palestynę.

Wiersz za: „Pieśni gniewu i miłości. Wybór arabskiej poezji współczesnej”, opracowanie, przekład, wstęp Krystyna Skarżyńska-Bocheńska, PIW, Warszawa 1990.

MISTRZ SENSACJI POWRACA!

PREMIERA POWIEŚCI 18 MAJA

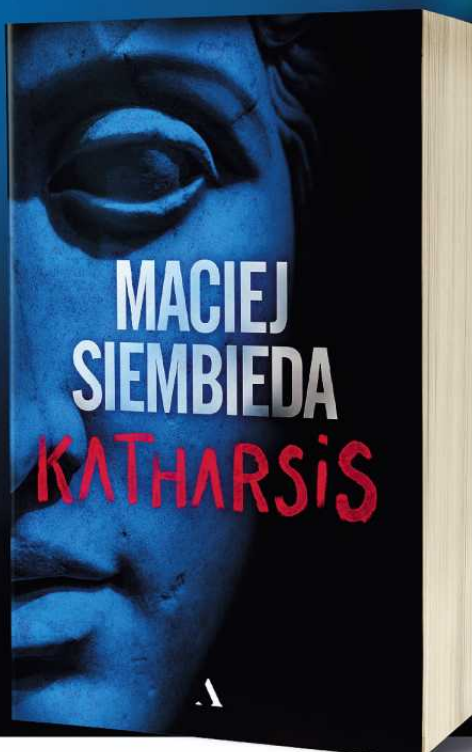
„

„Katharsis” to majstersztyk stworzony z rozmachem. Nikt nie opowiada dziejów Polski tak jak Maciej Siembieda, zmieniając historię w zaginioną komnatę, do której można wejść, by na nowo przeżyć przeszłość.

PAULINA WILK

Greckie przysłowie mówi, że krew nigdy nie zamieni się w wodę. Maciej Siembieda z wielkim kunsztem, ale bezlitośnie testuje tę okrutną prawdę na swoich bohaterach. Długo czekałem na taką polsko-grecką historię. Fascynująca lektura!

DIONISIOS STURIS, REPORTER



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



CZUŁE SŁÓWKA

Dreszczowiec

Być może gdyby życie
było kiepską literaturą,
żyłoby się nam lepiej.



Michał Rusinek*

Jeden z ostatnich wierszy Wisławy Szymborskiej poświęcony jest ludziom, którzy „mają (...) na wszystko sposób i słuszną odpowiedź”. Gdyby na przykład w czasie ustnej matury z języka polskiego padło pytanie o to, kogo poetka mogła mieć na myśli – spieszyć z podpowiedzią. W numerze 17-18/2022 tygodnika „Do Rzeczy” ukazał się bowiem felieton Joanny Siedleckiej zatytułowany „Suliko”. Jest on utrzymany w poetyce dreszczowca. Rozpoczyna się od mrocznej sceny: ktoś nęka Zofię Nalkowską listami i telefonami, rękomo z „zakładu pogrzebowego”. „Dziękuję, jeszcze nie reflektuję” – odpowiada pisarka. Nalkowska nie zna odpowiedzi, kto ją nękał, jedynie podejrzewa kogoś z Koła Młodych. Siedlecka – słuszną odpowiedź zna. Następnie rysuje portret sprawcy (bo już nie podejrzanego), przedstawiając Koło Młodych jako „groźny sowiecki implant przeszczepiony do wszystkich oddziałów Związku Literatów po Zjeździe Szczecińskim w styczniu 1949 r., dekretującym w polskiej literaturze socrealizm (...). Do Związku Literatów wtargnęli nasi komсомольcy, Hunowie, janczarowie, jak ich nazywano. Bez żadnego wymaganego dotąd dorobku, wyższego wykształcenia, za to z czerwonymi krawatami i legitymacjami ZMP lub partii”.

Wiadomo już, kto w tym dreszczowcu jest czarnym charakterem: młodzi działacze z Koła Młodych, z „Międzynarodówką” na ustach: „»Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata« – śpiewali – pisze Siedlecka. – I rzeczywiście stali się miotłą, którą wymiatano, wyrzucano za burtę pisarzy starych, przedwojennych”. I niech nas nie dziwi miotła, wszak sam Stephen King, mistrz dreszczowców, twierdzi, że najbardziej przerażające są zwykłe przedmioty wokół nas. Koła Młodych miały tak- że swoich strasznych opiekunów, którzy są teraz na szczęście zapomniani (Newerly), w przeciwieństwie do wielu tych, których nie udało im się skapotać (Hłasko).

O ile w dreszczowcach, zwłaszcza tych pośledniejszych, główny bohater zawsze jest bez skazy, a czarny charakter składa się wyłącznie ze skaz, o tyle w życiu jest jednak inaczej. Chyba nie ma ludzi bez skaz, a i w tych „złych” można dostrzec coś dobrego. Ale takie rzeczy to już tylko w lepszej literaturze. I nie w myśleniu tych, którzy, jak pisała Szymborska: „Przybijają pieczętki do jedynych prawd./ wrzucają do niszczarek fakty niepotrzebne” i „myślą tyle, co warto./ ani chwili dłużej./ bo za tą chwilą czai się wątpliwość”. Joanna Siedlecka nie zadaje sobie trudu, żeby sprawdzić, czy Koła Młodych zajmowały się jedynie szykanowaniem starych literatów i indoktrynacją młodych. Nie ma wątpliwości, że tak było. Tymczasem ze wspomnień wielu pisarzy, którzy brali udział w spotkaniach Kół Młodych, wynika, że były to spotkania merytoryczne poświęcone wyłącznie warsztatowi literackiemu, a niektórzy prowadzący zabiegali nawet o to, żeby doraźne kwestie polityczne nie wścały się do poezji.

Takim właśnie prowadzącym był ponoć Adam Włodek – choć to on jest najczarniejszym charakterem dreszczowca Siedleckiej. Opisuje go jako „gorliwego komunistę” (to prawda, acz już w 1957 roku wystąpił z partii i pisał, że nadszedł czas „przecierania powiek”), „słabego poetę” (to kwestia gustu, acz historycy literatury i znajomi Włodka uważają, że więcej czasu i uwagi poświęcał twórczości innych niż własnej, którą z konieczności zaniedbywał) oraz „tłumacza m.in. ukochanej, gruzińskiej pieśni Stalina »Suliko«”. Nie wiem, czy Włodek przełożył „Suliko” dlatego, że była to ukochana pieśń Stalina, czy też ze względu na jej walory literackie, ale to jasne, że czarny charakter musi mieć na koncie jakiś związek z niewątpliwym zbrodniarzem. Gdyby Siedlecka wspomniała, że przetłuma- czył także wybór wierszy Františka Halasa, obszerne fragmenty „Luzjad” Luísa de Camõesa, „Pieśń o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke” Ra-

inera Marii Rilkego czy „Balladę o więzieniu w Reading” Oscara Wilde’a (jego przekład Przyboś uważał za najlepszy), to efekt nie byłby już ten sam.

Następnie Joanna Siedlecka przytacza opinię Sławomira Mrożka, który „po latach w swoim »Baltazarze« napisał o Włodku bardzo krytycznie, bo to właśnie on wciągnął go, 20-letniego, biednego, z Borzęcina, do Koła Młodych i partii, łapiąc na czerwony lep – pokój w Domu Literatów przy Krupniczej, etat w »Dzienniku Krakowskim«. Sprostujmy: nie w „Dzienniku Krakowskim”, lecz w „Dzienniku Polskim”. Docerśmy turpizm metafory lepu, zwłaszcza w połączeniu z urągającym współczesnym standardom mieszkaniowym pokoikach przy Krupniczej. Z „Baltazara” wynika, że Mrozek nie był członkiem Koła Młodych, ale że istotnie wiele Włodkowi zawdzięcza. To nieprawda, że pisze o nim wyłącznie krytycznie. „Włodek był postacią wielce oryginalną – pisze. – Był człowiekiem nad podziw otwartym na innych ludzi, zawsze w dobrym humorze, pełen energii i specyficznego dowcipu. Wkrótce stał się dla mnie, podobnie jak dla innych, przyjacielem”. I dalej: „Adam wierzył we mnie od pierwszej chwili. Wierzył, że zostanie pisarzem (...). Był urodzonym pedagogiem i rzadko się mylił. Mógłbym wymienić pisarzy do dzisiaj sławnych, którzy byli jego wychowankami”. Prawdą jest, że Mrozek napisał także: „Już później, za granicą, słyszałem o nim brzydkie rzeczy. Że donosił na UB bez względu na przyjaźń”. Właśnie za to zdanie Szymborska zerwała kontakty z Mrożkiem. Po przeczytaniu „Baltazara” napisała do niego list, w którym zwróciła uwagę, że nie powinien – zwłaszcza drukiem – powtarzać plotek, jeśli nie ma absolutnej pewności, że są prawdziwe: „Nie spotkałam nikogo, kto by twierdził, że czuje się ofiarą tego Adamowego donosicielstwa – spotykałam natomiast i do tej pory spotykam ludzi, którzy go zachowali we wdzięcznej pamięci za pomoc przy stawianiu pierwszych kroków w pisaniu, za poświęcaną im uwagę i czas, za wiedzę, którą się z nimi dzielił. Nawet za małe, bezzwrotne pożyczki, choć sam latami, aż do śmierci, żył na krawędzi ubóstwa. Myślę, że donosicielowi wiodło się trochę lepiej”. Książkę ze wspomnieniami wdzięcznych wychowanków Włodka – „Godzina dla Adama” – opublikowało w 2000 roku Wydawnictwo Literackie. Włodek był pierwszym czytelnikiem wierszy Wisławy Szymborskiej, o ile wiem – jedy- nym, któremu pozwalała czytać nieopublikowane jeszcze wiersze i je komentować. Także wówczas, gdy nie byli już małżeństwem, ale pozostali przyjaciółmi, czyli do końca życia. Oprócz wspomnień Szymborskiej są tam też teksty Leszka Aleksandra Moczulskiego, Ewy Lipskiej, Beaty Szymańskiej, Krzysztofa Lisowskiego czy Elżbiety Zechenter-Splawińskiej.

Jak dotąd udało się znaleźć tylko jeden donos Adama Włodka, w którym – jak pisał prof. Henryk Markiewicz – „podaje on do wiadomości UB fakty i pogłoski powszechnie znane w krakowskim środowisku literackim (omawiane m.in. na zebraniu POP, na którym skreślono Słomczyńskiego z listy kandydatów do partii w listopadzie 1950 roku)”. Skoro odkryto tylko jeden donos, to czasownik „donosił” (którym posługuje się i Mrozek, i za nim Siedlecka) jest niewłaściwy, bo insynuuje czynność wykonywaną wielokrotnie, przez jakiś czas. Ale jeśli się jest czarnym charakterem – to różnica bez znaczenia.

Ostatni fragment dotyczy Nagrody im. Adama Włodka, którą przyznaje od wielu lat Fundacja Wisławy Szymborskiej – zgodnie z wolą fundatorki. Według Siedleckiej po ujawnieniu przeszłości Włodka została ona „zawieszona”, „potem jednak po cichu przywrócona”. Nic tu nie jest prawdą. Owszem, zarząd Fundacji postanowił organizować tę nagrodę bez współpracy innych partnerów, ale to się nie odbyło „po cichu”, lecz zostało podane do publicznej wiadomości. Każdy, kto o nią występuje, może przeczytać biogram Włodka, znajdujący się na stronie Fundacji. I samemu podjąć decyzję, czy chciałby otrzymać nagrodę imienia kogoś, kto nie był to postacią z dreszczowca: ani krystalicznie czystą, ani jednoznacznie negatywną.

Być może gdyby życie było kiepską literaturą – żyłoby się nam lepiej. Być może ludziom, którzy postrzegają życie jako kiepską literaturą – tak się żyje. „Czasami im zazdroszczę – pisze Szymborska w zakończeniu wiersza. – Na szczęście to mija”.

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Wielka Sobota
z małym Rudnickim

Bądź sobą!

Janusz Rudnicki

Szanowny Panie Rudnicki! Piszę do pana, bo mam powyżej uszu. Tego całego powtarzania „Bądź sobą”. Rady porady. A co, jeśli taki ktoś jak ja jest nikim? Jeśli przeciętny jest, proszę pana, jak szeregowiec w szeregu? Ja jestem niewyraźny tak, że boję się sam przejść przez pasy, czekam na kogoś i wtedy idę, bo jak sam, to kierowcy nie widzą, że idzie człowiek. Ja jestem przeciętny jak fala w morzu przechodniów, wie pan? I wie pan dlaczego? Bo jestem sobą właśnie, sobą, czyli nikim.

Jest tak, drogi panie, że to „bycie sobą” dla ludzi takich jak to jakiś wyrok. To jest życie w celi nicości własnej, proszę pana. My nie chcemy być sobą. Nie poddamy się terrorowi posiadania własnej twarzy. Moje najgorętsze pragnienie to być, przynajmniej na krótki czas, być raz kimś innym.

Moim sąsiadem na przykład, chcę być chociażby nim. Chcę być taki elokwentny jak on, a nie mamotać coś pod pachą. Taki otwarty na ludzi jak on, a nie w windzie jakby mnie pani w szkole do kąta postawiła. I chcę mieć takie poczucie humoru jak on, chcę umieć powiedzieć do niewiedomego z białą laską: „Co pan?

Tyle lat po wojnie, a pan jeszcze min szuka?”. I to powiedzieć tak, że niewidomy się nie obrazi, a roześmieje. Już nie mówię o tym, że chciałbym mieć to, co rozumie się samo przez się, taką żonę, dzieci, mieszkanie z dwoma balkonami i samochód. I wygląd.

Właśnie, wygląd, twarz. Mam powyżej uszu. Tego całego powtarzania: „Zachowaj własną twarz”. Jak widzę się w lustrze, to widzę kogoś, do kogo to powiedzenie nie pasuje, proszę pana. To powiedzenie mi uraga. Tak, ja wiem, chodzi o twarz wewnętrzną, o godność, o bycie człowiekiem, ale ja chciałbym, przynajmniej na krótki czas, mieć inną twarz zewnętrzną również, nie tylko tę wewnętrzną. Chciałby taką jak ten mój sąsiad. Męska, wyrazista, jasna, no piękna po prostu. A nie jak psu z gardła wyciągnięta. I takie ciało jak on, jeśli można byłoby prosić, mocne, gibkie, a nie jak stara, żółta firanka, która spadła na podłogę, bo nie mogły utrzymać już jej zardzewiałe żabki czasu.

Zwykło się mówić, ludzie nakładają maski, żeby ukryć własną twarz. I udają kogoś innego. Ja panu powiem, dla takich jak ja, czyli, no nie bójmy się słów, dla znakomitej większości, dla potężnej naszej armii, to optymalna na życie taktyka. ●

NAJKRÓCEJ

Jonasz

Bardzo mi żal
papieża



Zacznę od tego, że mi Franciszka bardzo, bardzo żal. Przecież jest to papież bardzo lubiany. Zyskał sobie ogromną sympatię współczuciem dla ludzi ubogich. Nie tylko słowami: mocnymi gestami, jakimi była np. zamiana mieszkania z apartamentu pałacowego na pokój w zwyczajnym kościelnym hotelu. Od początku przedstawił się światu jako człowiek bardzo skromny. Używa języka zwyczajnego: dzień dobry, dobry wieczór, smacznego obiadu. Staje w hotelu w kolejce do okienka, gdzie wydaje się jedzenie.

Sprawy wojny bardzo go angażują. Dyplomacja Watykanu dąży do otwarcia dróg humanitarnych dla ukraińskich cywilów. Zaangażował się mocno w dialog z wyznawcami innych religii. Myślę, że właśnie tutaj zaczął się jego dramat.

Bo przecież ci Rosjanie to prawosławni, z patriarchą Cyrylem na czele, chrześcijanie. I oni podczas tej wojny nie stanęli po stronie tych, którzy są mordowani, Ukraińców, ale Rosjan, którzy okrutnie mordują.

Franciszek dał się naiwnie osłaniać propagandzie złowieszczej. Zaczął mówić rzeczy, którymi służy samemu demonicznemu Władimirowi Putinowi, wierząc, że swoją postawą wyrozumiałego pasterza złagodzi działania armii rosyjskiej.

Stało się coś potwornego, jakiś niesamowity dopust Boży. Drogi Boże niepojęte są jak chyba nigdy dotąd. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Śtański, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





Autorem wielu haseł jest **Michał Nogaś**

33 poziomo, pionowo i „gazetowo”

Pamiętam swoją pierwszą gazetę. Koniec podstawówki, późne lata 80. I wstępniak do premierowego numeru (w sumie ukazały się dwa), który napisał nasz na-
czelny – mój przyjaciel z ławki. Byłem zastępcą, ale żadne tam koneksje!

„Razem z kolegami chcemy robić dobrą gazetę, która pomoże w dofinansowaniu imprez szkolnych” – napisał. Nie udało się wesprzeć żadnej, ale z tego zacięcia społecznikow-
skiego mogliśmy być – i chyba byliśmy – bardzo dumni.

Mieliśmy też w gazecie – nazywała się „Łoś” – krzyżów-
kę. Z hasłem: imieniem i nazwiskiem jednego z klasowych kolegów, od którego pseudonimu zapożyliśmy też na-
zwę periodyku.

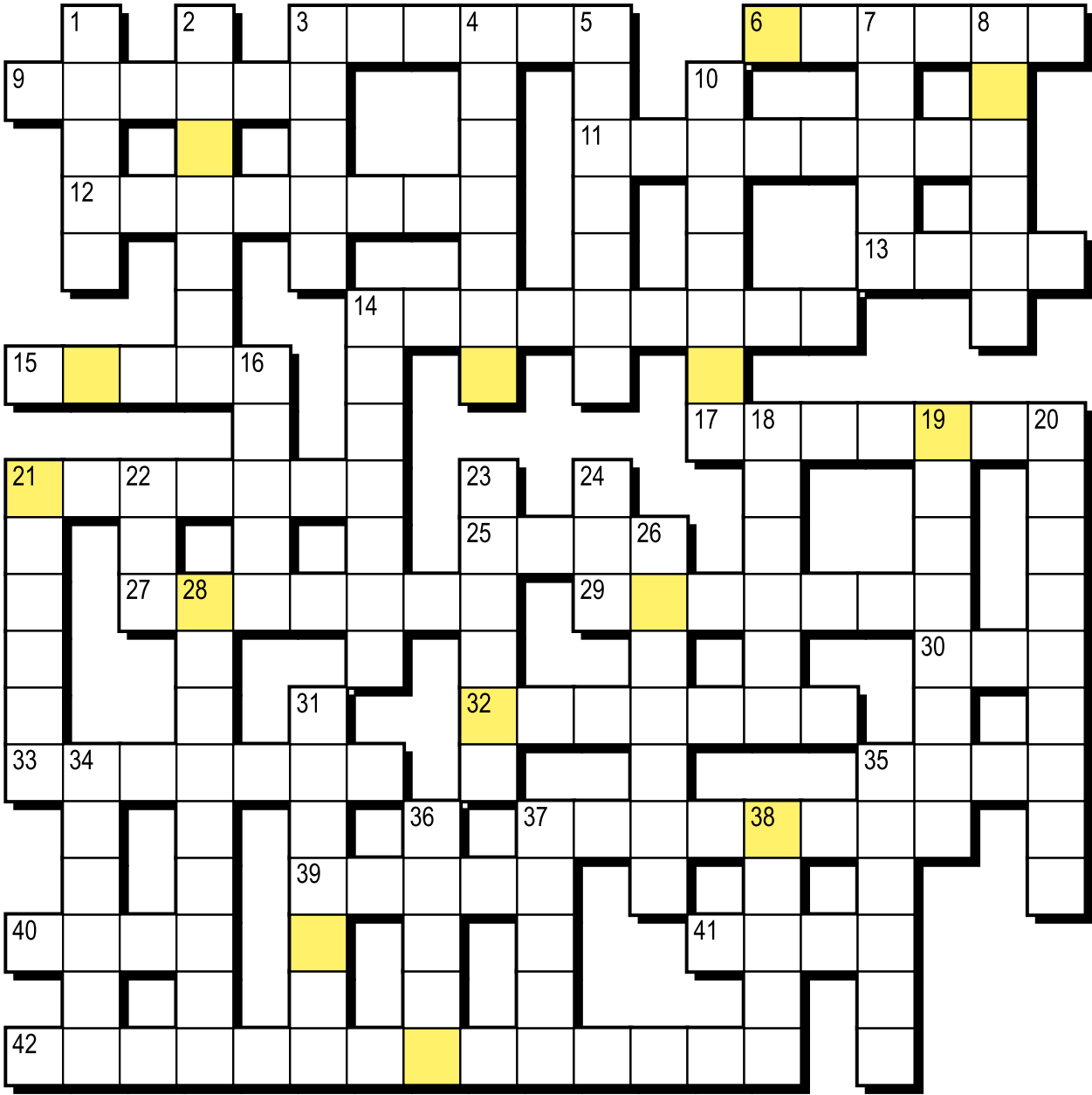
Wspominam o tym, bo po latach sam piszę coś na kształt wstępniaka, zapraszając Państwa do rozwiązania Weekendówki, która od dziś co tydzień ukazywać się będzie w „Wolnej Sobocie”. W kwestii nazwy krzyżówki trwały w redakcji gorące dyskusje: były m.in. Łamikatka, Krzyżów-
kujemy, Janusz (bo skoro jest Jolka...), ale ostatecznie Janusz uległ Weekendówce.

Krzyżówki będą częściowo tematyczne – związane z ak-
tualnymi wydarzeniami, czasem z jakąś rocznicą, czasem z motywem przewodnim, który po prostu przyjdzie mi do głowy. A że start przypada na rocznicę powstania „Gazety Wyborczej”, tak i premierowa krzyżówka za motyw prze-
wodni obrała świętujący 33. urodziny tytuł. **Kilka haseł do krzyżówki ułoży dla Państwa ktoś znany – dziś zmierzycie się z zagadkami Michała Nogasia.**

W Agorze jestem od przeszło 20 lat, zaczynałem w dzien-
niku „Metro”, a pierwszy tekst do „Wyborczej” napisałem, razem z redakcyjnym kolegą Maćkiem Baranowskim, dla „Gazety Telewizyjnej”, w której jestem i obecnie. Dotyczył japońskich animacji, które przed laty pokazywała Polonia 1. Na pewno pamiętacie Tsubasę, Kojiro czy Gigiego. Bez paniki – pytania o nich zostawię na kiedy indziej. Ale mam nadzieję, że przy krzyżówkach będziecie się bawić co najmniej tak samo dobrze jak kiedyś my przy „Łosiu” albo „Generale Da-
imosie”.

A jeśli ktoś z Państwa też wspomni swoje pierwsze szkol-
ne gazety, krzyżówki albo numery „Wyborczej” i chciałby się wspomnieniem podzielić – zapraszam do kontaktu. Udaney zabawy! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



POZIOMO

- 3 „Duży ...”, estymą darzy pisarzy reportaży
- 6 kartkowane lub internetowe
- 9 w „Wyborczej” każda jest wolna (MN)
- 11 gazeta, której nie powinno się tworzyć po nocach (a trzeba!)
- 12 wyborcza serwowana w czasie kampanii
- 13 ... i Świat, sekcja na łamach „GW”
- 14 wierny (po prenumeracie go poznacie)
- 15 Michał, wywiadowca z górnej półki (książko-
wej)
- 17) tójtaj nie wykazała się czójnością
- 21 „Wasz prezydent, nasz ...”, tytuł w „Gazecie
Wyborczej” z 3 lipca 1989 r.
- 25 pierwszy po Bogu w „Wyborczej” (MN)
- 27 pierwszej potrzeby albo wstępniak

- 29 ... wydania, przygotowywana przez grafika
(szablon)
- 30 imię bohatera artykułu „Ustawa za łapówkę,
czyli Przychodzi Rywin do Michnika”
(28 grudnia 2002 r.)
- 32 wysokie obcasy
- 33 znak graficzny z tekstem, składający się na
winięte gazety
- 35 być może odwiedzimy je po lekturze „Co Jest
Grane 24” (MN)
- 37 „Ale ...”, dodatek z nieaktualnościami
- 39 Orlengate, Rywingate lub „łowców skór”,
każdą ujawniona przez „GW”
- 40 przezroczysta wyborcza
- 41 w redakcji „GW” jest nim 10 pionowo
- 42 nasza dzisiejsza bohaterka

PIONOWO

- 1 przez lata gościła na łamach 3 poziomo (i wra-
ca!)
- 2 redakcyjne lub do spraw wykroczeń
- 3 gdy już wyschnie, kolejna „GW” rusza w świat
- 4 „... Świąteczny”
- 5 tyle trzeba czekać na kolejne wydanie „Wys-
kich Obcasów” lub „Wyborczej TV”
- 7 agora w starożytnej Grecji
- 8 wszystkie sztuki „GW”
- 10 nazwisko 25 poziomo
- 14 ulica z naszej stopki (MN)
- 16 Kraj i ..., sekcja na łamach „GW”
- 18 przez lata pisywał w „Wyborczej” słowo na
niedzielę (MN)
- 19 ... wiadomości, wiedzy, ciekawych artykułów
(w przenośni: skarbnica, bogaty zbiór)

- 20 ... w mediach społecznościowych, obowiązko-
wa w dzisiejszych czasach
- 21 gazetawyborcza.pl lub gazeta.pl
- 22 imię Milewicz, wieloletniej publicystki „GW”
- 23 nazwisko polityka, którego zdjęcie widniało na
stronie tytułowej pierwszego numeru „GW”
- 24 w gazecie lub w kalamarzu
- 26 imię Szczygła, wieloletniego dziennikarza
i współpracownika „GW”
- 28 pisane przez autora z pozycji 26 pionowo
- 31 Edytor
- 34 bogata ... wydawnicza
- 35 budki, w których od lat gości „GW”
- 36 najświeższe wiadomości, yes
- 37 np. „Nie ma wolności bez solidarności” (w wi-
niece dawnej „GW”)
- 38 najważniejsza ... w redakcji (wiadomo kto)

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

**KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ**

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play